TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK
ZWIĄZKU
LITERATÓW
POLSKICH

U.I.C.C.
APR 24 1978
LIBRARY

10

PAŹDZIERNIK · 1950 ROK

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK
ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VI ZESZYT 10
WARSZAWA PAŹDZIERNIK 1950

Okładkę projektował Stefan Bernaciński
Drukarnia nr 5 Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik"
Zamówienie 1627. nakład 7546 1950 r B-129102

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

POETA WALKI I PRACY

Przemówienie wygłoszone na akademii poświęconej 25-leciu twórczości Władysława Broniewskiego

„Nie o sobie piszemy. Jesteśmy robotnikami słowa. Musimy wypowiedzieć to, czego inni ludzie warsztatu wypowiedzieć nie mogą. W bezlitosnej walce proletariatu z burżuazją stoimy zdecydowanie po lewej stronie barykady. Gniew, wiara w zwycięstwo i radość — radość walki — każą nam pisać. Niech słowa nasze padną jak salwy w ulice śródmieścia, niech odegrzmią echem w dzielnicach fabrycznych. Walczymy o nowy ład społeczny. Walka ta jest najwyższą treścią naszej twórczości."

Z takim oto programem artystycznym i ideowo-społecznym, ogłoszonym w zbiorowym biuletynie poetyckim p.t.: „T r z y s a l w y", wszedł Władysław Broniewski przed dwudziestu pięciu laty do naszej poezji twardym, żołnierskim krokiem bojownika o nowy, piękniejszy i doskonalszy kształt życia zbiorowego.

I zaraz potem wołał do poezji, przychodzącej „jak noc majowa, biała noc, uśpiona w jaśminie", łamiąc konwencjonalne o niej wyobrażenia szlachecko-mieszczańskich swoich poprzedników:

To za mało! Za mało! Za mało!
Twoje słowa tumanią i kłamią!
Piersiom żywych daj oddech zapału,
wiew szeroki i skrzydła do ramion!

Nam te słowa ciche nie starczą.
Marne słowa. I błahe. I zimne.
Ty masz werbel nam zagrać do marszu!
Smagać słowem! Bić pieśnią! Wznieść hymnem!

Jest gdzieś radość ludzka, zwyczajna,
jest gdzieś jasne i piękne życie. —
Powszedniego chleba słów daj nam
i stań przy nas i rozkaż bić się!...

(Poezja)

Żeby dobrze zrozumieć, żeby w pełni pojąć rewolucyjne znaczenie dla naszej poezji — i nie tylko dla samej poezji — tamtych pierwszych wystąpień Broniewskiego przed dwudziestoma pięcioma latami, trzeba przynajmniej w najskromniejszym zarysie uprzytomnić sobie obraz ówczesnej sytuacji społeczno-politycznej i literackiej w Polsce.

Pierwsze poetyckie kroki autora kilku wróżących niepospolity talent wierszy zamieszczonych w „Trzech salwach" i wydanego w tymże 1925 roku szczupłego tomiku poezji p.t.: „W i a t r a k i" przypadły na czas, kiedy po pierwszej wojnie światowej i po powstaniu do życia w wyniku Rewolucji Październikowej odrodzonego państwa polskiego rozwiewały się u nas ostatnie liberalistyczne złudzenia postępowej mieszczańskiej inteligencji. Przypadły one na ową znaną „tragedię pomyłek" — na okres zaostrzających się walk klasowych, w przededniu wydarzeń z maja 1926 roku, które na wiele lat miały zadecydować o kapitalistyczno-faszystowskim charakterze drugiej Rzeczypospolitej Józefa Piłsudskiego i sanacji.

Kryzysy gospodarcze, nędza mas pracujących, bezrobocie, lokauty fabrykantów i strajki, wzrost nastrojów rewolucyjnych wśród proletariatu, policyjne szykany reakcyjnych rządów ze szczególną zaciekłością zwrócone przeciw rewolucyjnej organizacji proletariatu, Komunistycznej Partii Polski, więzienia przepełnione działaczami robotniczymi oraz krwawo tłumione uliczne demonstracje mas — oto szerokie tło ideowo-literackiej sytuacji tamtych lat.

Jakże tragicznie i zarazem żałośnie przedstawiał się na tym ponurym tle obraz mieszczańskiej literatury pięknej, mieszczańskiej poezji ówczesnej Polski. Bezmyślny zachwyt z powodu — jak to sformułował Juliusz Kaden Bandrowski — odzyskania „własnego śmietnika" i równie bezmyślna aprobata radości życia triumfującej burżuazji, obok tego zaś puste, jałowe eksperymenty formalistów pretendujących nie wiedzieć czemu do niczym niezasłużonego tytułu „awangardy", ideowa kontynuacja dekadencji, strojąca się w nowe piórka najróżnorodniejszych „izmów", urbanistycznej kultury, apologii miasta i maszyny — słowem jawne sojusznictwo reakcji lub pospolita polityczna ślepota torująca drogę do zwycięstwa faszyzmu.

W tę oto zatęchłą atmosferę życia i poezji z żywiołową siłą wdarł się silny, męski głos młodego Broniewskiego:

Dzień nam roboczy nastał.
Młot niesiemy, kilof i łom.

. . . . . .

Bufory zlać krwi oliwą!
Oto ręce co tory omiotły.
Pędź dziejów lokomotywo,
sercami palimy w kotłach.

(Robotnicy)

A kiedy — wciąż w tym samym 1925 roku — padają pod murem Cytadeli trzy inne salwy, wymierzone przez polską burżuazję w piersi Hibnera i jego dwóch młodych towarzyszy, odpowiadają im gorące słowa rewolucyjnego poety:

Ach, umierać nie będzie ciężko,
chociaż serce ma lat dwadzieścia —
niezłamane codzienną klęską,
dziesięć klęsk, dziesięć kul pomieści!
Bo jest życie piękniejsze, nowe,
i żyć warto i umrzeć warto!...

(Na śmierć rewolucjonisty)

I to była również żarliwa aprobata życia, ale zgoła już innego niż to, na którego cześć wypisywali entuzjastyczne dytyramby piewcy triumfującej burżuazji.

Jeszcze w tym najwcześniejszym, młodzieńczym okresie twórczości Broniewskiego można bez trudu i u niego wyśledzić spóźnione echa poetyckich konwencji „Młodej Polski" — choćby w takich wierszach jak „Marzanna" czy „Perun"—i formalistyczne próby dojrzewającego talentu, że wspomnimy tylko wiersz „Wiatraki", od którego wziął tytuł pierwszy tom jego poezji. Nie brak w tym tomie i wpływów współczesnego ekspresjonizmu. Broniewski jednakże bardzo prędko otrząsa się z tego rodzaju obcych mu w zasadzie naleciałości literackiej atmosfery i literackich manier mieszczańskich środowisk artystycznych swojego czasu. W ślad za szybko postępującym dojrzewaniem ideowo-politycznym przychodzi i krystalizacja oryginalnego poetyckiego talentu, pełny wyraz znajdująca już w następnym tomie jego wierszy, w ogłoszonych w 1926 roku „Dymach nad miastem".

„W Dymach nad miastem" i w wydanym w sześć lat później zbiorze „Troska i pieśń" najdoskonalej manifestuje się Broniewski, którego znamy, cenimy i kochamy — natchniony piewca twórczej pracy i wyzwoleńczej walki polskiego proletariatu, wspaniały wyraziciel jego tęsknot, nadziei i dążeń, smutków i radości, kujący ze swojej wysokiej sztuki duchowy oręż dla przyszłego zwycięstwa idei demokracji i socjalizmu w Polsce.

Jak górnik, co w sztolni oskardem,
bryły węgla wykuwam ciężkie,
wykuwam te słowa twarde,
nieustępliwe, zwycięskie!
Zahuczą nad wami, jak dzwony,
radością ogromną i bliską...

(O sobie samym)

— powiada „o sobie samym".

W toku tego trudu, w codziennej walce poety nabiera też konkretności i krystalizuje się wizja „ojczyzny zwycięskiej miłości", przybierając coraz to realniejszy kształt socjalistycznej ojczyzny mas pracujących.

I od tamtego czasu przez dwadzieścia pięć lat poeta wiernie i nieugięcie towarzyszy polskiej klasie robotniczej w jej rewolucyjnej walce, dzieli gorycz jej klęsk i radość triumfów, służy wielkiej sprawie wyzwolenia mas pracujących swoim zawsze niezawodnym piórem, dotrzymuje kroku robociarskiej awangardzie.

Polska klasa robotnicza serdecznie reaguje na jego gorące słowa, z hardych, jak gdyby kutych w granicie strof Broniewskiego czerpie moc i siłę wytrwania, w żarliwym ich potoku odnajduje najdoskonalszy wyraz swoich uczuć i myśli, w ich melodii dosłuchuje się rytmu własnych serc.

Twórczość Władysława Broniewskiego w latach najtwardszych zmagań polskiej klasy robotniczej, polskiego obozu postępu, z brutalną przemocą kapitalistyczno-faszystowskiego reżimu staje się pokarmem duchowym całego pokolenia bojowników o nowe, piękniejsze formy życia — o socjalizm.

> Jeszcze będzie jaśniej i piękniej,
> będzie radość i będzie śpiew

— powtarzali za nim, chłonąc z jego gorących słów rewolucyjny zapał i niezłomną wiarę w przyszłe zwycięstwo.

Towarzysze, którzy swoimi płucami osuszali z wilgoci cele sanacyjnych więzień, mogą to dzisiaj potwierdzić...

Na czym się zasadza siła i urok poezji Broniewskiego? Co decyduje o jej nieodpartej mocy sugestii, jej porywającym charakterze? Gdzie spoczywa tajemnica potęgi jego poetyckiego słowa?

Odpowiedź na tak sformułowane pytanie może być tylko jedna: najgłębiej humanistyczna treść duchowej postawy poety i nigdy niekłamany liryzm nasycający jego strofy — oto fundamenty poetyckiej wielkości Władysława Broniewskiego.

Broniewski nie jest i nigdy nie był piewcą abstrakcyjnych ideałów, nie był i nie jest poetyckim gloryfikatorem haseł, choćby najwznioślejszych, które nie miałyby pełnego pokrycia w jego głęboko ludzkich przeżyciach, nie znajdowały jego pełnej wewnętrznej aprobaty. Za każdym wierszem autora „Dymów nad miastem" stoi konkretne, najbardziej osobiste przeżycie poety, każdą jego strofę przesycają realne stany uczuciowe.

> Któż wie, jak trudno, któż wie, jak boleśnie,
> sercem jak bębnem grzmieć przed ludzką armią?

— rzuca czytelnikom nasycone męskim cierpieniem pytanie w cytowanym już wierszu „O sobie samym".

Stąd też u niego niepospolita wprost konkretność treści poetyckich, rzadko spotykana plastyka obrazów, stąd intensywne nasycenie uczuciowością melodii i rytmu wiersza.

Wiersze Broniewskiego — to jeszcze jeden z wielkich triumfów realizmu w poezji.

Zespolony najściślej z życiem klasy robotniczej, z życiem swojego narodu, związany z nim najserdeczniejszą wspólnotą myśli i uczuć, Broniewski staje się idealnym niemal odtwórcą przeżyć polskiego proletariatu, polskich mas ludowych. Wyczulona wrażliwość poety łowi każde najsubtelniejsze nawet drgnienia duszy zbiorowej narodu, żywo i bezpośrednio, z całą mocą żywiołowego talentu reaguje on na każde wydarzenie życia wspólnoty, w którą wrósł sercem i umysłem.

Jest świadomym swoich zadań i celów współbojownikiem mas pracujących:

Czy wiecie, jak świszcze i warczy,
pocisk, zanim kolumnę rozerwie? —

Ja wam słów jak pociski dostarczę,
niech wgryzają się w krwistą czerwień.
W czas zdrad i klęsk,
gdy osaczą was morem i głodem,
gdy za gardło was zdusi lęk —
ja się nie poddam!
Chorągwie czerwone słowami
rozwinę nad waszym pochodem!
Pieśń moja pójdzie z wami!
Przodem!

(O sobie samym)

— deklaruje walczącym. I nie jest to pusta fanfaronada, czcza poetycka paplanina.

Broniewski przez dwadzieścia pięć lat swojego poetyckiego trudu ściśle dotrzymuje zobowiązań.

Nie ma tu nawet, sądzę, koniecznej potrzeby wskazywania na tytuły wielu jego powszechnie znanych utworów, świadczących o żelaznej konsekwencji poety, z jaką realizuje podjęte zadanie, spełnia wyznaczoną sobie rolę, rolę, której sens lapidarnie formułuje w wierszu „Do przyjaciół poetów":

Mało nas,
a odnajdujemy się w tłumie,
złączeni krokiem żelaznym,
złączeni pieśnią żelazną —
my,
podpalacze serc,

dynamitardzi sumień,
recydywiści marzenia,
gniewu i entuzjazmu.

. . . . . .

W blasku dni, które idą,
nasze słowa staną jak wojska,
trzeba dziś je uzbroić,
jutro dać im wielkość i sławę,
by się prawem stały i siłą
ponad Ziemią, Europą i Polską,
trwalsze od tablic praw Rzymu,
wyższe niż Wawel.

Od pierwszej swojej publikacji sprzed lat dwudziestu pięciu — od „Wiatraków" poprzez „Dymy nad miastem", poemat o Komunie Paryskiej, wiersze „Troski i pieśni", „Krzyk ostateczny", poprzez lata wojenne aż po utwory pisane dzisiaj w nowej Polsce, Polsce realizującej młodzieńcze wizje przyszłości autora „N i k e" — Władysław Broniewski nieprzerwanie pełni zaszczytną funkcję „podpalacza serc, dynamitarda sumień, recydywisty marzenia, gniewu i entuzjazmu" — poety rewolucyjnego proletariatu Polski, poety polskiego ludu pracującego i wszystkich walczących o społeczno-narodowe wyzwolenie ludów świata, a więc w najwłaściwszym tego słowa znaczeniu n a r o d o w e g o poety Ludowej Rzeczypospolitej.

Jeśli bliżej rozejrzeć się w jego twórczości, widać dopiero, jak ogromne jest jej bogactwo, jaką obfitość tematyki i rozległość przeżyć zawiera — od najbardziej osobistej liryki po bezpośrednie poetyckie reakcje na konkretne wydarzenia polityczne chwili.

I co jest bardzo ciekawe i zarazem szczególnie charakterystyczne dla psychicznej struktury i moralnej postawy twórcy „Ballady o placu Teatralnym" — to właśnie, że u tego urodzonego liryka niesposób nakreślić pewnej granicy między najbardziej intymną osobistą liryką a jego ideowo-poetycką, polityczną działalnością. Sprawy życia zbiorowego, wielkie problemy dziejowe jego narodu są mu zawsze tak samo serdecznie bliskie, jak i przeżycia ściśle własne, chcielibyśmy powiedzieć — prywatne. I te i tamte są jego, najosobistsze, najwłaśniejsze.

Stąd twórczość Broniewskiego — to obok lirycznej kroniki życia człowieka, subtelnie rejestrującego swoje codzienne troski i radości, upadki i wzloty — zarazem wciąż żywa, pulsująca krwią i żółcią historia ostatniego ćwierćwiecza naszej ojczyzny, naszego narodu, żywsza od kart książek dziejopisów; dowodem tego jest niewygasająca w masach dzisiejsza popularność takich jego wierszy jak „Robotnicy" czy „Poezja", ogłoszonych po raz pierwszy dwadzieścia pięć lat temu w „Trzech salwach".

Niewielu znamy poetów, którzy by dzisiaj mogli się poszczycić podobnym sukcesem.

To on w latach walki z kapitalistycznym uciskiem, z policyjną przemocą faszyzującego ustroju, nie bacząc na szykany i groźbę więzienia, dodawał otuchy borykającym się z gwałtem, zagrzewał do boju, wieścił przyszłe zwycięstwo, rozsnuwał jego perspektywy:

Ale gdzieś za tysiączną kleską
zakończymy nasz krwawy marsz:
będzie inny bój i zwycięstwo,
inna Grecja nas zdejmie z tarcz...

— wołał do „deptanych i bitych" w wierszu p. t. „Nike".

To on „spajał swoim gniewem w ogromne serce serc miliony", on swoimi utworami współdziałał w kształtowaniu się rewolucyjnej, klasowej świadomości polskich mas pracujących, budził w nich ducha proletariackiego internacjonalizmu, że wspomnimy choćby „Magnitogorsk, albo rozmowę z Janem" czy „No pasaran!"

Świadomy znaczenia rewolucyjnych tradycji dla aktualnej walki politycznej proletariatu sięgał do takich tematów jak Komuna Paryska, albo poświęcał płomienne strofy polskim bojownikom o socjalizm jak Ludwik Waryński.

Był myślą i uczuciem wszędzie, gdzie „w noc głodu, kryzysu, faszyzmu" pożarem płonęły serca. Miał prawo powiedzieć o sobie w „Pieśni o wojnie domowej":

Ja wiem, co w pędzie mówią koła,
czym drży ulica i co woła,
gdy z fabryk ostre syren świsty
uderzą w szyby świstem mglistym,
gdy ludzie pójdą w świt szeregiem
przez miasto złych czerwonych cegieł
z okrutnym losem, z twardą dolą
we mgłę, w leniwy dym nad Wolą...

Toteż niesposób przecenić społecznej funkcji takich wierszy Broniewskiego jak „Zagłębie Dąbrowskie", „Łódź" czy „Księżyc ulicy Pawiej".

Żołnierz pierwszej wojny światowej, świadomy jej złej, niszczycielskiej mocy i brutalnych, realnych źródeł, jest autor „Dymów nad miastem" w swojej poezji gorącym, nieprzejednanym orędownikiem sprawy światowego pokoju. Motyw walki o pokój przewija się w jego twórczości nieustannie od pierwszych poetyckich wystąpień w „Trzech salwach" i „Wiatrakach" aż po słowa „Pokój, światu pokój..." zamykające niedawno napisany poemat o Stalinie.

Umiłowanie pokoju przez Broniewskiego nie ma wszelako i nie miało nigdy nic wspólnego z mdłym, fałszywym pacyfizmem drobnomieszczucha. W skonfiskowanej około dwudziestu lat temu „Lekkoatletyce"

donośnym głosem rewolucjonisty wzywa Broniewski „Młodych i zdrowych", by „gdy jeszcze krwi będą żądać, obrócili bagnety w tył — przeciw rządom imperialistów".

Toteż kiedy w 1939 roku wyciąga się po Polskę chciwa dłoń Adolfa Hitlera, on pierwszy z poetów rzuca twarde, żołnierskie: Bagnet na broń!...

W latach ostatniej wojny imperialistycznej dobiegał jego znajomy nam głos do okupowanej, zawsze jednak nieugiętej Warszawy, leciał poprzez granice i linie frontów, jak niegdyś krzepiąc wolę walki i wiarę Polaków w ostateczne zwycięstwo:

Łuno wolności ludów, moc w zaciśniętej pięści!
Przeminą dni niedalekie i będzie się świat
rówieśnił...

Wierzył w te dni braterstwa i szczepił w nie wiarę innych — odwoływał się do niego w ciężkich chwilach dla siebie i swojej ojczyzny:

Podaj mi dłoń Białorusi, podaj mi dłoń Ukraino,
wy mi dacie na drogę wasz sierp i młot niepodległy.

I dlatego wyszedł z okrucieństwa wojny i tułaczki niezłamany, jeszcze silniejszy.

Zupełnie już — jak sądzę — nie ma potrzeby bliżej oceniać tu roli i znaczenia twórczości Broniewskiego dzisiaj, kiedy „z gruzów Warszawy rośnie żelbetonem socjalizm". Znamy ją wszyscy doskonale.

Spełniło się marzenie poety, zamknęła się pierwsza karta wielkiego dzieła autora „Pieśni o wojnie domowej" pełnym triumfem socjalistycznego realizmu jego twórczości. Wieszcza — bez nadużycia sensu tego słowa — wizja „ojczyzny zwycięskiej miłości" stała się rzeczywistością.

Teraz Broniewski swój żarliwy zapał rewolucjonisty wkłada w potężne dzieło budownictwa Polski socjalistycznej i jak dawniej jest wciąż niewyczerpanym źródłem natchnienia mas pracujących w ich twórczej pracy na rzecz wolności, sprawiedliwości i powszechnego braterstwa narodów; głosi chwałę tych, „co się nie ulękną historii, jak strasznej bajki" — chwałę warszawskich murarzy i koreańskich żołnierzy wyzwoleńczej armii ludowej...

Czytają jego poezje robotnicy, czyta inteligencja i młodzież, czytają i rozumieją. Porywa czytelników żarem rewolucyjnego ognia, patosem wielkości przeżyć, uwodzi siłą i prostotą wyrazu.

Tej prostocie poetyckich środków oddziaływania wierszy Broniewskiego i w ogóle jego poetyce — należałoby poświęcić nieco więcej uwagi.

Związany ideologicznie z masami, piszący z myślą o nich, niemal że ich kategoriami myślący i odczuwający, Broniewski niejednokrotnie fascynuje wprost ową prostotą — acz nie prostactwem — swojego poetyckiego słowa, prawie klasyczną nieraz konstrukcją wiersza, subtelną melodią frazy, żywiołowością rytmu, i celnością rymu. Jest też mistrzem w odkrywaniu nieoczekiwanych, pełnobrzmiących asonansów.

Można by tu zbyć sprawę najprostszym, ale i nieco wykrętnym stwierdzeniem, że to właśnie jest tajemnicą jego talentu. My wszelako, jak zawsze skłonni do rozsupływania tajemnic, wolimy dopatrywać się źródeł sugestywności i dynamiki poetyckiego języka twórcy „Nike" raczej właśnie w aktywnym, gorącym jego stosunku do języka mas i równie żywiołowym i serdecznym obcowaniu Broniewskiego z najdoskonalszymi dziełami naszej narodowej poezji.

Sam Broniewski w różnych okresach swojego życia bezpośrednio wskazywał na tych lub innych wielkich swoich nauczycieli poetyckiego rzemiosła. My jednak, którzy wiemy coś niecoś o obiektywnej wartości tego rodzaju wyznań twórców i zarazem dalecy od chęci zapuszczania się w gąszcz profesorskich dociekań, nie będziemy tu z imienia wymieniać jego artystycznych protoplastów. Ograniczamy się do stwierdzenia niewątpliwego faktu, że autor „Nike" i „Ballady o placu Teatralnym" wyszedł z dobrej szkoły narodowej poezji.

Nie wolno natomiast pominąć milczeniem — już poza kręgiem oddziaływania polskiej poezji — głębokiego wpływu, jaki miał bezspornie na kształtowanie się charakteru twórczości Broniewskiego wielki poeta leninowskiej epoki, Włodzimierz Majakowski. Niesposób tego wpływu pominąć, gdyż sięgnął on wiele dalej, niż w sferę języka i formy wierszy Broniewskiego.

Majakowski, którego utwory Broniewski doskonale tłumaczył, niewątpliwie pomógł naszemu poecie w odnalezieniu najwłaściwszej drogi do pozycji politycznego poety. Prawda, że w tradycjach naszej literatury nie brak również wzorów takiej poezji, poezji na wskroś politycznej, poczynając od Jakuba Jasińskiego, a kończąc na największym z wielkich, genialnym autorze wiersza „Do przyjaciół Moskali" — były to wzory jednak zbyt odległe, wobec których polityczny i partyjny poeta Października musiał odegrać tu bardziej bezpośrednią rolę.

Nie znaczy to, żeby Broniewski poza może jakimiś młodzieńczymi próbami, naśladował twórcę „Lewą marsz!", żywcem przenosząc wzory poetyki Majakowskiego. Broniewski jedynie umiejętnie wzbogacał swój na wskroś samorodny talent wielkimi doświadczeniami proletariackiej muzy Majakowskiego, pozostając zawsze oryginalny, socjalistyczny w treści i polski w formie swoich dzieł.

Cóż należałoby jeszcze powiedzieć o Broniewskim dzisiaj, w dniu jego poetyckiego jubileuszu, kończąc tę z natury trudną i niepełną ocenę jego roli i znaczenia we współczesnej poezji polskiej?

Myślę, iż nie wzbudzi tu niczyjego sprzeciwu przekonanie, że jeśli komu z nas, polskich poetów dzisiejszych, przysługuje dumny tytuł inżyniera ludzkich dusz, jakim obdarzył pisarzy wódz mas pracujących świata Józef Stalin, to Władysław Broniewski, narodowy poeta Polski Ludowej idącej do socjalizmu, ma do niego najwyższe prawo.

Stanisław Ryszard Dobrowolski

W następnym (11) numerze czasopisma ukaże się essay Ryszarda Matuszewskiego o twórczości Władysława Broniewskiego.

JULIAN PRZYBOŚ

NA WCZASACH

Przerwała się przedłużona nićmi deszczu pora
i widnieje odwrotna strona chmur, słoneczna.

Ach, mieszkać tak na przestrzał,
żeby w każdym zaułku z otwartego okna
szyba o mur
dźwiękła
i wypadła taflą jeziora!

A w jeziorze łódzki włókniarz robi wiosłem i śpiewa
szerzej, wyżej i dalej:
„Wietrze — wodo, żagiel biały przywdziej!"
i nurkuje jak we fali
we wczasach;
mury, dachy rozchwiały się w drzewach
i dzień
jasny jak dzień-przykład
okolicę z horyzontu rozpasał!

Krzywdzie miejsc uwięzionych w kącie
wolny obłok zaradzi, ukoi:
oto wieża
nielekka,
wieżę skrzydłem potrącił
i w oczach architekta
nowa wieża z modelu leci w górę, jaśniejsza
o sto świetlnych pokoi.

I poeta, w przyszłości biegły,
liczy stolic szybkościowych wzlot i odlot
w gwiezdną przestrzeń między Planem a
wolą,
tam, gdzie zmieści się w pokoju Ziemia
bezpieczna.

Ach, my mieszkać będziemy w naddomach, w powietrzach,
na miarę widnokręgu wzniesionych ze słońca —
— — — — — — — — — — — —
układając dziś na Hutę cegły,
snując w Łodzi wspólną nić bez końca.

Julian Przyboś

ARTUR MIĘDZYRZECKI

WŁADYSŁAWOWI BRONIEWSKIEMU

Drogo, co targasz więzy,
Słowo gniewne i czyste
Tropione gończym listem
Ministerstw i defensyw.

Nad Płockiem klucze ptaków,
Nad Warszawą fabryczny dym —
Przekuje słowo w czyn
Ramię proletariatu.

W murach Fordonu dziewczęta
Patrzą na Magnitogorsk.
O barykado, walcz i pamiętaj
Co pieśni mogą.

Wola sztandary skłania,
Pozdrawia ziemia śląska —
Pokłon strofom idącym jak wojska,
Cześć tym, co ginęli za nas.

Elegiom pisanym w celi,
Waryńskiego ostatnim krokom,
Pieśni upartej pokłon —
Róży z serca Okrzei.

I walce, która trwa,
Łunami wschodząc w przyszłość,
O sześcioletni Plan —
Pokój nad Wisłą.

Artur Międzyrzecki

LEOPOLD LEWIN

DO WŁADYSŁAWA BRONIEWSKIEGO

Widzę Cię — siedzisz znów nad kartką,
Z marzeń i słów budujesz dzieje.
Miasto za oknem płynie wartko.
Odłóż na chwilę pióro! — Dnieje.

Patrz, Władysławie — to Warszawa,
I Zygmuntowy w chmurze miecz,
I wielka zwyciężyła Sprawa,
I wielka Pospolita Rzecz,
Ubrana w Twoje żywe słowa,
Naprawdę wolna i ludowa!

Patrz, Władysławie — pędzi most,
Jak w wierszu Twym — przez Wisłę wprost,
A po tym nowym, śpiewnym moście
Jadą do miasta mili goście.
Wiatr nadwiślańską targa łozą,
Chleb dla Warszawy mostem wiozą,
Mleko i mięso, cement, stal —
Gra most, gra szum wiślanych fal.

Patrz, Władysławie — rosną domy
I dzieci jasne mają twarze —
To przecież obraz Twoich marzeń,
Twego zwycięstwa znak widomy!

Z żelaznych snów i Twojej strofy,
Sławiącej kielnie i kilofy,
Już w Nowej Hucie biją młoty,
Idzie robota — huk roboty.
A w huku maszyn, w huku młotów
Dźwięczy Twój śpiew — prowadzić gotów
Dalej gościńcem jasnym dziejów,
W trudzie wznoszonych i wyśnionych,
W Polskę tokarzy przemienionych
I przemienionych kołodziejów!

Widzę Cię — siedzisz znów nad kartką,
Z marzeń i słów budujesz dzieje.
Miasto za oknem płynie wartko.
Odłóż na chwilę pióro... Dnieje.

KOCHAM KWIATY...

Kocham kwiaty — i wdzięczny za nie jestem żonie,
Której mocne i mocno kochające dłonie
Na moim biurku barwnie ukwiecają wazon.
Kocham kwiaty, co wonią nabijają gazon
W miejskim parku, gdzie bawią się wesoło dzieci,
Gazon, nad którym piłka mych synów przeleci.
Kocham kwiaty na mokrej, rozbudzonej łące,
Rozsłonecznionej rosy kropelkami wrzące,
W najżywszy, harmonijny i razem pstrokaty,
Wzór się układające. Kocham, kocham kwiaty.
Lecz póki w jakiejkolwiek ziemi, stronie świata
Wróg - faszysta kieruje broń w pierś mego brata,
Znienacka i zza węgła — zdradziecko, nikczemnie,
A celując w pierś brata — zawsze trafia we mnie;
Póki imperializmu uzbrojone ramię
Będzie ścinało dzieci w Korei, Vietnamie,
Dzieci, które ojcowie kochają tak samo
Jak ja mych synów kocham, dzieci, które „mamo!"
Wołają z takim żarem jak synkowie moi;
Póki nas ciemny los poetów niepokoi,
Którzy w ojczyźnie własnej ukrywać się muszą,
Lecz pieśnią rwą kajdany, pieśnią kraty kruszą,
Pieśnią, która powstaje w mroku, w kazamatach —
Póty nie mogę pisać o kwiatach,
Póty nie będę pisał o kwiatach.

Leopold Lewin

TADEUSZ RÓŻEWICZ

ODWRÓĆMY OD PRZESZŁOŚCI...

Ćma mąci światło
ciemnymi skrzydłami

Przeszłość jak czarna rzeka
upada przed nami

Odwróćmy od przeszłości
nasze puste oczy

Nad nami gołąb biały
w świetle piórka moczy

Otrząsa z piórek cienie
i z gałązką w dziobie
zieloną
frunie w niebo ogromne.

PEJZAŻ

Po burzy nagłej jak trzask bicza
w trawach
topi się światło

Czerwone woły
w prostokątnych jarzmach
przewalają się drogą

Płyną fala za falą
płowe zboża

Ludzie po pracy
idą wolno polem

Na widnokręgu czarne dymy
stoją w miejscu
gdzie była pustka.

POWRÓT Z LASU

Kiedy zamknę oczy to słyszę
Głos ptaka skrzyp sosen
Lasu płytką ciszę
zmąconą naszym śmiechem

Widzę las gdzie z wami
Zbierałem jagody
Ciało wtenczas było ruchliwe
I młode jak wody

Wracaliśmy do domu
Z czarnymi ustami
Bose nogi jak skrzydła
Świeciły uciekając w kurzu

Już dom widać Dym
Na niebie pełznący cierpliwie
I matkę w oknie
Z dłonią nad oczami.

Tadeusz Różewicz

TADEUSZ NOWAK

WIERSZ O PARTII

Pod zorzą Twego wzroku,
który dla wrogów mieczem
i stalą ostrą lśni —
w zapadłych wioskach dnieje.

Bo wzrok Twój jest miłością,
a miłość nie zna granic,
gdy służy ludziom prostym,
jak chleb razowy rano.

Dlatego dziś, gdy walka
na nowo rozgorzała —
Twój krok zwycięski chwalę
Partio, „która nacierasz".*)

I wiem, bo jesteś wiarą,
że z zatok życie stare
odpłynie pod Twym wzrokiem,
aby dać miejsce krokom
tych ludzi, którzy wejdą
zwycięsko w socjalizm.

WITAM NOWY DZIEŃ

I

Tu każda godzina ma wymiar epoki,
Każde słowo siłę setki ramion mieści.
Zbudź się, aby ruszyć wcześniej
orać na spółdzielczym polu.

Śmiech Wasz — kiełkowanie zboża,
radość — szumiąca pszenica.

*) Cytat z Majakowskiego.

Nie wiem, ale serca pożar
objął — i nie można zliczyć
było rąk wzniesionych
za dniem rewolucji.

Wprawdzie tamci w kącie
rumor butów przeciw
i krzyk dłoni wznieśli,
lecz tych zagłuszono pieśnią.

II

Cztery ściany zamykały słowa,
w których przyszłość kiełkowała zbożem.
Towarzyszu! — spółdzielców policzcie. —
— Zapisana z wioski jest prawie połowa.

Pochyleni nad splamionym stołem
ogarniali oczu bezgraniczną troską
pola, gdzie spółdzielnia rosła
będzie, jak pokoju gołąb.

I choć noc stracili całą,
myśląc o przyszłości,
przecież oczy im się śmiały —
byli zaręczeni z wiosną.

Tadeusz Nowak

ANDRZEJ BRAUN

JUTRO JEST DZISIAJ

dla córki mojej Gogi

Gdzieś na czterdziestym kilometrze
ta rzeka, która przypomina
wiosnę, błękitna jak powietrze.
Od róż czerwieńszy żar Kistrzynia
skryły twe dłonie od mgły bledsze.

W głębi po pontonowym moście,
łączącym z Odry brzegiem prawym
ten lewy, który wiódł na oścież
pod Berlin, szliśmy od przeprawy,
mimo że w śmierć było najprościej.

Ostatnim błyskiem gasł w pożarze
ratusz. Stękały działa głucho
i jak splamione krwią bandaże
piekło zwycięstwo za pazuchą,
kolory Polski w ranie każdej.

Artyleryjskie biły wodę
pociski grzmotem niedalekim.
Gdy życie całą swą urodę
jak konie poi z siódmej rzeki,
minione dni są zawsze młode.

W tej chwili, gdy płakałaś dzieckiem,
pisklęco ufna, nierozumna,
sztandary polskie i radzieckie
czerwienią wiały po kolumnach,
sztandary dumne i zwycięskie.

A w bramie spalonego domu
na fortepianie, który cudem
ocalał, Szopen burzą tonów
w rewolucyjną rósł etiudę
grzmotem kół, kopyt i pontonów.

Spod rąk strzelca Czerwonej Armii
wybuchał Szopen w świeżej sile
i krwią czerwone róże barwił
jego wśród róż ukryty sztylet,
bunt, który dotąd serca karmił.

Taka tworzenia moc — uczucie,
którego łzy raz w gardle płoną,
zamknięte w strunie, w drzewie, w nucie
wiecznie się łzą odradza słoną
jednako słodkie, równie smutne.

Wiecznie odżywa w ludziach innych,
gdy tylko dłoń klawisza dotknie
to życie, którem czynił winnym,
to życie, co nie było słodkie,
chociaż czyniłem to, co inni.

Tu na drewnianym moście stałem,
kiedy od rzeki wiało chłodem.
Łuna i pożar z rzadka strzałem
drgały, a dym truł żyto młode,
żyto zdeptane i skarlałe.

Gdy szły kolumny w dymie czarne
na zachód, niby miedź czerwony,
mijając wozy sanitarne,
po belkach złotych jak pagony,
nasz pot i trud nie szedł na marne.

Wiatr płatki spalenizny przyniósł,
obrazy wspomnień, które podrę. —
Rzucając ruin czerń w Kistrzyniu,
zwycięstwa chłonąc wiatr nad Odrą
jam tylko ciebie miał — jedyną.

Ja, którym życie pił jak strumień,
ja, wilk zaszczuty miesiąc wcześniej,
co tylko gryźć i uciec umie,
jam to rozumiał najboleśniej.
Zbyt długo sprawy w sercu tłumię.

Jeszcze dzwoniła w uszach cisza
powietrzem obalonych dzwonnic,
jeszcześ w ruinach echo słyszał,
gdy pustką piesi szli i konni. —
Strach nas urodził i kołysał.

Kiedy nadchodził pierwszy moment,
jak pieśń zdobyty ów fortepian,
rozsadzał głowy osmalone
płomieniem wojny pięcioletniej —
tak pieśnią pulsowały one.

Pierwszy raz jutro wypełniało
piece głów, niby płynna lawa,
pierwszy raz życia było mało
tam, gdzie trysnęła krwią Warszawa,
gdzie śmiercią czerniał każdy załom.

Wtedy, jak z gardła wygrzebując,
gdzieś wypluł żołnierz sok goryczy:
„Nigdy tych miast nie odbudujem...
ech, nie ma Polska już stolicy...“
Oczy zapiekłe łez nie czują.

Podobny był do starej brzozy
srebrny, sękaty, gdy spod hełmu
spojrzały na sierżanta oczy
jego, tak udręczenia pełne.
Toć nie rozkosze bielą włosy.

Oczy miał jak brzozowe sęki
pnia, gdzie wieszano synów w tłumie
szyderczym — on, co tyle męki
przeżył, że wierzyć już nie umie,
on, co przeżywał tylko klęski.

Lecz sierżant porwał się, oburzył
i pięść murarską ścisnął. Słowa
na wargach jego, pełnych kurzu:
„MY ZBUDUJEMY TO OD NOWA...“
zostały w głębi mojej duszy.

Od nowa? Jak? Za co? Dla kogo?
rękami grzebać rumowisko?
Zakurzył sierżant — „JAK?... METODĄ
JEDYNĄ NA TO... BOLSZEWICKĄ. —
ONI WRÓCILI ŚWIATU MŁODOŚĆ.“

* * *

Sierżant, być może, dawno zginął
na którymś szosy kilometrze,
w gwałtownym maju pod Berlinem,
w kwietniu ostatnich łez i nieszczęść,
gdy się dopalał wielki finał.

Był jednym z nich ten człowiek, który
poległy w przyfrontowym lesie,
czas wyprzedzając, dźwiga mury
i w cegły rewolucję wniesie,
by śmiech lśnił w oczach mojej córy.

* * *

Człowiek jak ja, pięć lat bezdomny,
człowiek latami bez nazwiska,
nie może nocy tej zapomnieć,
gdy łuną ognia front zaciskał
obcęgi śmierci przeogromne.

Pożarem plamiąc śnieg, w zawiei,
saniami w nienawistnym świecie
wywiozłem ciebie dla nadziei,
na plecach niosłem, w jamy krecie
i w bunkry tonąc po kolei.

Spod kul, przez ziemi zmarzłej płytę
wyniosłem ciebie — drugie serce —
z masowych dołów, spod zabitych
wywlokłem — serce moje pierwsze —
i z lagrów cię wykradłem przy tym.

Spod zębów psich, szarpiących mięśnie,
wykradłem cię zza murów getta,
spod igły, która fenol we śnie
wstrzykuje, spod luf, które metal —
uratowałem jednocześnie.

* * *

Dziewczyno pięcioletnia, liczysz
okna betonem i żelazem
dźwignięte wokół twej ulicy.
Myśmy się narodzili razem —
dziś my jesteśmy rówieśnicy.

Kiedyś, gdy się z historii dowiesz
o szturmach Majów, Października...
tę, dniom towarzyszącą powieść,
co sławi ręce robotników,
czy ty zrozumiesz wtedy? — powiedz...

Andrzej Braun

ROMAN HUSSARSKI

KRAJOBRAZ PODWARSZAWSKI

Blademu światłu pól cóż dodać można
prócz światła świeżych ścian, dachów czerwieni?
Bo doskonałą jest równina dwurożna
znieruchomiała w promieniach jesiennych.

A śpiewającym drutom, które łączą miasta
nic oprócz ptaków — a smukłym topolom
nic oprócz cienia, kiedy dzień dogasa
i kiedy pługi powracają polem.

I kiedy toczy się przez sypkie drogi
pachnący mlekiem, oborą i zmrokiem
rozkołysany obłok wielonogi,
spoglądający lśniącym krowim okiem.

Zaś dwoje dzieci idąc z dłonią w dłoni
na zawsze już w pamięci zachowa
krajobraz ten tylekroć pustoszony,
że na popiołach szare rosną zioła.

I miasto nowe — i rozległą ziemię
czerwieniejącą w powietrzu przejrzystym
i twarz skupioną ojca — traktorzysty.

Roman Hussarski

ZOFIA NAŁKOWSKA

KRZYSZTOF KOLUMB

Z książki o Wacławie Nałkowskim

Gorycze dzieciństwa, obudzając wielkie ambicje, zaraz niejako za progiem rodzicielskiego domu wydają owoce.

Pod koniec lata roku 1864 Wacław opuszcza Wrotków, by w pobliskim Lublinie wstąpić do pierwszej klasy liceum. Unosi ze sobą smutek rozstania z małymi przyjaciółmi, pamięć o pokrzywdzonych dwojgu dzieciach, którym przewrócił przydźwiganą z rzeki do połowy wzgórza konewkę wody i myśl o „domu dla czeladzi z sienią i dwoma izbami, bez podłogi, bez okien".

Najgłębiej przecież uczuwa rozstanie z wielbioną matką, kobietą typu oznaczanego wówczas mianem „anielskiej istoty", najlepiej zaś pamięta pasanie nierogacizny, pilnowanie złośliwych indyków, uciekających w zboże i niezasłużone kary z rąk gwałtownego ojca.

Ambicja „wycelowana we wszystkim" sprawia, że mimo słabego zdrowia Wacław uczy się i sprawuje wzorowo. Charakter jego pisma w owoczesnych liścikach do rodziców, dziecinnych artykułach geograficznych i paru rozpoczętych próbach „opisania mojego życia", jest zupełnie dojrzały. Tylko fatalna ortografia zdradza ich wczesną datę, zarówno jak niezmierną wyrozumiałość profesorów.

W starożytnej małej walizce, o której już pisałam, znalazła się mianowicie wśród pożółkłych dokumentów i listów rodzinnych nieduża książka, oprawna czarno w cieniutkie, starannie wytłaczane płótno. Złote niegdyś litery zdobią jej grzbiet, nie jest nigdzie podarta ani uszkodzona. Nieznacznych zniszczeń, lekkiego przetarcia na zgięciach okładki, pożółknięcia kart — dokonał jedynie czas. Tytuł jej brzmi: *„Krzysztof Kolumb czyli Odkrycie Ameryki skreślone dla ciekawej młodzi przez Hipolita Witowskiego. Ozdobione 8 kolor. stalorytami. Lwów, Nakładem H. W. Kallenbacha. 1853."*

Kolorowe staloryty również zachowały się pięknie. Pierwszy, umieszczony tuż przed kartką tytułową, wyobraża mężczyznę w granatowej do kolan sukience i amarantowym berecie. Jest starannie wygolony,

a beret i obcięte na wysokości policzków dzisiejszą modą kobiecą włosy odbierają mu wiele męskiej powagi. Na sukienkę narzucony ma nieco od niej krótszy, z przodu rozcięty, złoty, czerwono haftowany kaftan z rękawkami po łokieć. W ręce prawej trzyma miecz, w lewej dużą czerwoną chorągiew królewską z herbem, wyobrażającym lwa w złotym polu.

Krzysztof Kolumb mimo niewielkich rozmiarów wydaje się ogromny. Stoi bowiem odwrócony ku nam u brzegu niskiego za nim morza, którego daleki horyzont sięga mu niewiele poza skraj sukienki. Powyżej jest tylko niebo i dwa kawałki zakotwiczonych, mgławych okrętów z wąziutkimi czerwonymi banderami.

Na pożółkłej karcie, poprzedzającej ten wizerunek, wypisano złotawym atramentem to, co nas tutaj interesuje: *„Nagroda ogólna 2-a na posiedzeniu Zgromadzenia Nauczycielskiego przyznana Nałkowskiemu Wacławowi, uczniowi klasy I-ej Gimnazjum w Lublinie za pilność w naukach i wzorowe Sprawowanie się w ciągu roku szkolnego 1864/5.*

Lublin d. 18/30 Czerwca 1865."

Błękitnawa pieczęć z orłem dwugłowym ma w otoku napis: *„Liceum w Lublinie"*. Podpisy inspektorów i nauczycieli, wszystkie prawie ozdobione są dekoracyjnym zakrętem — oprócz dwu, które wydały mi się znajome: A. Tołwiński i W. Dawid.

Jak niezapomniane listy Reynbergów, jak weksle „handlującej okowitą" prababki Zuzanny Nałkowskiej, i ta książeczka w sposób całkowicie przypadkowy ocalała z Pożaru Warszawy. Świadczy ona dowodnie, jak silne było pragnienie Wacława „wycelowania we wszystkim", druga bowiem nagroda ogólna — to znaczy: na wszystkie klasy — dla ucznia klasy pierwszej była nielada zdobyczą.

Zawdzięczał ją zresztą nie tylko ambicji i zdolnościom, ale też usilnej pracy. *„W ostatnim roku, dzięki pomocy familii matki* — czytamy w jego dziecinnym pamiętniku — *miałem być oddany do liceum w Lublinie. Ponieważ jednak nigdy nie uczyłem się łaciny i ruskiego — przedmiotów wymaganych w szkołach — ojciec wziął korepetytora, Józefa Zieleniewskiego, z 3-ej klassy Liceum dla przygotowania mnie z tych przedmiotów. Czas był już bardzo krótki, ja jednak w przeciągu nie całego miesiąca zrobiłem dość duże postępy szczególniej w łacinie, której najwięcej wymagano. Przy końcu miesiąca pojechałem do ekzaminu, który dość dobrze udał mi się."* Co więcej z obu tych języków uzyskał od początku stopnie celujące.

W Lublinie Wacław umieszczony został na stancji u profesora języka francuskiego, Villaume'a. Zaprzyjaźnił się tam ze starszym nieco od siebie synem profesora, Józefem. Wrócimy jeszcze do niego w innej epoce życia Wacława. Zadzierzgnięta bowiem naówczas przyjaźń przetrwała w rodzinie Villaume'ów i Nałkowskich przez dwie generacje.

Rozstaniu z rodzicami, którzy czas jakiś przebywali jeszcze w pobliskim Wrotkowie, zawdzięczamy pierwsze listy między rodzicami i synem, malujące ich rodzinne uczucia. W nich też przykry charakter Michała Nałkowskiego zyskuje inne oświetlenie.

Starannie w wiadomej walizeczce przechowane kwartalne „wyciągi z cenzury" wykazują nie tylko szybki wzrost ocen postępów w nauce. Właściwie po prostu ze wszystkich przedmiotów Wacław ma wciąż stopnie celujące — oprócz pierwszego kwartału, gdy dwa miał tylko dostateczne. W pierwszym kwartale zastanawia też pozycja dwustu sześćdziesięciu sześciu godzin opuszczonych, w następnym zaś godzin dwustu. W innych, późniejszych „wyciągach" ilość godzin opuszczonych maleje. Co to znaczy?

Otóż zaraz jesienią po rozpoczęciu nauki Wacław zapadł naprzód na jakąś nieokreśloną wysypkę, a wkrótce później na zapalenie płuc. Pisze o tym tak: *„...raz wieczorem siedząc nad książką, poczułem zimno, które wkrótce zamieniło się w silne dreszcze, dygotanie zębów nie pozwoliło mi dalej się uczyć. Myślałem, że przezwyciężę chorobę i poszedłem nazajutrz do klasy, ale nie mogłem wysiedzieć do końca godzin, musiałem się uwolnić i powróciwszy do domu położyć do łóżka, z którego blisko pięć miesięcy nie wstawałem."* Doktorzy podejrzewali wrzód w płucach *„i mówili mi o tym otwarcie, pocieszając, iż młodość i siły przezwyciężą chorobę. Na stancji zaś wszyscy mówili mi, iż doktorzy mylą się w rozpoznaniu choroby, gdyż ja widocznie mam suchoty."* Chorowanie z dala od rodziców w obcym domu, gdzie chorobą swoją sprawiał kłopot i zamieszanie, zmieniając stancję pani Villaume w *„lazaret"* — było straszne.

Rodzice przyjeżdżają zrazu do Lublina, odwiedzają chorego, przywożą ubożuchne wiejskie przysmaki. Wacława leczy trzech lekarzy. Niestety pod koniec choroby zapada również Celina — jej odwiedziny ustają. Zjawiają się natomiast małe liściki. Tylko Michał odwiedza syna, dzieląc wolny czas między oboje chorych.

Oto urywki tych listów rodzinnych:

„...posełam ci znów kochanku kamionkę mleka, świeżych iaj kałakuckich osiem i świeżego masła osełeczkę do nich... widzisz synku iak ci się kurka młoda odpłaca za grzebanie dzieckiem będąc w twoim ogródku."

„Napisz mi kilka słówek o sobie ale niedużo, bo cię to zmęczy. A taksamo dużo słów, iak i parą twemi kochany synku wyrazami nie wymownie się ucieszę. Ściskam cię duszą i sercem twoja kochająca matka Celina."

Wacław odpowiada:

„Moja Mamo kochana. Bardzo ucieszyłem się gdy odebrałem list od Mamy, w którym mi mama pisze, że się nie dłógo zobaczemy o mój Boże żeby ta chwila jaknajprędzej przyszła żeby przecie można raz uściskać Mameczkę bez której mi tak tęskno jóż i tata zaraz odjeżdża i zostaje znowu sam..."

Jeszcze słowa Celiny:

„Ze łzami prawdziwej radości odebrałam twoje miłe synowskie wyrazy dla mnie. Ale czy to jest dosyć dla matki oddalonej od ukochanego synka nie widzieć go i nie słyszeć tych kochających poczciwych słów, któreś syneczku matce stęschnionej, bolejącej sercem nad twem zdrowiem przysłał... Co ci zapiszą doktorzy nie zaniedbaj zażywać."

„Jak się masz dzisiaj czy Braun nie był u ciebie syneczku i jak cię znalazł. Tata mnie tobą tak ucieszył po tym co Krzyżanowski mówił, że mi się zdaie być najszczęśliwszą matką mając takiego z poczciwym serduszkiem syneczka... Może Bóg pozwoli, że cię w tę niedzielę uściskam drogi mój syneczku kiedy sanna dobra, podziękuie iak na to zasługuie Pani Villaume za iej niezwykłą i nie praktykowaną troskliwość dla ciebie. Syneczku mój Tata mówił żebyś sobie posłał do Henego po pół funta cukru podobno 21 czy 23 gro: kosztuie. Teraz aniołeczku mój syneczku kochany zaklinam cię na wszystkie świętości, żebyś się chronił najmniejszego zaziębienia i smarował się słoniną bo ona wraca nie tylko zdrowie ale i siłom pomaga."

„Tak mało napisałeś o sobie ani co Braun ci powiedział, tylko no tak przecież musiał cię kochanku oskultować tylko prawda i to że on zwykle mało mówi... Tak zawsze ciężko cię widzieć, i dziś ojciec jedzie na takie zimno konno, bo chce żeby parobcy omłócili co zboża a tobie moie drogie Di pewno już brakuie mleczka i razoszka którego ci mało posełam boby Tacie było ciężko na koniu..."

„Cieszy mnie drogi mój Synku że ci smakuie przysłany obiad... Szkoda że Ojciec nie został u Ciebie wczoraj, odesławszy przez konie

o tobie aniołku wiadomość twą rączką kreśloną. Bardzo dobrze i taktownie piszesz... Ale biedny ojciec nie mając koni idzie piechotą do synka"....

Długa choroba sprawia, że pośród celujących zjawiają się w „wyciągu" z pierwszego i drugiego kwartału stopnie dostateczne, mianowicie z religii i kaligrafii. Znikają zaś całkowicie w trzecim. I temu zawdzięczamy przechowaną w walizeczce piękną, stalorytami ozdobioną książkę o Kolumbie.

Wracając do ciężkiego charakteru Michała musimy przyznać, że jest on mimo popędliwości ojcem kochającym i troskliwym.

W bardzo wiele lat później zdarzyło mi się rozmawiać z dawnym kolegą Wacława z gimnazjum Lubelskiego, też już dziś nie żyjącym, doktorem Certowiczem. Pamiętał on dobrze nie tylko Wacława, ale i Michała Nałkowskiego, który — po opuszczeniu Wrotkowa — mieszkał już wówczas z żoną i synem w Lublinie jako urzędnik Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego z pensją piętnastu rubli miesięcznie. Doktor Certowicz mówił, że Michał Nałkowski często wracając z biura wstępował do gimnazjum po syna, by razem z nim wracać do domu, że zawsze niepokoił się jego zdrowiem i cieszył postępami w nauce. Lubił przy tym jego kolegów i interesował się życiem gimnazjalnym do tego stopnia, że sam zorganizował przy gimnazjum uczniowską orkiestrę. Rzeczą istotnie godną uwagi jest, że w orkiestrze tej osobiście brał udział i to mianowicie — grając na bębnie.

Z następnych „wyciągów" Wacława odczytujemy wciąż zarówno doskonałą ocenę „pilność", jak „sprawowania". Wszelkie „dostateczne" znikają bez śladu. Od roku 1867 „wyciągi" przybierają nazwę „wypisków", ich schematy drukowane są w języku rosyjskim. I po rosyjsku też wpisywane są zarówno oceny, jak nazwiska sygnujących nauczycieli. Na każdym wyciągu widnieje skromnie z lewej strony u dołu położony podpis Michała Nałkowskiego, świadczący, że cenzurę odczytał.

Na jednym, przy podpisie, znajdujemy wzruszającą prośbę Michała, by mu te kartki zwrócono do jego zbioru, który „składa w miłującej pamięci."

Wacław Nałkowski z klasy do klasy przechodzi z nagrodami, ale żadna już po Krzysztofie Kolumbie nie zachowała się w walizce. Ze złotego medalu, który otrzymał przy ukończeniu gimnazjum, pozostał tylko dyplom.

Zofia Nałkowska

JERZY PYTLAKOWSKI

PIERWSZE STARCIE

1

Dwunastego października 1943 roku pod Lenino

Stoją w długim szeregu: Góra, zamyślony Stec, milczący Kruk i Jaskóła, rozespany Gołaszewski, szepczący Zawiejski i Kuliga, dalej żołnierze drugiego plutonu, dalej drugiej i trzeciej kompanii. Noc jest bezsenna, wszyscy są pewni, że Niemcy również czuwają, mgła, która jeszcze zgęstniała, otula jednakowo szczelnie ludzi i ziemię.

Stec, Kruk, Zawiejski, Gołaszewski, Jaskóła i inni, dziesiątki i setki innych czekają na sygnał, aby wysunąć się z okopów, by wspólnie, po żołniersku, w ogłuszającym jazgocie ognia zbliżyć się, dopaść wroga.

W pobliżu drugiej kompanii, lecz jeszcze na odcinku obsadzonym przez pierwszą, stoi major Bacura. Co chwila spogląda na zegarek, którego nafosforyzowane wskazówki wyraźnie oznaczają godzinę. Obok niego znajduje się Konar. Obydwaj, tak na oko, niczym nie odróżniają się od żołnierzy. Tak samo są ubrani — insygnia oficerskie niknną w ciemnościach. Tak samo są cisi, jakby zleniwiali, tak samo starają się wzrokiem rozedrzeć mrok i choć na chwilę dojrzeć za rzeką, na stoku wzniesień, przyszłe minuty i godziny. Wyglądają podobnie jak wszyscy, a jednak umysły ich i serca, zwłaszcza zaś Bacury, są przepełnione uczuciami i myślami odmiennymi.

— Pierwszy moment będzie najgorszy — przerywa milczenie Bacura. — Brać na siebie ogień nieprzyjaciela, to wcale nie jest przyjemne.

— Damy sobie radę — odpowiada pewnie Konar, choć i on przeżywa teraz właśnie chwilę wahania i słabości.

Ludzie nie są oswojeni z ogniem. Ludzie nie są zaprawieni w walce. Ci ludzie, swoi — żołnierze...

Bacura w ciągu całego życia starał się przenikać ludzi, by lepiej ich rozumieć, to znaczy lepiej pracować i kierować nimi. Nigdy nie był sam, nie znał uczucia samotności, zawsze otoczony towarzyszami, przy wykonywaniu zadań, przy ustalaniu planów. Jeżeli obliczano cokolwiek, ciężary przyszłych dokonań miały spaść na barki określonej i znacznej liczby ludzi i z góry było wiadomo, kto co zrobi. Wiadomo było równie dobrze, że wszyscy wykonają swe zadanie możliwie jak najlepiej. Oczywiście, niegdyś, w latach odległych w czasie, choć we wspomnieniach wciąż świeżych, bywało różnie, zdarzały się niespodzianki. Ale potem wszystko się wyrównało, na ludzi można było liczyć, Bacura zawsze wiedział, do kogo się zwrócić, tak samo jak wiedziano, z czym przyjść do niego. Wtedy najistotniejszy był problem czasu czy po prostu sił, natomiast kwestia zaufania czy kwalifikacji i oceny została rozwiązana.

Major Bacura spojrzał na zegarek. Do godziny szóstej brakowało jeszcze pół godziny. Starł dłonią z czoła i policzków wodę, która już zaczynała się przesączać za kołnierz munduru.

— Przeklęta mgła! — pomyślał, choć zaraz zreflektował się. — Będziemy iść jak w zasłonie dymnej.

Otóż to. Właśnie on sam czuł się niejako jak w zasłonie dymnej. Gdyby go ktoś spytał, jaki przebieg będzie miał dzień jutrzejszy, szczera naprawdę odpowiedź winna brzmieć: „nie wiem". A jest źle, jeżeli dowódca, odpowiedzialny za swych ludzi, nie może ręczyć za nich, jeśli nie wie — gdyż Bacura rzeczywiście nie wiedział — jak zachowa się żołnierz w obliczu przeszkód i trudów boju, jak zachowają się żołnierze.

— Piotrze — szepnął konfidencjonalnie — opowiedz o kraju. Jaki jest ten kraj?

— Jaki jest? — zastanowił się Konar.

— Ja nie znam wcale Polski — usprawiedliwiał się Bacura.

— Kraj niewielki, ale ładny—mówił Konar. — Malowniczy, przyjemny. Niewiele miast, kraj ludzi wiejskich. Władcy w Polsce zmieniali się w ciągu wieków, ale prawdziwy władca, nędza, pozostawała niezmiennie. Przeszłość jest jak chmura, przyszłość — prowadzi do niej tylko jedna droga. Lud może nie pojmując jej jeszcze w pełni stara się nią kroczyć, kroczy nią. I dziś, to znaczy za chwilę, wydaje mi się, że ta często nieuświadomiona jeszcze wola zapanuje nad wszystkim innym...

— Poparta wrodzoną umiejętnością walki i odruchami patriotyzmu — dodał Bacura.

— Małe narody — myślał — są jak uciemiężone klasy społeczne. Ich masy pracujące są podwójnie eksploatowane: jako siła robocza i jako synowie małego narodu.

Pomyślał z dumą o wielkiej Armii Czerwonej.

— To jest nadzieja dla nich. Ale czy oni wszyscy to rozumieją?

Ta dywizja była kroplą w morzu wielkiej armii, ale była jednocześnie czymś niezmiernie ważnym. I Bacura po raz pierwszy poczuł dumę, że jest jednym z jej oficerów, że uczestniczy najbardziej czynnie i bezpośrednio w walce o odrodzenie narodu polskiego, o uwolnienie kraju i budowę państwa na zasadach sprawiedliwości społecznej.

— To było w siedemnastym roku i w latach wojny domowej. Wtenczas także walczyliśmy nie tylko o przyszłość ludów radzieckich. A teraz, walka tej dywizji jest dalszym etapem tamtej. To jest po prostu dalszy ciąg tych naszych zmagań.

Spojrzał na Konara, ledwie mógł go dojrzeć przez osłonę ciemności.

— Za dziesięć minut ruszamy! — krzyknął.

Konar zwrócił się ku niemu, po czym powiedział do Grubińskiego, który stał obok.

— Kompania gotowa do boju.

Przez okopy przeszedł szmer rozkazów, szczęk broni i poruszeń. Zresztą zaraz ponownie się uciszyło. Podporucznik Staniewicz, stojący tuż za Bacurą, sprawdzał rakietnicę. Wszyscy oficerowie, znajdujący się w pobliżu i dalej, zwrócili swe twarze w tę stronę, w której wiedzieli, że stoi major. Czekali na sygnał.

Bacura teraz już nie odrywał oczu od wskazówek zegarka.

Niemal wszyscy mieli przed oczami twarze i postaci ukochanych osób, znajome widoki okolic, gdzie spędzili szczęśliwe chwile. Wspomnienia urywały się, zjawiła się rzeczywistość: ciemna ziemia, spowita mgłą i zasłaniający drogę do kraju, ukryty w ziemi hitlerowski wróg. I jak ze wspomnień wyzierała miłość, tak teraźniejszość zmuszała do nienawiści. Oficerowie zamienili się w kłębki uwagi i gotowości. Mijały ostatnie sekundy. Nadchodziła chwila...

Major przysunął oczy do tarczy zegarka. Prawą rękę podniósł do góry. Staniewicz nie spuszczał z niej oczu. Konar przylgnął wzrokiem do majora. Dalej Grubiński. Jeszcze dalej Wojdyło i Braun, obok sie-

bie, spoglądali w niebo. Wszyscy, prócz stojących najbliżej majora, spoglądali w niewidzialne niebo, zanurzone we mgle.

— Rakieta! — krzyknął major.

Rakietnica Staniewicza głucho szczęknęła i w tej samej chwili oderwała się od ziemi srebrno-żółta gwiazda; sypiąc iskrami, pięła się coraz wyżej i wyżej w zupełnej ciszy, oświetlając tumany gęstej mgły, rodząc ruchomy blask, aż osiągnęła punkt kulminacyjny lotu. Na chwilę stanęła i zaczęła opadać, rozsypując się w drobne, rychło gasnące światełka — zniknęła równie nagle, jak się ukazała.

Szybko, jak mogli najszybciej, ludzie poczęli wdrapywać się na wał ziemny, osłaniający okop, i kolejno znikali w ciemnej przestrzeni niewidzialnej i nieznanej jak przyszłość, która ich czekała...

Ostatnia noc przed bitwą skończyła się...

2

Już od pół godziny trwała ta zabawa. Hitlerowcy oświetlali przedpole reflektorami i rakietami, których blask tylko częściowo tonął we mgle.

Bił w nich ogień niemieckich cekaemów, moździerzy i dział. Leżeli pod drutami ostrzeliwując się. Pierwszy dyon lekkiej artylerii wstrzeliwał się w faszystów, ale ogień jego niknął w huraganie niemieckiej kanonady.

Okopywali się. Wyrzucali spod siebie mokrą ziemię polowymi łopatkami i znowu zamierali w bezruchu, przytwierdzeni siłą nieprzyjacielskiego obstrzału do ściętego przymrozkiem błota. Czekali, by znów pogłębić choć o parę centymetrów wykop, który tyle wysiłku już ich kosztował. Poruszali się więc i znów tylko leżeli.

Dwa razy podrywali się. Cięli druty nożycami, podczołgiwali się, biegli i znów padali.

Pośpieszyli się z okopaniem swoich cekaemów: odpowiadały hitlerowcom pracowicie. Jednak wkrótce faszystowska polówka wymacała jeden z nich i major polecił zachować ostrożność. Właśnie wtedy kazał się okopywać.

Okazało się jednak, że nie zawsze natarcie jest najtrudniejsze. Sytuacja teraz nabrała zdecydowanego charakteru: nieprzyjaciel ich odkrył. Najpierw zdawało im się, że dostrzega każde ich poruszenie, najdrobniejszy nawet ruch. Obsypywał ich lawiną ognia. Pociski padały

między Miereją i drutami, właśnie na nich, tylko nieliczne wybuchały w rzece fontannami wody.

Nic nie pomógł pierwszy impet. Gdy szli, sądzili, że dojdą nie wiadomo dokąd. A gdy jeszcze zaczęły grzmieć polówki myśleli, że zawojują cały świat. Wyszli, przemokli, z wody i wtedy właśnie zaczęło się...

Najpierw nie zwracali uwagi na rozpryskującą się ziemię, na błyski ognia, na błoto, na wyrwy. Prowadził major Bacura. Dostrzegali jego z lekka zgarbione plecy, wyciągniętą prawą rękę z rewolwerem, widoczną w odblaskach eksplozji. Ukazywał się i niknął w ciemnościach na przemian, wciąż był i wciąż go nie było. Głos jego przekrzykiwał kanonadę.

— Za mną! — wołał major. — Chłopcy, naprzód! Za ojczyznę! Za wasze żony i dzieci! Naprzód!

I szli naprzód. Biegli. Jeden drugiego nie widział, wszyscy wpatrzeni w majora. Granatów nawet jeszcze nie odbezpieczyli, nie było do czego, strzelały w myśl instrukcji tylko pierwsze szeregi, cekaemy ciągnęli piechurzy gdzieś w ogonie. A potem schwytał ich hitlerowski ogień maszynowy, kosił tyralierę, czynił wyrwy, siekł i niszczył.

Nie zwracali na nic uwagi. Szli. Pięli się pod górę. Spoceni — nareszcie było im ciepło — śpieszyli się, by jak najrychlej zetknąć się z wrogiem, zmierzyć się w walce, o której marzyli.

I niechybnie wszyscy doszedłszy do tego nieszczęsnego miejsca — znajdowało się ono o jakieś dziesięć metrów od pierwszej linii zasieków — byliby padli. Tam bowiem, na tym pasie, który bezwzględnie musieli przekroczyć, chcąc dotrzeć do drutów, nie było luki: ogień wypełniał powietrze, ciemność i mgłę.

— Padnij! — krzyknął major Bacura.

To on dał sygnał zaprzestania biegu. On rozkazał zatrzymać się.

Okrzyki oficerów brzmiały jak echo.

— Padnij! Padnij! — słychać było dookoła.

Ludzie padali, jak którego schwytał okrzyk: w zagłębieniu, na grzbiecie ziemnym, w zgęstniałej od chłodu kałuży. Został pusty, pochyły stok, reflektory poruszały się z podwójną szybkością, podwójna ilość rakiet wyskoczyła na niebo, nasilenie ognia wzmogło się.

Major podrywał ich jeszcze dwukrotnie. Sam dotarł do zasieków, za nim kilku. Niektórzy poszli jeszcze dalej, ale i oni padli także, choć później niż reszta. Teraz ludzie, otrzeźwieli nieco, już nauczyli się sami padać. Podczołgiwali się. Podciągali cekaemy. Czekali, że może ogień po-

łówek i cekaemów zrobi swoje. Ale nic się nie zmieniło, niemieckie pociski ryły ziemię z niezmienną starannością.

Konar i Wojdyło znajdowali się obok Bacury, który głośno myślał:

— Przecież, do diabła, jednym batalionem, wsparty tylko tymi nędznymi polówkami, nie będę atakował. Faszyści pokazali swoje zęby. I chyba pokazali wszystkie. A o to chodziło. Chodziło, żeby przyjrzeć się hitlerowskim kłom. Okopujemy się!

To mówiąc, sam wykonał rękami gest kopania. Konar podał mu łopatkę I znów ziemia poczęła się poruszać, tylko teraz w innym kierunku. Rozpoczęła się dramatyczna, nerwowa walka tropionej zwierzyny szukającej ukrycia.

Znów minuty biegły ohydnie powoli. Ludzie zagłębiali się w ziemi. Kryli się, nie żeby ocalić swe życie, lecz by wygrać walkę, która się rozpoczęła. Mimo że spełniali te same rozkazy i uczestniczyli w wykonaniu tego samego zadania, teraz, na stoku wzgórza będącego pasem oddzielającym dwa światy, dwa fronty, dwa bieguny, odgrodzeni od siebie ciemnością, skazani byli na pozorną samotność.

Nieprzenikniony poza tą ciemnością wróg, wysyła coraz to nowe pociski, szrapnele, serie z cekaemów przeciw żołnierzowi, jego koledze znajdującemu się o pięć metrów od niego, i oficerowi, który na przodzie, nieopodal drutów tak samo jak wszyscy stara się przygotować sobie odpowiednie schronienie na te długie, za długie minuty...

3

O godzinie siódmej, gdy blask dnia czyni już niepotrzebną pracę reflektorów i blaski rakiet, podporucznik Staniewicz otrzymuje od majora Bacury polecenie udania się do dowódcy pułku z meldunkiem. Meldunek pisze major ołówkiem na kartce zmiętego papieru.

> „Dotarłem do zasieków, nie bacząc na straty, a nawet w dwóch miejscach sforsowałem ich pierwszą linię. Znalazłem się w trudnym położeniu, wskutek zwiększenia się z nadejściem dnia widzialności. Proszę o dalsze rozkazy."

— Macie — major podał Staniewiczowi kartkę. — Pośpieszcie się. Przywiązuję wielką wagę do odpowiedzi pułkownika. Czekam na was pół godziny... Uważajcie na siebie.

Staniewicz, leżący w tym samym co major wgłębieniu, zwinął kartkę i wsunął do górnej kieszeni munduru. Zasalutował i wyczołgał się ze

stanowiska. Bacura, Okoń i Bednarczuk, patrzyli za oddalającym się aż do momentu, gdy zniknął zakryty mgłą i półmrokiem wczesnego dnia.

— Za godzinę i dwadzieścia minut rozpocznie się przygotowanie artyleryjskie. Za trzy godziny ruszymy... — zauważył Okoń.

— Trzy godziny, tak, to niewiele... — powiedział major jakby sam do siebie. — Diabelska mgła... Trzy godziny, to doprawdy niedużo...

W tym czasie kończono właśnie budowę rowu, który pozwalał na utrzymanie łączności między poszczególnymi grupami. Niemiecki ogień zmienił swój charakter. Nieprzyjaciel strzelał oszczędnie, lecz celniej. Mimo to jednak major osobiście kierował przegrupowaniami. Należało się liczyć z możliwością przeciwnatarcia nieprzyjaciela i trzeba było, na wszelki wypadek, przygotować się do odparcia go. Na skrzydłach lekko wysuniętych w kierunku stanowisk faszystów osadzono cekaemy, a w pobliżu nich rusznice przeciwpancerne, obserwatorów i strzelców wyborowych. Oględziny niemieckich pozycji, dokonywane kolejno przez oficerów i stale przez obserwatorów, nie wykazały niczego niepokojącego. Mgła osłaniała wroga. Kłębiła się nad ziemią, pokrywała sobą przestrzeń, zaciemniała lornety polowe. Major z Okoniem i Bednarczukiem dokonał inspekcji batalionu. W nocy ucierpiała głównie trzecia kompania. W pierwszej i drugiej także były straty, jednak niewielkie. Rannych sanitariusze już odebrali, lekko kontuzjowani pozostali na miejscu. Na prawym skrzydle, obsadzonym przez drugą kompanię, trwała ożywiona wymiana ognia. Wystrzelone taśmy pokrywały ziemię koło cekaemu, nad którym nachylali się oficerowie kompanii. Obok leżał martwy żołnierz, z twarzą zalaną krwią. Hitlerowski cekaemista nie pozostawał dłużny i do okopu wpadały grudki ziemi, dziurawionej serią ognia maszynowego.

— Polujemy na drania! — krzyknął Wojdyło widząc majora.

— Ten — wskazał na zabitego — wychylił się. Na chwilę. I wystarczyło. Nie wiem, jak on go zobaczył w tej mgle.

Na odcinku pierwszej kompanii panował zupełny spokój. To znaczy Niemcy obrzucali, zresztą dość łagodnie, przedpole granatami. Moździerz wydawał odgłos podobny do szczęku zamykanego zamku. Granat wybuchał głucho, tylko echo jego wybuchu było soczyste i trwało długo.

Ludzie jedli mięso konserwowe i zagryzali sucharami. Śmieli się przy tym, słuchając stojącego przy nich Gardasza, który opowiadał jakieś anegdoty o Hiszpanii. Tylko jeden żołnierz ze znajdujących się

w kręgu słuchaczy Gardasza nie jadł i nie reagował na dowcipy podporucznika. Do niego przysunął się major.

— Nie jesteście głodni? — zapytał.

— Już jadłem... — odparł zapytany.

— To Zawiejski — ktoś informował. — W nocy wrócił z lazaretu i widocznie tęskni za łóżkiem. Z humorem kiepsko u niego...

— Może jeszcze niezupełnie zdrowi jesteście? — pytał dalej major.

— Obywatelu majorze, jestem zupełnie zdrów — powiedział Zawiejski, choć czuł się bardzo osłabiony i zmęczony.

Major zbliżył się do Konara.

— No, jak tam?

— Zawieszeni między niebem i ziemią — roześmiał się Konar. — Trochę dziwna sytuacja...

— Trochę dziwna — przytaknął major. — Za mało mamy sił, by iść do przodu, a za dużo, żeby wracać. Czekam na dyspozycję. Mam nadzieję, że utrzymamy się do natarcia.

Konar spojrzał na majora.

— Na razie spokojnie. O szóstej było gorzej.

— Nie ruszają się?

— Nic nie widać. Może odsypiają nocny ogień?

Major zerknął na zegarek. Było za dziesięć minut pół do ósmej.

Na lewym skraju ożywiło się. Nagłe wybuchy granatów rozległy się ogłuszającą wrzawą w dość znacznej odległości od krańcowych grup batalionu, co wywoływało niemałe zadowolenie wśród żołnierzy. Zdawać się mogło, że niemiecki celowniczy popełnił duży błąd w obliczeniu i skierował ogień swego granatnika na pusty obszar wzgórza. Jednak nieporozumienie rychło wyjaśniło się w sposób zgoła nieoczekiwany. Jedna, trzy, pięć postaci ludzkich sunęło w stronę okopu od południa. Cekaemiści przesunęli swą broń. Nim uczynili z niej użytek, Stec zawołał: — Stój! Kto idzie?

— Nie strzelaj! Swoi! Nie strzelaj! — odkrzyknięto po rosyjsku.

Nim ktokolwiek zdążył zorientować się w przebiegu wydarzeń, do okopu wczołgało się pięciu żołnierzy radzieckich. Byli tak wysocy, że gdy powstali, musieli natychmiast pochylić się, ponieważ okop osłaniający żołnierzy batalionu dla nich był za płytki.

— Kto u was dowódca? — spytał pierwszy z nich, najwidoczniej sierżant albo starszy strzelec.

Stec wskazał Grubińskiego, który stał obok. Czerwonoarmista zasalutował i zameldował przybycie pięcioosobowego patrolu. Następnie

żołnierz przedłożył podporucznikowi prośbę, by on i jego ludzie mogli skorzystać z polskiego cekaemu.

— A co chcecie robić? Ostrzelać mgłę? — zdziwił się Grubiński.

Polecił jednak swoim ludziom odsunąć się od cekaemu.

Niemiecki granatnik na chwilę przestał wyrzucać swój ładunek, ale zaraz z podwójną energią przystąpił do ostrzeliwania stoku wzgórza. Radzieccy żołnierze przeciągnęli lufę kulomiotu, naradzili się, jaki dać celownik i wysłali w mgłę krótką serię. Następny moment, choć niedługi, zaskoczył wszystkich. To była najprawdziwsza cisza. Granaty nie wybuchały, cekaem milczał. Zaraz rozwścieczyły się faszystowskie cekaemy, lecz tamta pauza została zauważona.

— Jak mogliście ich uchwycić? Przecież ciemno jeszcze, mgła i lornetа nie pomoże... — żołnierze batalionu zasypywali pytaniami czerwonoarmistów.

— Nie widzieliście jak? — śmieli się przybysze. — Po prostu: na polu widać lot granatu.

— Gdzie widać?

— Trochę widać, trochę słychać. Ot, i dojdziesz, skąd go wystrzelił. Myśmy mieli już oko na nich. Mówiliśmy sobie: dostać teraz cekaem, a zamilknie swołocz. I do was. My i tak szliśmy do was. Dowiedzieć się jak tam, czy ciepło... Pogrzać się trochę...

Znów się śmieli. Strusik i Bojarek nie odstępowali cekaemu. Nachylali się nad nim. Spoglądali w stronę niemieckich okopów.

— Słyszeliśmy was — ciągnął dalej czerwonoarmista. — Polacy podchodzą, mówili nasi ludzie. Zajrzymy do nich. Dowódca wysłał patrol. I tak, widzimy, żeście się dobrze zagospodarowali.

Stec poprowadził dowódcę patrolu do majora Bacury, a czterem pozostałym radzieckim żołnierzom Polacy podsuwali herbatę w manierkach, suchary, konserwy. Częstowali tytoniem, a nawet nie wiadomo skąd wziętym spirytusem. Czerwonoarmiści początkowo wzbraniali się przed przyjęciem poczęstunku, lecz widząc, że Polakom naprawdę zależy, by ich ugościć, brali ubrudzonymi rękami kawałki konserwowego mięsa i jedli je zagryzając sucharami.

— Do rana już niedaleko — mówili. — Jeszcze trochę posiedzicie, a ruszymy i zmieciemy hitlerowską gadzinę.

Byli to żołnierze walczący z hitlerowcami od chwili wybuchu wojny. Opowiadali teraz, jak ciężko było, gdy wróg nacierał, a Armia Czerwona cofała się.

— Oddawałeś swoją ziemię, swoje miasta i sioła. Teraz nastały wielkie dni, za które umierali wtedy nasi towarzysze. Idziemy naprzód. Uwalniamy naszą ojczyznę. Uwolnimy i waszą.

Powrócił Stec z dowódcą patrolu. Pożegnanie radzieckich żołnierzy z polskimi nie trwało długo.

— Do zobaczenia w faszystowskich okopach!

Strusik uruchomił cekaem, by odwrócić uwagę Niemców od czołgającego się w stronę swych pozycji radzieckiego patrolu.

Do godziny ósmej brakowało trzydziestu minut, kiedy działa niemieckie wstrzeliły się w okop. Pociski zaczęły wybuchać na środkowym odcinku jeden obok drugiego, siejąc dookoła śmierć i spustoszenie. Cekaemy ze skrzydeł zagdakały z podwójną werwą, co jednak nie zmniejszyło ani celności, ani siły niemieckiego ognia. Odezwały się jęki i krzyki, nawoływania żołnierzy, rozkazy oficerów. Ludzie zaczęli zmieniać stanowiska: jedni uciekali od miejsc, gdzie przed chwilą wybuchł pocisk, inni, przeciwnie, szukali ich. Powstało zamieszanie i upłynęło nieco czasu, nim oficerom udało się przywrócić porządek. Jednak nie trwał on długo. Nowa seria pocisków wybuchła z niezmienną siłą. Po niej nastąpiły jeszcze dwie inne. Major musiał wydać nowe rozkazy. Ociągał się, zwlekał, czekając na powrót Staniewicza, który się opóźniał... Dalsze czekanie było jednak niemożliwe. Kazał opuścić okop. Z każdej kompanii dwa plutony miały rozpocząć, jeden o piętnaście metrów przed dotychczasowymi stanowiskami, drugi o dwadzieścia metrów poza nimi, budowę nowych stanowisk, bardziej rozrzuconych i tym samym trudniejszych do wykrycia. Ludzie ruszyli. Hitlerowcy, nie wiadomo czy dostrzegli cokolwiek, czy też wyczuli, dość że jeszcze bardziej wzmogli ogień artylerii, a także otworzyli ogień maszynowy. Członkowie plutonów wyznaczonych do kopania nowych stanowisk rozbiegli się, każdy szukał dla siebie schronienia, rył ziemię, żłobił ją łopatką w miejscu, które uznał za najdogodniejsze. Dochodziła ósma i major Bacura zrozumiał, że podporucznik Staniewicz nie powróci.

4

Losy batalionu, który nawiązał bojowy kontakt z nieprzyjacielem, były dowódcy pułku mniej więcej znane. A więc, przede wszystkim

pułkownik wiedział, że punktualnie o godzinie szóstej batalion pod dowództwem majora Bacury opuścił stanowisko wyjściowe. Że batalion nie zniknął, nie zapadł się pod ziemię, świadczył o tym ogień nieprzyjaciela, który w ciągu godziny był nieprzerwanie silny. Obserwatorzy z mapami przed sobą jeszcze raz oznaczali przypuszczalne położenie niemieckich stanowisk ogniowych, poprawiali błędy popełnione dawniej przez innych, wypełniali luki w informacjach.

Odgłosy bitwy wzmagały się i słabły, strzelanina jednak nie milkła ani na chwilę. Obserwatorzy sztabowi przez pewien czas byli nawet w kontakcie z tyłami atakującego batalionu, wszakże wkrótce wycofali się chcąc ocalić cenne notatki i wykresy. Ogień niemiecki pokrywał całe przedpole, a im ryzykować nie było wolno. Pułkownik czekał na meldunek od Bacury. Początkowo usiłowano przerzucić kabel telefoniczny, jednak ani na chwilę, mimo całego heroizmu telefonistów, którzy na nic nie bacząc prowadzili swą pracę, nie udało się uruchomić połączenia. Wkrótce też pułkownik wydał telefonistom polecenie zaniechania prób instalacji kabla. Przecież Bacura ze swym batalionem nie odszedł nie wiadomo dokąd, lecz znajdował się w pobliżu. Ale co on tam robił, tego dokładnie pułkownik nie wiedział. Strzelał, to pewne. Ale jak? Jak ranny, przez dziką bestię osaczony myśliwy, pragnący opóźnić swój koniec, wypróżniając ostatni magazyn? Czy też jak pełnowartościowy przeciwnik, z ataku przechodzący dla zmylenia wroga do obrony, by po chwili z tym większą siłą prowadzić natarcie i osiągnąć tym większe sukcesy?

Osłonięty mgłą, ale tak bliski, że zda się, wyciągnąwszy rękę można go dotknąć, pierwszy batalion prowadzi bitwę, której jedynym i istotnym celem jest ustalenie pozycji nieprzyjacielskich i przygotowanie prawdziwego natarcia.

Pułkownik nie zdawał sobie sprawy, czy Bacura przypadkiem nie musiał przyjąć innej roli, aniżeli ta, jaką miał odegrać? Czy nie narzucono mu działania niezgodnego z samą zasadą działania, które batalion miał przeprowadzić?

Cała historia stawała się coraz bardziej denerwująca głównie przez to, że brak było informacji o położeniu, w jakim znalazł się batalion. Przecież Bacura powinien był słać meldunki, ludzi, wiadomości. Główna operacja rodziła się w porannym świetle zamglonego dnia, gdy tym-

czasem pierwszy batalion, zagubiony na wąskiej przestrzeni nie dawał znaku życia.

Zdenerwowanie pułkownika było całkowicie zrozumiałe, tak samo zresztą, jak irytacja majora Bacury, daremnie czekającego na rozkazy. I pułkownik, i major nie wiedzieli bowiem — pierwszy o misji podporucznika Staniewicza, drugi o sposobie, w jaki podporucznik misję tę przeprowadził.

Major rychło stracił z oczu Staniewicza. Podporucznik wytoczył się z rowu jak kula, przebiegł pędem parę kroków, zaraz upadł — seria z karabinu maszynowego przeszyła mgłę. Jacyś żołnierze krzyczeli:

— Kryj się! Czort, chce ogień na nas sprowadzić!

Staniewicz uśmiechnął się. Na pewności siebie nigdy mu nie zbywało. Wierzył w szczęśliwą gwiazdę, pod którą jakoby — tak mu się zdawało — urodził się. Nie powstał jednak, chociaż był przekonany, że nieprzyjaciel nie może go widzieć, a jeśli nawet, to żaden celowniczy nie dokaże cudu, by schwytać go na muszkę swej broni. Pragnął działać szybko, lecz przez wzgląd na konieczność doręczenia meldunku postanowił zachować wszelkie możliwe środki ostrożności. Staczał się więc ze stoku, nie zważał na to, że cały się ubrudzi i że rani sobie ręce i twarz o ostre łodygi suchej trawy. Zmęczył się bardziej posuwając się w ten sposób ku rzece, niż gdyby nawet biegł. Zatrzymał się, by chwilę odsapnąć, gdzieś mniej więcej — jak obliczał — w połowie drogi do rzeki. Nie widział jej jeszcze, lecz czuł już jej bliskość: wdychał zapach wody, łagodny, rześki. Obejrzał się: ziemia piętrzyła się nad nim, niezbyt pionowo, ale stwierdził z satysfakcją, że najgorszy odcinek już przebył. Stanął na nogach, otrzepał się nieco.

— Wyglądam jak kominiarz — pomyślał ze złością, widząc się już zabłoconym i brudnym przed pułkownikiem.

Jednak nie było rady. Musiał zapomnieć o wymogach elegancji. Biegł truchtem, lekko, gdyż grunt wciąż się obniżał. Potykał się o nierówności ziemi, ślizgał się na wilgotniejszych, błotnistych miejscach. Słyszał strzały za sobą, przed nim też rozerwało się parę pocisków — obliczał mimo woli — na linii rzeki. Znów zatrzymał się.

— W takiej mgle nie trudno zabłądzić — zreflektował się. — Już powinna być rzeka...

Stał na ziemi — czuł ją pod stopami. Przed nim i za nim była mgła, nic więcej nie widział. Jakiś chlebak — zawadził o niego nogą, sprawdził, co to takiego. Dojrzał plamy krwi.

— Tędy transportowano rannych — ucieszył się. Zerknął jeszcze na kompas. Szedł dobrze. W tej chwili na lewo od niego, blisko, rozerwał się armatni pocisk. Upadł na ziemię, chroniąc się w ten sposób przed odłamkami. Ledwie powstał, znów ziemia zadrgała, znów upadł, poczuł ból w lewej nodze. Dotknął jej dłonią — cała była we krwi.

— Dostałem — stwierdził spokojnie.

Powstał jednak. Noga bolała go mocno. Spróbował uczynić nią ruch. Z bólu aż pociemniało mu przed oczami. Przylgnął do ziemi. Zastanawiał się co począć. Ulokował się w dość płytkim leju.

— Muszę powstrzymać upływ krwi — postanowił. Czuł wyraźnie, jak z płynącą krwią nikną jego siły.

Przeląkł się. Przecież musiał doręczyć meldunek.

Mozolił się nad odsłonięciem zranienia. Górą szły pociski, deszcz odłamków siekł ziemię.

— Wzięli się za ten odcinek — mruknął do siebie Staniewicz, daremnie zadając sobie ból: nie zdołał zsunął buta, który uniemożliwiał dotarcie do rany.

Znów powstał i spróbował iść. Tylko że teraz musiać piąć się w górę pionową ścianą leja. Nie zwracał uwagi na rozrywające się szrapnele, zmagając się z bólem i osłabieniem.

Niebardzo zdawał sobie sprawę, co się dzieje, gdy ziemia zasypała mu oczy, a we wgłębieniu leja uczynił się ruch jak na drodze. Przetarł oczy i ujrzał obok siebie radzieckiego oficera sanitarnego i dwóch sanitariuszy.

— Mało ci tego? — skarcił Staniewicza oficer, spoglądając uważnie na jego ranę.

Staniewicz wyjaśnił, że idzie z meldunkiem i jak najrychlej musi dotrzeć do celu.

Oficer radziecki, młody, o kruczych włosach i czarnych oczach, chyba Gruzin, obejrzał nogę Staniewicza.

— Masz szczęście — powiedział. — Kość nieruszona.

Teraz Staniewicz już był spokojny o swoją ranę.

— A wy skąd tu wzięliście się? — spytał.

— Druga tura. W pierwszej przenieśliśmy dwóch waszych rannych. Więcej nie było. Wasi zabrali. A jak tam? — wskazał głową w stronę linii.

— Nic — odparł Staniewicz. — Trochę pukamy.

— Jeszcze godzina, dwie — mówił radziecki oficer. — T-34, wiesz?

— Nie wiem.

— Czarna śmierć, jak je nazywają faszyści. Już niedługo będą ją mieli. Ty na wojnie od dawna?

— Na wojnie? Od 1939. Na froncie — pierwsza bitwa.

— Zobaczysz. Nasza artyleria rozwali ich umocnienia. A potem pójdą samoloty i czołgi. I piechur wejdzie w niemieckie okopy. Tak, dobrze będzie?

Staniewicz nie wiedział, czy pytanie odnosi się do obrazu przyszłej bitwy, czy też do zakończonego właśnie opatrunku.

I jedno, i drugie zadowalało go, więc odparł, nie żądając już żadnych wyjaśnień:

— Dobrze. Dziękuję. Dobrze.

Począł iść. Uciszyło się nieco, choć nie na długo. Staniewicz wdrapał się na krawędź leja.

— Dobrze! Dziękuję! — krzyknął jeszcze raz za radzieckimi sanitariuszami, oddalającymi się w kierunku południowym.

Mógł iść, choć z trudem. Najgorzej go męczyło ciągłe upadanie i podnoszenie się. Pociski znów biły gęsto, na cały ten pas ziemi, przez który szedł, padał deszcz odłamków.

— Przecież nie mogą mnie widzieć — mówił sam do siebie, nie żeby się uspokoić, lecz jedynie w celu przytłumienia wściekłości na niemiecki obstrzał i jego skutki: powolne posuwanie się, ranę i w końcu to, co najważniejsze: opóźnienie w doręczeniu meldunku.

— Ale mgła, cholera — mruknął, gdy znalazł się w nadrzecznym sitowiu, nie dostrzegłszy go.

Był zmęczony i osłabiony.

— Kąpiel mnie orzeźwi — pocieszał się.

Przedzierał się przez sitowie, które stawało się coraz bardziej gęste, w końcu poczuł, że ziemia pod nogami się skończyła, dotarł do rzeki.

Jeszcze korzystał z ochrony trzcin, odpoczywał przez chwilę. Rzekę postanowił przebyć jak najprędzej, biegnąc, i dlatego teraz zbierał siły.

— Już idę — postanowił, nie mogąc się doczekać przypływu energii.

Woda była zimna. Muł z dna więził stopy. Staniewicz odrywał je z niemałym trudem. W praktyce jego bieg stał się niezbyt szybkim marszem. Dno zniżało się, woda dosięgała już kolan stawiając coraz większy opór ciału, utrudniając ruchy. Staniewicz przymykał oczy — blask dnia odbijany przez wodę raził go. Dochodził do połowy Mierei, żeglując coraz zawzięciej rękami. Chlebak podciągnął, by nie dosięgła go woda. Oddychał ciężko, przed oczami biegały mu czarne płatki.

— Żeby nasi mnie nie powitali za serdecznie — myślał.

Ale polskie linie, jeszcze niewidoczne, drzemały. A zresztą, z pewnością spodziewano się przybycia łącznika i wydano odpowiednie rozkazy.

Uspokoił się. Szedł powoli, lecz pewnie, zanurzony w Mierei powyżej kolan. Niemieckie strzały ucichły, pozostawił je poza sobą. Już był pewien, że dotrze do swoich i doręczy meldunek pułkownikowi. Chmura dymu i fontanna wody, które przed nim wykwitły, nie dotarły do jego świadomości. Nikt na niego nie patrzył w chwili wybuchu artyleryjskiego pocisku. Każdy przygodny widz tego incydentu stwierdziłby jedno: podporucznik posuwał się naprzód. W pewnej chwili osłonił go dym, woda rzuciła się do góry. Gdy dym rozwiał się, a woda opadła, w rzece nie było nikogo. Nurt wodny stopniowo wygładzał się, spokojnie, leniwie, fale biegły już zwyczajnie, po swojemu, w kierunku Dniepru...

5

Ten prowizoryczny okop lewym krańcem nieco przybliżał się do nieprzyjaciela. Z lewej też strony osadzono cekaem. Cała załoga składała się z siedmiu ludzi. Siłą rzeczy, dowództwo objął podporucznik Grubiński. Stec, Gołaszewski, Jaskóła, Kruk, Strusik i Bojarek byli jego podkomendnymi. Po prawej ręce, o jakieś dziesięć metrów, w podobnym rowie znajdowała się grupa żołnierzy, a, tak się zdawało Grubińskiemu, dowodził nimi Gardasz. Nieco z tyłu, po lewej stronie, siedział Góra z kilkoma ludźmi. Konar tkwił gdzieś w centrum, Grubiński zgubił go z oczu.

Obecnie każda niewielka załoga naprędce zbudowanego stanowiska, była zdana na samą siebie, o nawiązaniu porozumienia nawet z sąsiadami nie można było marzyć. Nieprzyjaciel bił bez przerwy, każdy ruch kwitował celnym ogniem i sytuacja była raczej nieprzyjemna. Cekaem Grubińskiego pracował niemal bez przerwy, ale co z tego? Faszyści, lepiej zamaskowani, byli bezpieczni, oni siedzieli nieruchomo w swoich kryjówkach, całą energię koncentrując na obserwowaniu przeciwnika i oblewaniu go strugą ognia.

Na Grubińskiego i jego ludzi — tak obliczał podporucznik — skierowany był ogień co najmniej dwóch cekaemów i chyba baterii dział średniego kalibru. Pociski armatnie padały dookoła raz bliżej, raz dalej, dla każdego członka załogi stanowiska było jasne, że Niemcy wstrze-

liwują się i że w końcu, mimo złej widzialności, mgły i falistości terenu, wstrzelają się. Nie można było w żaden sposób przeciwdziałać temu. Rów posiadał dostateczną głębokość, w tym zakresie zrobiono wszystko, co było do zrobienia. Powtórna zmiana pozycji nie wchodziła w rachubę: dzień na tyle stał się już jasny, by sam tego rodzaju pomysł uczynić nie do przeprowadzenia.

W tej sytuacji propozycja każdej akcji byłaby przyjęta z radością. A więc atak lub powrót na linię. Obie te czynności, każdy zdawał sobie z tego doskonale sprawę, były ryzykowne i trudne do przeprowadzenia. Jednakże niosły one zmianę, martwa bezczynność, oczekiwanie na wyrok losu wyrażonego za pośrednictwem niemieckiego pocisku, wreszcie by się skończyły. Aby to jednak mogło nastąpić, musiały nadejść odpowiednie rozkazy. Jak dotychczas nic nie wskazywało, by miały one nadejść, a co najgorsze, w gruncie rzeczy każdy był przekonany, że w ogóle takie dyspozycje nie zostaną wydane. Stan obecny bowiem w myśl zasad wojennych stwarzał korzystną sytuację dla ataku, który w niedługim czasie miał nastąpić, i ów niby to przyczółek należało utrzymać.

A więc ta nadzieja była niezmiernie słaba i złudna. Jeszcze inną można było się pocieszać. A mianowicie tą, że faszyści wyjdą ze swych podziemi i będą próbować w walce wręcz zniszczyć przeciwnika, który odważył się podejść tak blisko. I znów nic nie wskazywało, by i ta druga nadzieja miała się ziścić. Niemcy nie poruszali się, nie dawali znaku życia, tylko bili i bili. To prawda: bili nietęgo, niezbyt celnie, ale jak długo można się stale mylić? Pół godziny czy godzinę?

Minuty bardzo, niezmiernie długie, jakże powoli biegły. Mgła leniwie zwijała się przed nimi i za nimi w jakieś wzory, nieregularne i stale się zmieniające dekoracje nie wiadomo dla jakiej akcji. Wszyscy zwilgotnieli od tej mgły, ziemia stwardniała od nocnego chłodu, teraz tajała, pokrywała się błotem. Noc była ciężka, ale ten poranek stawał się stokroć cięższy. Światło raziło oczy, huk detonacji — uszy. Zmysły, normalnie niezauważalne, których funkcjonowanie odbywało się tak po prostu, jak gdyby w ogóle nie istniały, teraz stawały się odbiorcami i z kolei przenosicielami wrażeń za silnych.

Pierwszy kwadrans. Wstrzelanie się w linię nieprzyjacielską. Regulacja celownika.

— Bijcie krótkimi seriami — mówi Grubiński.

— Krótkie serie — powtarza Stec.

Strusik i Bojarek stosują się do polecenia. Serie są krótkie, przerwy następują rytmicznie i Grubiński, chcąc nie chcąc, dosłuchuje się w gamach strzałów, oddzielonych od siebie milczeniem, muzycznego sensu.

Oczekiwanie. Czekają, że coś nastąpi. Rozglądają się. Lornetują szczyt wzgórza, lecz nic się nie zmienia. Powtarzają więc swoje próby dostrzeżenia nieistniejącego. Znów daremnie.

— Przerwać ogień — mówi Grubiński.

Cekaem milknie. Strusik i Bojarek wpatrują się w podporucznika. Ze środka gdzieś bije wciąż polski cekaem. Niemieckie sieką. Na wszelki wypadek chyba. Wybuchy pocisków artyleryjskich stają się bliższe.

Grubiński zastanawia się:

— Co robić? Co trzeba kazać robić?

Ale to już jest drugi kwadrans. Milczący i nieruchomy, ciągnący się w nieskończoność. Sieć nieprzyjacielskiego ognia zacieśnia się. Ludzie podnoszą kołnierze. Rozcierają zgrabiałe ręce. Za ciepło nie jest.

— Tyle granatów mamy — mruczy Gołaszewski. — Podczołgalibyśmy się, rzucili parę jajeczek, weselej by się zrobiło...

— A weselej — uspokaja go Stec. — Rozleciałbyś się w kawałki razem z granatami. Niemcy mieliby widowisko. Śmieliby się, ale by się śmieli...

Strusik i Bojarek także dogadują. Jedynie Kruk i Jaskóła milczą. Zachowują się tak, jakby ich nic nie obchodziło to, co dookoła się działo. Obserwują ogień niemiecki z iście stoickim spokojem, czasem popatrzą na siebie, bez uśmiechu ni lęku, tylko uważnie.

Ogień. Ziemia rwie się w strzępy. Dym, dymy: brunatne, czarne.

Gołaszewski zaczyna mieć halucynacje. Tak przynajmniej orzekają jego koledzy. Patrzy w stronę hitlerowców, patrzy...

— Nie wychylaj się — mówi Stec. — Dużo zobaczysz gołym okiem.

— Widzę — ożywia się Gołaszewski. — Idą. Chyba cały pułk. Ale idą.

Grubiński przysuwa do oczu lornetkę. Nikogo nie ma, tylko wpośród mgły filują ciemniejsze pasma dymu.

— Macie halucynacje — mówi.

— Ma halucynacje — powtarzają żołnierze.

— Dałbym głowę, że ich widziałem — oświadcza spokojnie Gołaszewski.

Grubiński wydaje rozkaz ponownego otwarcia ognia. Taka zupełna bezczynność jest nie do wytrzymania. Strzelając można wywołać złudzenie prowadzenia walki.

I tak mija następny kwadrans. Gdy mija, nadchodzą najcięższe chwile. Do rowu pada niemal bez przerwy deszcz ziemi i odłamków. Siecze o hełmy, drze płaszcze. Wszyscy są czarni, oczy, usta i uszy mają pełne błota. Po środku nasyp zapada się, poprawiają go, pogłębiają spłycony przez wstrząsy i odpryski ziemi rów. Już nic nie widzą, nawet siebie nie dostrzegają, znajdują się w ciągłej chmurze dymu. Dym ten rozrywają co chwila rozbłyski wybuchów.

Ludzie się krztuszą, kaszlą, plują.

— Zaprzestać ognia! — woła Grubiński.

— Przerwać ogień! — powtarza Stec.

Dym wszystko zasłania, nie warto strzelać w ciemnościach i na ślepo. Taka strzelanina psu na budę się nie zda.

Gołaszewski dostał odłamkiem w rękę. Powierzchowne draśnięcie: rwie koszulę i tamuje krew. Wszystkim krwawią dłonie, twarze, uszy, rażone grudami ziemi, ostrymi jak kamienie.

Robi się ciasno: dookoła jest dym. Duszno: dookoła jest dym. Ziemia zniknęła, koledzy, dowódcy — wszystko. Pozostali sami zdani na łaskawość przypadku, ogłuszeni, półżywi, nic nierozumiejący.

Grubiński resztkami świadomości stara się znaleźć sposób ratunku. Jeszcze nie zostali trafieni, a już przestają być żywymi ludźmi. W wypadku hitlerowskiego ataku, znajdując się w takim stanie, nie zdołają przecież nawet nawiązać walki.

Trze piekące niemożliwie oczy brudnymi rękami i myśli. Wreszcie krzyczy:

— Śpiewać! Śpiewać!

Trąca żołnierzy, uderza ich po plecach.

Sam zaczyna. Pieśń o tym, jak idą z dalekiego kraju do ojczyzny, jak wracają do znajomych kątów, do bliskich osób, jak idą, tak jak teraz.

Żołnierze śpiewają. I trwa ten dziwny popis wokalny. Głosy łamią się w kaszlu, chrypią, słowa giną w huku salw, ale melodia brzmi donośnie, płynie przezwyciężając huk kanonady, lśni pełnią dźwięków, pokonując mrok, zwycięsko walczy, dociera do sąsiednich stanowisk, które ją podtrzymują, cały batalion śpiewa! Ogień kładzie się na stoku wzgórza, ale śpiew trwa. Słyszą go faszyści i może słyszy cały świat ten śpiew walczącego batalionu...

Piętnaście minut przez godziną ósmą major Bacura posłał z meldunkiem do pułkownika małego i zwinnego żołnierza z trzeciej kompanii, który znalazł się obok niego.

— Ten to chyba przejdzie — pomyślał.

Już nie czekał na rozkazy. Przygotowanie artyleryjskie miało się rozpocząć o ósmej dwadzieścia i, praktycznie rzecz biorąc, o poleceniu wycofania się major mógł dowiedzieć się w chwili, gdy ogień własnej artylerii będzie leżał całą swą siłą na nieprzyjacielu. A wtedy batalion, nawet na obecnych stanowiskach, będzie się czuł pewnie i bezpiecznie.

Chciał jedynie zawiadomić pułkownika o swoim położeniu i o tym, że nieprzyjaciela nie należało lekceważyć, gdyż rozporządzał znaczną siłą ognia, co przy dogodności zajętego terenu stworzyć mogło bardzo niebezpieczną sytuację.

Łącznik poszedł — przepadł jak kamień w wodę, mógł przejść, równie dobrze mógł zginąć, major szukał pomocy zegarka, jednak nie otrzymał jej. Minuty mijały, była już ósma, po ósmej...

Sytuacja nie ulegała zmianie. Dymy ostatniej salwy nie rozeszły się jeszcze, a już rozpoczynała się następna. Terkotanie maszynowych karabinów, wychodzące z mroku, dobywało się jakby z worka.

— Długo trwa ta noc — ktoś zażartował, czyniąc aluzję do biernego wyczekiwania, w którym wciąż tkwili, i do mroku, w jakim się znajdowali.

Godzina ósma dwadzieścia. Punktualnie, z dokładnością do jednej sekundy. W każdym rowie znajdował się przynajmniej jeden zegarek, otoczony ogólną uwagą. Wszyscy pogrążali się w oczekiwaniu.

Sekundy biegły, we wschodniej stronie niezmiennie trwała cisza, z zachodu wciąż biegły pociski.

— Zasnęli czy co? Zegarek źle idzie? Faszyści wszystkich wybili? Nie będzie natarcia? — mówili żołnierze jeden przez drugiego.

Oficerowie znajdowali się w jeszcze gorszej sytuacji. Oni powinni byli udzielić wyjaśnień i wytłumaczyć, dlaczego o oznaczonej godzinie nie rozpoczął się ogień własnej artylerii. Tak samo, jednak, jak żołnierze, nie wiedzieli, co się stało i tak samo byli zdenerwowani. Tyle że starali się swe zdenerwowanie ukryć i wypowiadali uspokajające uwagi, które wszakże nikogo nie uspokajały.

Łącznik wrócił wcześnie. Już o pół do dziewiątej zameldował się u majora. Brudny był niesamowicie, zziajany i szczęśliwy, jak młody psiak po udanej zabawie.

Pułkownik rozkazywał, by batalion pozostał na dotychczasowym stanowisku i by z niego na sygnał podniósł się do natarcia. Pułkownik zawiadamiał także, że z powodu gęstej mgły, która zmniejszała znacznie widzialność, przygotowanie artyleryjskie zostało przesunięte o godzinę, to znaczy miało się rozpocząć o godzinie dziewiątej dwadzieścia, a początek szturmu piechoty został wyznaczony na dziesiątą minut czterdzieści pięć.

— Aha — rozmyślał major. — Mgła. Jest bez wątpienia. Ale wątpię, żeby w ciągu godziny widzialność znacznie się poprawiła. Ja przedłużyłbym raczej przygotowanie ogniowe, licząc się z tym, że skuteczność ognia może szwankować.

Poweselał jednak, gdyż już wiedział, że nic ważnego nie zaszło, że po prostu batalion będzie o godzinę dłużej pozostawał w obecnym trudnym położeniu.

— Dowiedzieliście się czego o podporuczniku Staniewiczu? — spytał żołnierza, który przyniósł rozkaz pułkownika.

— Nie, obywatelu majorze — odpowiedział żołnierz. — Nikt go nie widział, a po drodze także go nie widziałem...

— Dobrze, możecie odejść — powiedział sucho major — wszystko w porządku.

Żal mu się zrobiło Staniewicza. Taki był młody, pełen młodzieńczej energii. A teraz przepadł, ślad po nim zaginął.

Wszystko w porządku...

W tej chwili major żałował również wszystkich żołnierzy swego batalionu, tych, którzy tak jak on tkwili w ziemi na przedpolu, i tych, których sanitariusze ponieśli na tyły, zbroczonych krwią, z twarzami wykrzywionymi od bólu, i tych, którzy już spokojni i cisi, zaścielali gęsto stok wzniesienia.

Uśmiechnął się dziwnie. Widzieli ten uśmiech kapitan Okoń i szeregowiec Wątorek. Nie śmieli pytać o jego przyczynę, choć bardzo jej byli ciekawi. A major Bacura uśmiechał się po prostu dlatego, że widział Okonia i Wątorka, siedzących przed swymi domkami, w zadrzewionych ogródkach, gdzie wonie kwiatów krzyżowały się ze świergotem ptactwa i z barwą zieleni, spokojnych, zadowolonych, bezpiecznych. Mruczał do siebie: — Pracy będzie dużo. O, ile pracy — aż stęknął. —

— Ale bo i ludzie się znajdą do niej. Szukać ich nie będzie trzeba. Sami przyjdą.

Kapitan Okoń pokazał majorowi zegarek.

— Już zaraz — powiedział. — Zaraz się zacznie.

Major oprzytomniał.

Chwila szturmu zbliżała się. Przygotowanie artyleryjskie miało się rozpocząć lada moment...

Jerzy Pytlakowski

JAN BRZOZA

BLOK Nr. 14

Jak po zwycięstwie
zatknięty sztandar,
zawisł wieniec
kolorowy
nad dachem budowy.
Ukończyliśmy pracę.
Nowy dom stanął.
Odchodzimy
z ostatnią wypłatą.
Mieszkanie zamieszkało słońce.
(Najpierw lokator)

Włodzimierz Domeradzki

Przez całą noc szalała nad Katowicami burza śnieżna. Termometr wskazywał w miejscu zacisznym minus sześć stopni. Rano ludzie idący do pracy przepychali się przez wichurę i brnęli w zaspach śnieżnych. Ci, którzy szli na budowę, wątpili, czy dziś będzie możliwa robota. Na Koszutkę jest dość daleko. Nowe to osiedle znajduje się o trzy kilometry od północnej granicy Katowic i tramwaj był nabity do ostatnich granic możliwości. Już w wagonie zawiązały się dyskusje na temat pracy. — Robota dziś na nic — chrypiał jakiś głos w kącie wagonu. Tramwaj oświetlony rzęsiście przepychał się przez wichurę, tworząc w zadymce czerwoną łunę. W pewnej chwili stanął i wszystkie światła zgasły. Któraś z kobiet pisnęła, inna zachichotała. Potem znowu światła zabłysły i znowu tramwaj ruszył. Koła zgrzytały i trzaskały iskrami, a o szyby uderzał wściekle sypki śnieg. Panowała raczej cisza, ludzie wymieniali krótkie zdania wsłuchani w szum zawieruchy. Na przystanku wysypali się z tramwaju, który pojechał dalej, znikając w ciemnościach.

W dużej szopie zebrał się tłum. Panowała tu ciemność, pachniała żywica z desek. Na środku stała „fajerka" rzucająca wokoło czerwone

refleksy, od których twarze ludzkie przybierały niesamowity wygląd. Gwar był tu większy i rozmowy toczyły się wyłącznie wokół dzisiejszego dnia pracy. Gwar przebijał od czasu do czasu głos, który w tramwaju dowodził, że „robota dziś na nic". Wszyscy na ogół zgadzali się z tym, zwłaszcza starzy robotnicy budowlani. Najstarszy był Tobiasz i jego to chrypiący głos przecinał uderzającą o ściany wichurę. Tobiasz był starym gracownikiem. — Gdzież to kto widział — mówił — gdzież to kto widział, żeby w taki czas szła robota? Tera to tylko koło baby pod pierzyną, a nie na mur. Co to za moda tera w zimie robić na budowie? Gdzie to dawniej, Tylko w lecie, bo to i cegła sucha, i rąk nie kaleczysz, i słońce mury suszy, wapno jak należy i człowiek się nie męczy. Pamiętam za moich czasów murarze na stołkach siedzieli i jak położył pięćset cegieł, choć dniówka była długa na dziesięć i dwanaście godzin i batem czasem majster popędzał pomocników, to no! Nowa moda...

Ludzie przytakiwali w milczeniu. W baraku szarzało, a w otwartych drzwiach jaśniał niebieskawy świt. Dym z papierosów miał tu zapach wiatru.

Do baraku wszedł przewodniczący Rady Zakładowej, Wióra. Małego wzrostu, czarny jak cygan; gdy poprawiał kapelusz, błysnęła łysina. Rozejrzał się bystro wokoło i stanąwszy koło koksiaka zapytał:

— No co, robimy?

Z początku nie było odpowiedzi, co było widomym znakiem, że raczej nie. Wióra zbliżył się jeszcze bardziej do żaru. Na jego kościstą twarz padało z jednej strony niebieskawe światło dnia, z drugiej czerwony blask ognia.

— To jak będzie z wykonaniem?

Znowu cisza, przerywana kaszlem, który w tej chwili wyglądał jak zakłopotanie. Wióra rozejrzał się i jego krótki wąs jakby się zapalił płomieniem.

— Samiśmy postawili termin, sami zobowiązali się, że wykonamy, a teraz?

— Jo, sami, ale tero w tako plucha — odezwał się ktoś śląskim akcentem — tero nie idzie wykonać...

— To jak będzie? — spytał Wióra.

— Ano, przestanie, to będziemy robić i nadrobimy.

— Jak nie przestanie przez miesiąc, to jak?

— To nie trza w zimie robić, taka moda — zachrypiał z kąta Tobiasz.

Wióra zaperzył się. Twarz mu pociemniała, odwrócił się w stronę tamtego kąta i odezwał zachrypniętym głosem, zupełnie podobnym do głosu przeciwnika.

— A wam się, stary, nie podoba, co? Jużeście się tak dorobili, że nie trza wam zarobić? Już wam tak dobrze na świecie, co?

— Dobrze nie dobrze, ale w zimie się nie robi na budowie.

— Kto wam to powiedział?

— Mnie nikt, ale jak nie wierzycie, to idźcie do roboty dzisiaj, a zobaczycie...

Śnieżyca zatrzęsła ścianą baraku. Koksiak rozjarzył się mocniej, ludzie zaszemrali. Gwar wzbił się pod dach szopy i wszyscy patrzyli w stronę murarzy, którzy zachowali milczenie. Wióra zwrócił się wprost do nich.

— No jak tam, towarzysze, robimy, czy nie?

W baraku znowu zaległa cisza. Oczy wszystkich skierowały się na murarza Skibę, który był przodownikiem pracy. Milczał przez chwilę i wreszcie wydmuchnąwszy resztki dymu z papierosa rzekł powoli:

— Ja ta co? Niech inni powiedzą, jak większość powie...

— A wy Tarnowski? — zwrócił się Wióra do drugiego murarza.

— Co ja — odpowiedział murarz — niech inni, niech Szołtysik...

— Ja tu nie mam głosu — mruknął pod nosem Szołtysik — tera do mnie, a jak dawali premie, to inni po cztery tysiące, a mnie tysiąc, jak ostatniemu. Ja dziś nie wychodzę do roboty, mam tego dość. — Machnął ręką.

Przez barak przeleciał szmer. Wióra czuł, że wszystko zaczyna się rozprzęgać i szczęki mu się zwarły. Szukał w myślach argumentów, lecz ta przeklęta burza obalała wszystko. Wiatr gwizdał szyderczo między szparami desek. W nagłym odruchu rozpaczy postanowił uciec się do ostatecznego środka, bardzo zresztą w tym wypadku ryzykownego, a mianowicie do głosowania. Liczył na młodzież zetempowską, na partyjnych murarzy. Przeczekawszy aż się uciszy, zaczął mówić. Mówił o zobowiązaniach, o terminie, o tym, że burza przejdzie i szkoda czasu, a potem, że przecież wstyd, żeby lada śnieżek przeszkodził w pracy.

— A woda? — przerwał mu Tobiasz — woda zamarznie w rurach, i jak wapno zamieszać?

— Co tam woda — odpowiedział mu Wióra — fajerki postawimy, koksu mamy dosyć...

— A na murach? — rzucił pytanie murarz Szołtysik.

— I na murach postawimy fajerki.

— O-wa, to mi będzie z tyłu grzało, a z przodu wiało — rzucił ktoś z kąta.

Barak zatrząsł się od śmiechu. Po tym dowcipie zrobiło się weselej ludziom. Wióra postanowił skorzystać z nastroju.

— Towarzysze! — odezwał się — my tu się śmiejemy, a tam robota czeka. Co tam zima. Burza się skończy, a my musimy swoje zrobić. Dalej, kto staje do roboty? Chłopaki, jesteście morowi, nie? No, kto wychodzi?

Na małą chwilę zaległa cisza, po czym odezwał się murarz Skiba:

— Ano, moja brygada, nie ma co, idziemy.

Ruszył w stronę drzwi baraku. Za nim zaczęli się przepychać przez tłum ludzie z jego zespołu. Wióra obrzucił spojrzeniem resztę.

— Kto jeszcze?

Ruszyła brygada Tarnowskiego, za nią brygada cieśli Kosytorza. W baraku pozostała jeszcze spora gromada.

— A wy? — spytał Wióra pozostałych.

— My tu zaczekamy, może się przejaśni — odpowiedział niechętnie Szołtysik.

— Jak chcecie — rzucił Wióra jeszcze bardziej niechętnie i wyszedł z baraku.

Kilkadziesiąt kroków od baraku do bloku nr 14 trzeba było przejść przez wichurę bijącą w twarz. Śnieg leżał zaspami po pas, w innych miejscach była goła ziemia. Z daleka widać było płomień ogniska i ludzie ze zdumieniem stwierdzili, że to Tobiasz rozpalił ogień pod wylotem rury wodociągowej. Krzątał się koło skrzyni z wapnem. — Ho, ho, stary już tu — krzyknął ktoś z uznaniem — ogień pali... — Stary Tobiasz sypał z taczek piasek do skrzyni. Wiatr rozwiewał jego szal. — Woda zamarzła! — krzyczał na cały głos — woda zamarzła, ale zara będzie szła... — Nowe zdziwienie wywołał widok koksiaków rozpalonych do czerwoności, poustawianych wewnątrz budowy. — Kto tu tak porozpalał? — spytał murarz Skiba. — Gogulski — brzmiała odpowiedź.

Wewnątrz budowy panował półmrok i wicher gwizdał przeraźliwie w otworach okiennych. Ludzie przeciskali się między stojakami podpierającymi szalowanie schodów i stropów. W klatce schodowej było nawet zacisznie, unosiła się charakterystyczna woń surowej cegły i wapna. Na trzecim piętrze uderzyła w ludzi wichura. Tu był koniec murów i tu dopiero można było odczuć całą siłę wiatru. Ludzie chwiali się na nogach, a Skiba wydający rozkazy musiał krzyczeć na

cały głos. Budynek zdawał się chwiać jak okręt na wzburzonym morzu.

— Stajemy tu — krzyczał Skiba — po tej stronie, plecami do wiatru. Przystawić fajerki, ażeby wapno w kastrach nie marzło. Ja staję na tym „winklu", a ty, bracie — skinął na Tarnowskiego — na tamtym. Ciągniemy pod parapet. Stawać chłopcy! Wapno! Gdzie wapno? Cegły, do cholery!...

Na dole, pod budową, młoda dziewczyna w kombinezonie, ukryta w budce z desek, poruszyła dźwignię windy. Jej drobna ręka kładąca się na rączce dźwigni łagodnie, po kobiecemu wprawiła w ruch potężną maszynę. W górę pomknęły dwie taczki naładowane cegłami. Stary Tobiasz zamachał ręką na znak, że rura odmarzła. Woda spływała z niej do skrzyni, a graca na długim drążku poruszana rękami Tobiasza zdawała się przebijać wichurę. Młodzi chłopcy ładowali cegły na taczki. Inni pchali je pod windę. Tam dalej grupa kobiet pracowała przy szutrze. Łopatami przerzucały szuter do siatek. Obok nich przystanął budowniczy Szulc.

— No, jak tam robota? — spytał przytrzymując ręką czapkę — szuter zamarzł?

— E, nie — odpowiedziała tęga brunetka — to tylko tak z wierzchu był zamarznięty. Pod spodem już dobrze.

— No, jak pod spodem dobrze, to już wam dobrze.

Odpowiedziały śmiechem. Budowniczy poszedł dalej ku młodzieży zajętej ładowaniem cegieł do taczek. Tu rzucił pytanie, czy cegła mokra. Otrzymał twierdzącą odpowiedź.

— To źle — rzekł do nich — palce trzeba pozawijać, bo kurczaków dostaniecie.

— Nie ma strachu, palce nie taka wielka rzecz.

— Ej, bracie, będziesz płakał, bo jeszcze nie wiesz, co to kurczaki.

Budowniczy poszedł dalej, po drodze zajrzał do budki. Windziarka trzymała rękę na dźwigni. Drugą poprawiała włosy pod chusteczką. Były jasno blond. Skinął jej ręką i wszedł do wnętrza budowy. Na schodach spotkał cieślę Kapłona, który krzątał się koło przygotowania rusztowań dla murarzy.

— Jak idzie robota? — zagadnął go zapalając papierosa.

— Jak krew z nosa.

— Pewnie tam na górze dmucha zdrowo, co?

— A dmucha jak jasny pieron. Ludzi przewraca. Jeszcze kto spadnie, a zwłaszcza ten mały, no, syn Skiby.

— Że mu stary pozwolił. To i on tam jest?

— Nie pozwolił, sam słyszałem, jak się kłócili, ale mały się uparł i już.

— Ile on ma lat?

— Siedemnaście.

— No, rosły chłopak.

— Tak i w dodatku pali się do tej roboty. Zgrabny jest, będzie z niego mularczyk jak złoto.

— Jak myślicie, podciągną dziś pod strop?

— Nie da rady, chyba jakby przestało wiać, to w nocy można będzie betonować. Mrozu nie będzie.

— Skąd wiecie, toście taki astronom?

— Astronom nie astronom, ale jak taki wiatr, to będzie potem deszcz.

— To jeszcze gorzej jak mróz. Deski macie pod ręką w razie czego?

— Mamy.

— Ano, pójdę na górę.

Budowniczy poszedł na górę. Kiedy znalazł się tam, musiał szeroko rozstawić nogi, gdyż wicher pchnął go z niebywałą siłą, a nie było się czego trzymać. Jakby stanął między niebem a ziemią, w próżni ogarniętej szaleństwem. Nad krawędzią budynku poruszali się ludzie. Ustawieni rzędem to schylali się, to prostowali. Od trzech rozstawionych równomiernie koksiaków bił żar rozdmuchiwany wichrem, a nad żarem unosił się niebieskawy obłoczek. Od windy biegli chłopcy z taczkami napełnionymi wapnem. Budowniczy chciał podejść do Skiby, aby go o coś zapytać, lecz urzeczony robotą, zapatrzył się w pracujących ludzi. Jego uwagę przyciągnął młody Skiba. Oto kładzie cegły. Jedna za drugą na wapnie rzuconym łopatą na mur przez pomocnika. Jedna obok drugiej, jedna obok drugiej, zgrabnie. Kielnią przyklei do czoła cegły wapno, położy i następna, następna... Do sznura równo, oczu oderwać nie można od tej roboty. — Sznur do góry! — brzmi okrzyk Tarnowskiego na tamtym rogu. I znowu następna warstwa cegieł, wyżej i wyżej, łopaty, kielnie, pięści przybijające cegły, pochylone postaci, twarze posiniałe, rozwiane szale, chłopcy biegnący z napełnionymi taczkami, świst windy przygłuszony wyciem wichru.

Tymczasem tam na dole pozostali w baraku ludzie siedzieli na stosach desek i słuchali wycia wichru. Szołtysik palił papierosa za papierosem. Ta burza doprowadzała go do wściekłości. Na jakieś pytanie kolegi odpowiedział ofuknięciem. Nastrój udzielił się wszystkim.

W kącie para kochanków kłóciła się zawzięcie. — Coś mi dał — wołała kobieta — nic mi nie dałeś i wódę chlejesz... — W innym kącie zebrała się grupka miłośników sportu. — Zadora jest nasz — twierdził jeden z dyskutantów w czerwonym szalu i kaszkiecie naciągniętym na uszy. — Zadora musi wygrać, on ma dobre uderzenie sierpowe, zwłaszcza prawe. — Gdzieś w głębi poza stosem desek śpiewał młody tenor „Amado mio" i melodia ta szczególnie irytowała Szołtysika. Toteż gdy podszedł do niego murarz Przybylski, odwrócił się od niego nagłym ruchem i naciągnął czapkę na uszy. Przybylski, jakby tego nie zauważył, zagadnął niby od niechcenia.

— Tak jakby trochę przestało dmuchać, co?

— Co mnie tam, niech dmucha, albo nie dmucha, ja i tak nie wyjdę — mruknął Szołtysik.

— Ja myślę, że trzeba wyjść do roboty...

— To se wyjdź. Idźcie wszyscy do cholery. Możecie iść, bo wy lepsi, a ja gorszy. Dostałeś cztery tysiące premii, a mnie jak stróżowi dali tysiąc.

— To ty, bracie, ciągle jeszcze o tej premii? Wszyscy już zapomnieli. To było tak dawno...

— Ja nie zapomniałem. I nie zapomnę tej krzywdy. Ja...

— Przecież ci już tysiąc razy tłumaczyli, że była tu banda, która robiła swoją politykę, że mieszali, że już wszyscy wylecieli, że teraz inaczej i teraz będzie sprawiedliwie, a ty jak ten osioł ciągle swoje: krzywda i krzywda...

— Bo mi krzywda, rozumiesz? — krzyczał na cały głos Szołtysik chwyciwszy Przybylskiego za ramiona — krzywda mi! Mało to się krzywdy najadłem w życiu. A teraz gadają — będzie lepiej, a tu znowu to samo...

Szołtysik krzyczał i trząsł Przybylskim jak suchą wierzbą. Na jego niegolonej twarzy wystąpił rumieniec oburzenia i gniewu. Ludzie otoczyli ich ciasnym tłumem, para kochanków przestała się kłócić, młodzieńczy tenor urwał w połowie arię piosenki. Ludzie przytakiwali, zrobił się gwar, ręce gestykulowały, twarze zaogniły się. Wtem wpadł do szopy Franuś Kruczek. Podskakiwał, machał ręką i dmuchał w palce jakby były poparzone. Franuś płakał. Uwaga wszystkich skierowała się na niego. Szołtysik roztrącił tłum i podszedł do niego.

— Co ci jest, co ci się stało? — zapytał go — odmroziłeś ręce?

— Nie — jęczał Franuś — nie odmroziłem, tylko palce, oj palce...

Szołtysik chwycił go za rękę i podniósł ją sobie do oczu. — Kurczaki — rzekł cichym głosem. Na puszce serdecznego palca chłopca powstała mała dziurka wielkości główki od zapałki. Z dziurki wypłynęła kropla gęstej, jakby zakrzepłej krwi.

— Czemu nie uważasz — spytał go Szołtysik z wyrzutem — nie masz rękawiczek?

— Miałem — jęczał Franuś — ale nie nastarczy, za godzinę podarte, a cegła źre jak „zalzajer".

— Mokra cegła?

— Mokra.

— I zamarznięta?

— Zamarznięta.

— Boli?

— Oj, boli.

— A jak tam ludzie?

— Robią, ale nie dadzą rady. Trza by drugą ścianę podciągnąć, to by tak nie dmuchało.

— Idź do kancelarii, niech ci tam przyłożą plaster.

— A do roboty już nie pójdę dziś?

— To ty chcesz dziś jeszcze do roboty?

— Chcę. Może przestanie boleć.

— Pewnie, że do twojego wesela się zagoi. Pójdziesz do roboty i my pójdziemy. Hej chłopcy, baby, dziewczęta idziemy!

— Idziemy! — krzyknęła gromada tak jakoś radośnie.

— Idą, idą! Brygada Szołtysika i Przybylskiego idzie! — rozległ się krzyk po placu, doszedł aż do trzeciego piętra jakby z wichurą do ludzi pracujących na murze. Tamci szli pochyleni, szarpani przez wicher, zasypywani przez śnieżycę. Na przodzie Szołtysik z zaciętym wyrazem twarzy. Schody zaskrzypiały pod butami idących ludzi. Na górze uderzył w nich wiatr. — Stawajcie tam! — wskazywał Skiba owiniętym palcem — trzeba tamtą ścianę podciągnąć... — Murarze ustawili się rzędem, wiatr dął im w oczy i po chwili wąsy, rzęsy i brody mieli pokryte śniegiem. — Fajerki! Fajerki przysunąć do kaster — krzyczał Przybylski.

W biurze kierownictwa budowy odbywała się tymczasem narada. Występował problem, czy podciągną dziś mury pod stropy, a jeżeli podciągną, czy będzie można w nocy strop podszalować i zabetonować. Telefon zawiadomił, że więźba dachowa jest skończona, tylko ustawiać. Jutro można by ustawić dach — mówił kierownik budowy inż. Tren-

towski — w przeciągu, no np. dziesięciu, dwunastu godzin mielibyśmy dach ustawiony.

— Byłem tam rano — odezwał się budowniczy Szulc — tak na mój rozum nie dadzą rady z tymi murami. Wieje tam jak jasny pieron, a Szołtysik i Przybylski nie wyszli do roboty. Siedzą w baraku i czekają.

— Zatrzyma się całe tempo roboty — rzekł inżynier — opóźnimy się z wykonaniem. Jak długo będzie taka pogoda?

— PIM gadał, że będzie tak kilka dni.

— E, co tam PIM, cieśle mówią, że dziś, a jutro będzie deszcz, a pojutrze pogoda — rzekł budowniczy.

— Cóż, cieśle znają się na pogodzie?

— Ho, ho, jeszcze jak.

— Gdybyśmy mogli liczyć na te ciesielskie przepowiednie, to nie przerwalibyśmy roboty. Jeden, dwa dni jakoś byśmy przetrwali.

— Tak, jeden, dwa dni można wytrwać przy takiej pogodzie, ale więcej...

— Najgorzej dziś. Żeby można mur wyciągnąć pod strop.

— Przypuśćmy, że wyciągniemy — rzekł inżynier — ale co ze ścianami kominowymi? Tych już nie damy rady wyciągnąć. To jak ze stropem?

— W tym właśnie sęk.

Wszedł kierownik nadzoru, Franke, oznajmiając, że przyszedł chłopak na opatrunek. Oczywiście nie odmrożenie, tylko kurczaki na palcach. Chłopak opowiada, że do roboty poszły brygady Szołtysika i Przybylskiego. Obaj dyskutujący zerwali się ze stołków i jakby na komendę zaczęli zakładać kurtki, naciągać na uszy czapki. — Idziemy na budowę — rzekł inżynier — chodź pan z nami. — Wyszli z biura i po drodze wstąpili do pokoju przeznaczonego na punkt opatrunkowy. Tutaj zastali Franka, któremu przylepiał do palców kwadraty plastra młody zetempowiec Gogulski. — Nie umiem tego robić — mówił Gogulski — ale trzeba jakoś go opatrzyć. Myślę, że trzeba zabrać całą rolkę tego leukoplastu na budowę...

— Mamy tylko tyle tego plastra? — spytał inżynier.

— Tylko tyle.

— Dajcie to co jest i zaraz poślijcie do apteki po kilka takich rolek. A wy jak tam? — zwrócił się do Franka — idziecie do domu?

— Nie idę do domu, już przestało boleć.

— Do roboty stajecie?

— Tak.

Popatrzyli na niego wszyscy uważnie i zaraz wyszli w milczeniu. Wichura obsypała ich śniegiem i przeszkodziła rozmowie na temat chłopca. Grupka kobiet kuliła się naokoło koksiaka, na jedną z nich inżynier skinął ręką. Podeszła wolno, opierając się na łopacie.

— Jak się nazywacie?

— Bończycka.

— Słuchajcie, dam wam inną robotę. Coś w rodzaju siostry miłosierdzia w tej naszej bitwie. Macie tu rolkę leukoplastu, aha, i nożyce. Idźcie do biura i każcie sobie dać nożyce. Będziecie chodzić od murarza do murarza, od pomocnika do pomocnika i będziecie mu nalepiać na palcach plaster. Rozumiecie, o co chodzi?

— Rozumiem.

— Ale to nie wszystko. Będziecie tak chodzić przez cały czas roboty dzisiejszej i co skończycie z ostatnim, przyjdziecie znowu do pierwszego, bo to tylko płótno i guma, zetrze się momentalnie. To nie to, co skóra ludzka twarda i mocna jak diabli. No co, podoba się wam taka robota?

— Tak, nawet bardzo.

Kiedy wyszli na górę, stwierdzili ku zadowoleniu pomieszanym ze zdziwieniem, że praca posunęła się naprzód. Frontowy mur był już prawie podciągnięty pod parapety okienne. Po przeciwnej stronie ludzie mocowali się z wichrem i kładli cegły z zaciekłością. Inżynier przystąpił do Szołtysika, krzyknął mu do ucha pytanie, jak idzie robota. Murarz otworzył usta szeroko i mrugając oczyma zalepionymi śniegiem odpowiedział, że idzie jakoś.

— Jak myślicie, podciągniecie? Będzie można w nocy betonować strop? A jutro postawić dach?

— Damy radę, musimy! — krzyknął Szołtysik.

— Materiał macie?

— Trochę mało, zdałoby się więcej.

— Zimno wam?

— Nie!

Inżynier z budowniczym i nadzorcą przeszli do Skiby. Jak urzeczeni zatrzymali się koło jego syna. Przede wszystkim zauważyli, że zespół otacza chłopca szczególną opieką. Podlewają mu wapno na mur, podsuwają jak najbliżej cegły, żeby nie sięgał daleko ręką, zostawili mu

najmniej miejsca — na długość ręki, a on kładzie cegły tak zgrabnie, że oczu oderwać nie można.

— A co ten wasz syn — zawołał inżynier — do domu nie chce?

— A nie chce, pędziłem go już. Zresztą niech się przekona, co to budowa. Inżynierem chce być. Od wakacji idzie do Bytomia do szkoły!

Skiba wykrzykiwał te słowa z dumą.

— Doczekali się murarze, że mogą swoich synów na inżynierów kształcić — krzyknął nadzorca Franke.

Na mury wyszła dziewczyna z plastrami. Podeszła od razu do chłopca. — Daj rękę — krzyczała — no, daj rękę! Chłopak nie chciał dać ręki i patrzył na wszystkich zdziwiony. Dopiero po zachęcie inżyniera podał ręce. Z trzymanej rolki odcięła nożyczkami kawałek i chuchnąwszy nań owinęła nim czubek palca chłopca. Wiatr szarpał jej chusteczkę. Potem zabrała się do następnych palców. Kiedy podeszła do Skiby, machnął ręką mówiąc: — E, to i tak nic nie pomoże, bo zaraz się zedrze. — Była jednak nieustępliwa, tak że w końcu i on podał swoje twarde, czarne, spracowane ręce.

Kierownicy schodzili na dół debatując nad robotą. Nakryć budynek dachem przed śniegami i deszczami zimowymi jak najprędzej, oto problem, a tu drugi bliższy, mianowicie ściany kominowe. Na to trzeba normalnie trzech dni czasu. Zmiana pogody i perspektywa dłuższego jej trwania mogłaby jeżeli nie obalić, to zatrzymać na nieograniczony czas wykonanie zadania i pozostawić budynek na zimę nie nakryty dachem.

— Trzech dni nam trzeba — mówił inżynier — trzech dni, a tu masz pecha z tą zawieją... — Udali się do zbrojarzy i cieśli. W obszernej szopie przy długich stołach pracowali zbrojarze, przecinając długie druty jedno- i dwucentymetrowej grubości. Inni gięli końce drutów w zaokrąglone fajki. Od czasu do czasu rozlegał się stuk młota. W drugim końcu szopy majstrował cieśla Kosytorz, zakładając pas do mechanicznej piły.

— Jak będzie z szalowaniem? — zapytał budowniczy.

— Szykuję wszystko, co się da — odpowiedział cieśla.

— Co zrobicie, jak nie będzie ścian kominowych?

— Coś trza kombinować. Strop musi być podszalowany, no nie? Dach już wożą.

— Kiedy?

— O, przed chwilą widziałem pierwszą ciężarówkę. Wyładowują tam...

— Nie ma żartów. Co możecie skombinować? Powiedzcie, może poradzę.

— Jeszcze sam nie wiem, ale coś mi w głowie świta. Może porobię takie skrzyneczki na dziury kominowe i tylko żeby potem murarzom klapnęły te dziury.

— Pomyślcie, ale może nie trzeba będzie.

— Już ta teraz trza głową więcej jak rękami. Ot, teraz pozbieram miary i będę rżnął deski pod szalunek, tak już naprzód, ale jak nie klapnie, to co?

— Dobrzeście zbierali miary?

— Akuratnie.

— No, uważajcie, bo jak deski będą za krótkie, to chyba do pieca.

— Już to moja głowa w tym, cieśla jestem, no nie? Trzeba trochę naprzód pomyśleć. Zaszalujemy dziś pod beton. W nocy pociepleje i będzie deszcz.

Idąc w stronę biura trzej kierownicy stwierdzili, że wicher jakby ustawał. Rozmawiali o cieśli Kosytorzu, o jego wynalazku zaoszczędzania betonu lanego między pustaki stropowe, o jego 600% normy przy szalowaniach. — Ten ze swoim zespołem dałby radę zaszalować nawet w deszcz — mówił nadzorca Franke — ale murarze dziś dość dużo zrobili jak na taką pogodę... — Potem rzucił myśl, że trzeba by im dać coś gorącego na posiłek południowy.

— Kto to zapłaci? — spytał inżynier.

— ZOR zapłaci, wystawię rachunek. Zorganizować trzeba, czy ja wiem, gorącą kiełbasę i jeszcze gorętszą herbatę. Kotły są, kilka kobiet się weźmie od szutru. Dać polecenie Wiórze i Gogulskiemu, oni to zrobią.

— Dobra myśl — rzekł budowniczy Szulc.

— Dobra myśl — powtórzył za nim inżynier Trentowski.

Mury rosły. W kurzawie śnieżnej, w zaciętej walce o wykonanie zadania. Gdzieś koło południa wicher wyraźnie zaczął ustawać, natomiast sypnęła śnieżyca. Gęste duże płaty pokrywały budowę coraz grubszą warstwą. Należało zorganizować uprzątanie śniegu. Dwie kobiety z miotłami nieustannie oczyszczały strop i rusztowanie, usuwając śnieg spod nóg murarzy i pomocników dowożących materiał na taczkach. Kiedy zaczęli murować filary okienne, Skiba zwołał krótką naradę. — Wy staniecie do ściany kominowej — mówił Skiba do Szołtysika i Przybylskiego — a my przerzucimy się na wasze miejsce. — A co wy tu nam będziecie robotę wybierać — oburzył się Szołtysik — wygody to my nie

chcemy, może pod pierzynę nam każecie iść?... — Skiba tłumaczył, że dość ich tam wydmuchało i należy się im trochę roboty w zaciszu, a po drugie ściany kominowe ważna rzecz i bez nich stropu nie zaszalują. Szołtysik był uparty i nie zgodził się na opuszczenie przez jego zespół tamtego muru. Wobec tego Skiba ustąpił i skinąwszy na swoich ludzi przeszedł na środek stropu.

Na ścianach kominowych praca nie była tak szybka, gdyż otwory w ścianie trzeba było obmurować i drewnianymi łopatkami tynkować wewnątrz. Tu należało pracę zracjonalizować tak, żeby jak najwięcej zrobić. Z zespołu Skiby i Tarnowskiego odeszło sześciu murarzy do ściany kominowej, a inni stanęli do frontowego muru. Cieśla Kapłon ustawiał na kobyłkach rusztowania. Robota zawrzała na nowo. Trwała do południa, do gongu oznajmiającego przerwę obiadową.

Zeszli wszyscy do baraku, tupiąc nogami i otrzepując się ze śniegu. Tutaj oczom ich przedstawił się niecodzienny widok. Oto na stołkach ciesielskich, nawet na stole z mechaniczną piłą ustawiono rzędem kubki, a robotnice rozdawały z kotła porcje gorącej kiełbasy. Przed stołami ułożyły stosy desek tak, że tworzyły one coś w rodzaju ław, na których można było usiąść. Murarze usiedli przy stołach i znowu ta sama dziewczyna, która lepiła im palce leukoplastem, wręczała im na kawałkach papieru kiełbasę. Stary Tobiasz usiadłszy zaczął dowcipkować.

— A mnie to nie przyszłaś zalepić palec — mówił do dziewczyny — do wszystkich chodziła, a do starego to nie przyszła.

— Bo nie robicie przy cegle — odpowiedziała dziewczyna.

— Nie robię przy cegle, ale palec powinnaś mi była zalepić. Do Franka to chodziłaś coś za często palec zalepiać, he?

— Żebyście nie stary, to bym wam gębę zalepiła, żebyście nie gadali za dużo.

— To przynajmniej kiełbasy mi daj.

— Dam, abyście se mogli gębę zatkać.

Humory się poprawiły. Kobiety rozlewały do kubków herbatę, ludzie rozmawiali, koksiak żarzył się. Wióra chodził po baraku, doglądał wszystkiego jak dobry gospodarz, troszcząc się o każdego człowieka. — Zostało ci jeszcze kiełbasy? — pytał Bończyckiej — daj jeszcze młodym, o tamtemu daj, bo już zjadł swoją porcję. Kto jeszcze głodny — krzyknął na cały głos — niech się zgłasza po repetę! Śmiało chłopcy, dziewczęta, bez żadnego wstydu, to dla was.

Rozmowy toczyły się wyłącznie wokół dzisiejszej roboty. Na dziś zrezygnowano ze zwykłej porcji bajek do opowieści z dawnych cza-

sów, jakimi raczył co dzień Tobiasz swoich towarzyszy. Nawet wczoraj nie ukończył opowieści o hrabim „Szafgosztcie", który tu panował przed laty. Dziś wszyscy mówili o robocie i jej postępach. — Wiecie, że dziś nawet więcej zrobiliśmy, jak w inne dni — mówił murarz Przybylski — Nie masz, stary, racji — zwrócił się do Tobiasza — że w zimie nie da się robić...

— Pewnie, że nie dalibyście rady — odciął się Tobiasz — nie dalibyście rady tak przez trzy dni. Jeden dzień i to przy fajerkach, jak wam z tyłu grzało, a teraz herbata, kiełbasa, ale długo byście tak nie pociągnęli.

— Więcej nam nie trza — odpowiedział mu Skiba — więcej nam nie trza, jak tylko dziś przez dzień i przez noc, a jutro postawią dach, za trzy, cztery dni dach nakryją dachówką i już będzie można robić w środku przez całą zimę, no nie?

Wszyscy przytaknęli. Szołtysik trzymał kubek oburącz i pochyliwszy głowę pociągnął z kubka gorący płyn.

— Wiecie, co ja powiem? — rzekł bardzo głośno — ja powiem, że my musimy dziś wykończyć mury pod strop i nie tylko mury, ale i ściany kominowe.

— Nie da rady — odpowiedział ktoś z kąta.

— Co nie da rady? — krzyknął murarz zrywając się z siedzenia. — Musimy dać radę! Choćby przyszło robić do samego rana, ja nie ustąpię!

Wióra przysłuchiwał się rozmowom i kiedy Szołtysik krzyknął swoje wyzwanie, podszedł bliżej do siedzących i podniósł rękę do góry.

— Towarzysze — rzekł z naciskiem — towarzysze, Szołtysik dobrze mówi. My musimy wykończyć mury. Jak już tak idziemy na całego w tej robocie, to już idźmy do końca. Myślę, że nie tylko musimy wykończyć, ale wykończymy! Stawiam wniosek: kto się zgłasza na ochotnika robić tak długo, aż skończymy mury?

— Ja, ja, ja!...

Wszyscy zerwali się z miejsc i las rąk wzniósł się do góry.

— Znaczy, że wszyscy, co?

— Wszyscy!

— Dziękuję wam, towarzysze!

Robota szła sprawnie, mimo nie sprzyjającej pogody. Jakoś tak się wszystko składało, że ani jeden ruch rąk nie szedł na marne. Wszystko grało, jak w dobrej orkiestrze, zgrabnie, lekko, radośnie. Ponieważ w tej bitwie, jak na wojnie, istotna była kwestia dostawy materiału i tu

wszystko skupiło się na tym, aby jak najprędzej, najszybciej i najsprawniej podać murarzom wapno na mur i cegły pod rękę. Oto tam na dole chłopcy zbierają cegły ze stosów i kładą je na taczki, które podjeżdżają pod windę, winda mknie w górę. Chodzi o to, aby winda była w nieustannym ruchu, żeby nie tracąc ani sekundy czasu jechała w górę i zaraz zjeżdżała na dół. Dziewczyna w budce patrzy uważnie na każdy sygnał i porusza dźwignię ani o sekundę za późno, ani o sekundę za wcześnie. W sam raz. Tam na górze wyciągają taczki z materiałem i wsuwają inne, próżne. Taczki mijają się w połowie drogi w czasie potrzebnym na zjechanie windy na dół. Pod rusztowaniem taczki wysypują swoją zawartość, a już inni chłopcy podają sobie cegły ruchem pocztowym z rąk do rąk aż na mur, usłużnie pod rękę murarzowi, żeby nie sięgał daleko. A murarz tylko kładzie, szybko, jedna obok drugiej. Robota leci jak ten wicher z rana, robota ogarnia ludzi jak ten gorący żar bijący od koksiaków i okrzyk: „sznur do góry!" brzmi już teraz nie jak rano zawzięcie, lecz jak okrzyk radości i triumfu. Zapanowała zgodność i chęć współpracy, wzajemnej pomocy. Oto jeden murarz nie skończył jeszcze swojej warstwy na filarze, a sąsiad, który skończył, podchodzi do niego i dokłada mu kilka cegieł. Gdy dziewczyna zjawiała się z plastrami i trzeba było poddać się operacji palców, sąsiad kładł cegły za niego, aby potok roboty nie przerwał się ani na chwilę.

Specjalnych wyczynów dokonywali cieśle, a zwłaszcza ich przodownik, Kapłon. Jak dowódca na polu bitwy, chodził, radził, wskazywał: tu przygotować stojaki, gliny, deski już pocięte na miarę i dopasowane na szerokość muru. — Jak tylko podciągną filary, zaraz stawiać stojaki — mówił patrząc bystro na murarzy — stojaki, kliny mieć przyrychtowane, położyć deski, jeden pasuje, drugi przytrzyma i zakłada „szprajs", potem tylko kliny podbić „do wagi" i do drugiego okna. To musi, bracie, iść jak chleb z masłem, nie narobić się, a migiem zrobić. To trzeba zrobić tak, ażeby murarz nie stał na próżno i nie czekał, aż się wyguzdrasz jeden z drugim.

Toteż zanim się murarze obejrzeli, już okna były podszalowane i można było ciągnąć nad nimi pełny mur. Już jedna strona gotowa, już kończy się druga, rosną mury przyczółkowe, coraz mniejsze odcinki, coraz większe skupienia ludzi koło murów. Zapada zmrok, jeszcze tamta ściana, jeszcze tutaj wykończyć. Połowa ludzi mogłaby odejść do domu, lecz nie chcą, nie mogą się oderwać od tej roboty, która nimi zawładnęła bez reszty. Już Skiba dał znak, żeby wstrzymać się z dostarczaniem materiału, ale winda nie ustaje. Oto lecą w górę stojaki, deski pod szalo-

wanie. Niebo poczerniało, zabłysły żarówki, zaczął padać deszcz, rozsrebrzając powietrze nad budową. W tej srebrnej łunie ukazała się postać cieśli Kosytorza, który pierwszy stanął na najwyższym odcinku zaszalowanego stropu. Obok niego pojawia się drugi, młody, w czapce na bakier, gwałtujący na całe gardło o deski. Oto wyłania się trzecia postać: jest to młody Skiba, który według uchwały wszystkich zespołów ma położyć ostatnią cegłę. Podali mu ją, położył, przybił pięścią, pociągnął po niej kielnią, aż zadźwięczały lecące krople, i rozejrzał się dumnie wokoło. Przez chwilę zrobiło się na budowie tak cicho, że słychać było tylko szum deszczu. Potem zawrzało i zespoły murarskie zaczęły schodzić na dół z gwarem, kaszlem, śmiechem. Po chwili zniknęli w ciemnościach i zastukały ciesielskie siekiery.

Teraz objął komendę Kosytorz. Najważniejsze zadanie—to podciągnąć szalowanie pod windę, żeby materiał leciał o piętro wyżej. Na dole przy windzie stanął chłopiec w kapeluszu ściągniętym na tył głowy. Chłopiec zmienił dziewczynę przy windzie, nacisnął dźwignię i umówił się z dziewczyną na niedzielę do kina. Na górę mknęły deski, a za nimi pęki drutu zbrojowego, druga zmiana chłopców już ładowała na taczki pustaki z palonej gliny. Pod budową przystanęli kierownicy, ci sami co rano, i zadarłszy głowy martwili się deszczem. — Pomokną ludzie — mówił inżynier Trentowski — i ciężko się im będzie ruszać... — Tylko żeby nie zrezygnowali z roboty — dodał budowniczy Szulc. — Nie ma strachu o to — rzekł Wióra — tam jest Kosytorz, tam sami partyjni, jest młodzież zetempowska... — Dyskusja się ożywiła, gdy budowniczy zgadzając się z Wiórą twierdził, że ludzie są ludźmi i za godzinę przemokną do wątroby, i że pod takim zimnym tuszem nie sposób pracować.

— Trudno — rzekł Wióra — robota już chwyciła i nie ma takiego robotnika, który by teraz chciał ją opuścić.

— Tak robota dziś chwyciła, jak rzadko kiedy — przytaknął inżynier — żadnych nie ma zatorów. Tylko żeby nie ten deszcz.

Deszcz tymczasem padał jakby na przekór ludziom, jakby chciał przeszkodzić za wszelką cenę w ukończeniu budowy. Zbliżał się końcowy okres pracy: betonowanie stropu. Już cieśle dotarli z szalowaniem do windy, już przerzucili pomost. Stanął na nim Kosytorz. Krople deszczu spływały po nim, krzyczał poprzez deszcze, żeby podawać już pustaki. Taczki podjechały pod windę i pomknęły w górę. Ludzie zaczęli je układać na deskach szalowania, za nimi zbrojarze kładli druty. Tam na dole już organizowano dostawę cementu i szutru do mieszanki betonu. Za chwilę maszyna zaszczękała miarowo. W jej rytmie ludzie poruszali się

wśród deszczu, błyskały siekiery i spośród tego zgiełku rozległ się okrzyk: b e t o n !...

Na drugi dzień rano było pogodnie. Nad Katowicami zaświtał poranek. Rzedniejące mgły ukazały błękit nieba. Wczorajszy śnieg znikł zupełnie i ludzie idący na budowę brnęli w gliniastym błocie. Winda ciągnęła dziś na górę wiązania dachowe. Szły belki, platwie, słupy i krokwie. Cieśle, którzy przybyli do ustawiania dachu, poruszali się powoli, flegmatycznie, palili papierosy i pracowali w milczeniu. Nikt by nie przypuszczał, że i oni przyszli tu z zamiarem postawienia dachu w jak najkrótszym czasie. Od czasu do czasu jeden z nich wykrzykiwał numery poszczególnych części więźby, które nieśli do windy, a inni odbierali je na górze. Murarze rozproszyli się do murowania ścianek we wnętrzu budowy, zespół Skiby wyszedł na górę ustawiać kominy. Wysoko nad ziemią pracowali ludzie. Wokoło mieli widok miasta z jego dymiącymi kominami, z jego ludźmi, tak samo pracującymi jak oni. Oto na zachodniej stronie kopalnia „Kleofas", od wschodu kopalnia „Katowice", w której fedrują znani przodownicy pracy, a tam daleko na południu kopalnia „Wujek". Tu niedaleko na ulicy Markiewki idą dzieci do szkoły. Ciężka siekiera ciesielska przybija klamrę i echo stuku rozlega się hen daleko.

W południe zadźwięczał gong oznajmiający przerwę obiadową. Ludzie wysypali się z wnętrza budowy. Idąc w stronę baraku obejrzeli się na swój gmach. Dach był już w połowie ustawiony i właśnie na pierwszej parze krokwi cieśla przywiązywał na samym szczycie dachu wieniec jodłowy z czerwonymi szarfami.

— Patrzcie, „wicha".

— Pocisnęli cieśle.

— Zgrabne chłopcy, za godzinę skończą dach.

Ludzie stali z zadartymi głowami i patrzyli na wieniec, jakby zawieszony w błękicie nieba. Ogarnęła ich duma. Oto stanął olbrzymi budynek, dzieło ich rąk, mózgów i serc. Zapatrzyli się tak w ten czerwony blok, że zapomnieli o południowym posiłku i głodzie. Szołtysik poprawiał wciąż czapkę na głowie. Przybylski gładził wąsa. Skiba oparł rękę na ramieniu syna, który otworzył usta. Gdzieś w baraku młody tenorek śpiewał „Amado mio" i dziś ta melodia nie wydała się Szołtysikowi nieprzyjemna. Nasunął znowu czapkę na oczy i oparł ręce na biodrach.

— Pocisnęliśmy wczoraj, co? — rzucił te słowa w kierunku stojącego obok Przybylskiego.

— Tak — potwierdził Przybylski.

— Który to dzień roboty na tym bloku?

— Trzydziesty szósty.

— A mieliśmy wykończyć go w pięćdziesiąt jeden dni.

— O piętnaście dni wcześniej. Rekord.

— W trzydzieści sześć dni taki kolos. Co by na to powiedział stary Tobiasz. W jego czasach taki gmach robili ze dwa lata, co?

— Nawet więcej. I z głodu zdychali.

— Jak to się stało, żeś wczoraj zmienił zdanie i poszedł do roboty? — zapytał Szołtysika Przybylski.

— Czy ja wiem. To ten młody z tymi kurczakami tak mnie zawstydził. Płakał, a chciał iść do roboty. Wstyd mi się zrobiło, cholera.....

Od strony biur leciał Wióra machając ręką. — Towarzysze! — wołał z daleka — towarzysze, szykować się, bo jadą tu z gazety. Będą nas fotografować!... — Zrobił się gwar, padały dowcipy. — Kto ma krawatkie? — Zaczesz się, bo z taką twarzą do fotografii nie pasujesz. Kto mi pożyczy złoty zegarek do fotografii? — Tylko chłopcy zaczesać się... — Dziewczęta, gdzie wieczna ondulacja?

W takich okolicznościach powstaje pierwsza w Polsce kolonia mieszkaniowa dla robotników. Zaczęto ją budować przy końcu 1948 r. i dotychczas wybudowano 23 bloki, które robotnicy zobowiązali się wykończyć do 22 września 1950 r., a więc cała praca na kolonii Koszutka pod Katowicami trwać ma dwa lata, dając 420 mieszkań od jedno- do trzypokojowych, obszernych, jasnych, z komfortem. Zaznaczyć trzeba, że tutaj właśnie po raz pierwszy w Polsce zastosowano system potokowy.

Jan Brzoza

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

RZUĆMY DZIWNE WRAŻENIA

— Siadaj, asan!

Chadźkiewicz wziął miejsce u okna obok niepospolicie rozległego stołu, zawalonego kupami ksiąg, stosami papierzysków, jakowymiś rulonami powiązanymi w całe pęki, lineałami, cyrklami, pędzelkami, piórami, niezmierną liczbą flasz i flaszeczek tuszów rozmaitych i poprzyszpilanymi do desek szkicami planów.

— Siadaj, asan! — powtórzył Jasiński jak gdyby już tylko do siebie, nie przestając przemierzać długimi, równymi krokami obszernej izby tam i z powrotem, tam i z powrotem. Mogłoby się zdawać teraz, że zapomniał zupełnie o gościu, zajęty odliczaniem kroków. Twarz mu pociemniała i oczy, zawsze się żarzące, tym razem przygasły, uciekły w głąb.

Za oknem w ostatnich blaskach konającego gdzieś za Wilią wieczoru czerwieniły się otulone śniegiem dworki Antokolu i płonęła kopuła Piotra i Pawła. Cisza zaległa izbę — drażniąca, przerywana jedynie niepokojącym skrzypieniem butów Jasińskiego.

— Gadaj coś!

Jasiński zatrzymał się na wprost okna i nieruchomym, martwym spojrzeniem jął się wpatrywać w zmierzchającą przestrzeń, w daleki obraz przezierającego poprzez nagie gałęzie drzew pałacyku w Werkach. Teraz oczy miał jak dwie wielkie, krwawe krople.

Chadźkiewicz, który dotąd błądził znudzonym wzrokiem po stole i wyraźną okazywał obojętność dla humorów gospodarza, łypnął po szelmowsku okiem i jak na teatrum gestem historiona zanurzył głęboko w kieszeń pod frakiem tłustą, mięsistą rękę.

— Każ, waść, przynieść światło! — zwrócił się do Jasińskiego, dobywając na wierzch plik zadrukowanego papieru.

— Oczy mam słabe — dorzucił.

Jasiński sięgnął do dzwonka.

Tedy Chadźkiewicz wyciągnął lewą dłoń po uwieszone na jedwabnej tasiemce u szyi, huśtające się nad brzuchem, grube szkła i powoli przyłożył je do oczu:

— Wiadomo już całej publiczności — zaczął czytać, podczas kiedy służący tymczasem kończył długimi szczypcami objaśniać świece w lichtarzu — jaka na dniu 21 stycznia popełniona była w Paryżu zbrodnia. Ludwik XVI zawsze cnotliwy, na szacunek całego świata zasługujący, padł zemsty niesłusznej ofiarą. Zapamiętali poddani skąpali się we krwi swego monarchy...

W tej chwili pucołowaty, czerwony na pysku sługa, dorzucający właśnie świeżych drew do komina, odwrócił się gwałtownie, potrącając z łoskotem stos brzozowych polan ustawiony u paleniska, na podłodze izby. I kiedy Chadźkiewicz oderwał wzrok od rozłożonego na kolanach pisma, z irytacją wznosząc do góry wyblakłe spojrzenie dalekowidza, ujrzał rozszerzoną dzikim grymasem gębę chłopaka i ledwie dostrzegalny, złośliwy uśmieszek przelatujący po wargach Jasińskiego. Pod uderzeniem bladych źrenic Chadźkiewicza chłopak jak gdyby zesztywniał, stał jeszcze przez chwilę nieruchomy, skamieniały — i nagle, nie wiedzieć czemu, wybuchając gwałtownym, niepohamowanym śmiechem, rzucił się do drzwi.

— Maciej! — twardo osadził Jasiński sługę.

— Panie pułkowniku! — wyprężył się pucołowaty dryblas, bełkocąc coś tam jeszcze nie do rzeczy, i pokraśniał jak oblany warem.

— Siadaj w kącie! — trzepnął w niego Jasiński.

— A asan czytaj dalej! — wycedził już zupełnie zimno, przez zęby, do Chadźkiewicza.

Chadźkiewicz czytał dalej:

— Zapamiętali poddani skąpali się we krwi swego monarchy, który nie tchnął tylko ojcowskim ku nim przywiązaniem, nie szukał tylko ich uszczęśliwienia. Cały ten postępek z królem wykonany jest z taką srogością i skwapliwością, iż się na nie wzdryga cała natura ludzka i dopełnia miary onej nienawiści, którą powzięła już cała Europa ku owemu systematowi, który do wszystkich zbrodni zachęca i wszystkie cnoty tłumi, przewraca cały porządek, a niszczy zupełnie obywatelską szczęśliwość...

— Cymbał! — warknął przerywając Jasiński.

Chadźkiewicz upuścił szkła i odgarnął gazety z kolan, dając do poznania impetykowi, że może nie czytać dalej.

— To wszystko już wiem — wiele spokojniejszym głosem zwrócił się do lektora Jasiński. — Nie dąsaj się waćpan, boś nie dziewka w alkowie. Co więcej piszą? I co mówią w Warszawie?

— Mówią, że szkaradne i okrutne królobójstwo odrodnych i zbuntowanych Francuzów na osobie monarchy swego jak najhaniebniej popełnione...

— Toś już czytał!

— Mówią, że sami tylko ateuszowie są na czele ich magistratur i sądów, że własność kościelną na rabunek wydano, że handel i rękodzieła we Francji zniszczone, że najbujniejsze niwy i role spustoszono i zaniedbano, że lud ubogi zarobku i sposobu do życia pozbawiono, że cały kraj powodzią krwi zalany, zbroczony...

— Kto tak powiada?

— Biskup kujawski.

— A u świętobliwego we włościach jakim sposobem lud żyje? Co? — poderwał się Jasiński jak szydłem w pośladek dźgnięty — Co?!...

I szedł ku Chadźkiewiczowi, jakby to ten był onym biskupem kujawskim — groźny, karmazynowy od gniewu.

— A co na dworze powiadają?

— Dwór żałobę przywdział.

— Aaa! — otwarł szeroko usta Jasiński i nic już nie rzekłszy, cofnął się gwałtownie ku ścianie.

— Dwór żałobę przywdział — ciągnął z kąśliwym jakowymś ukontentowaniem gość — karnawału zgoła nie czekając aż się zakończy. Było nabożeństwo solenne u Św. Krzyża za nieboszczyka jegomości: bazylika rzęsiście iluminowana, katafalk pod baldachimem z aksamitu, draperie francuskimi liliami bogato siane, na katafalku — wielki konterfekt Ludwika...

— Phi! phi!... — wydął wargi gospodarz i tylko mu policzki zwolna poszarzały.

Za oknem śnieg zaczął prószyć i wiatr się podniósł porywisty.

— Był stolnik litewski... znaczy, nasz król jegomość — poprawił się Chadźkiewicz z jadowitym uśmieszkiem — na tronie. Byli senatorowie i posłowie, i ministrowie potencyj, damy i co przedniejsi Rzeczypospolitej panowie, magistrat, szkoła rycerska... Asana szkoła! — mrugnął do Jasińskiego. — Kawaleria narodowa. Wojsko w paradnych koletach! Książę prymas, czytaj tu waść — trzepnął dłonią po papierzyskach — mowę trzymał... O! co ksiądz Łuskina w Gazecie Warszawskiej pisze: ...miał gorliwą mowę pasterską, opisując wysokie cnoty umęczonego nie-

winnie, już niesłychaną niegodziwość męczących, już ukazując, jak bezbożność i zepsute obyczaje do ostatniej prowadzą człowieka ślepoty i zajadłości...

Jasiński wsparł się o ścianę — bledszy od ściany, dysząc ciężko. Chadźkiewicz czytał dalej — z uporem, bezlitośnie, z zawziętością kata, od czasu do czasu tylko zerkał spode łba, śledząc bacznie każdy ruch, każde drgnienie powieki Jasińskiego.

— Oby te grube, całą Europę okrywające kiry mogły zakryć przed potomnością — błaznując piał żałośnie — tę tak sromotną narodowi francuskiemu zadaną plamę, iż nad tą tak zacną niegdyś Francją, nad tą pierworodną Kościoła córą ubolewać dziś z Jeremiaszem przychodzi, jak nad ową Izraela córką...

Urwał. Twarz gospodarza była kamienna. Lodowata. Tylko oczy paliły się jak dwa karbunkuły.

— Asan to już znasz. Czytałeś przedtem. Nie?

— Byłem u Misjonarzy... na onym nabożeństwie. Słyszałem.

— Toś dureń!

Milczenie zapadło w izbie mrożące krew w żyłach, jedynie wiatr wył za oknami i tłukł o ściany domu. W lichtarzach świece poczęły skwierczeć żałośnie, wydając swąd niemiłosierny. Nikt nie ruszał się poprawiać knoty — pucołowaty sługa siedział jak zdrętwiały na zydelku w kącie, nie śmiejąc drgnąć.

Tego dnia długo, długo w noc nie gasło światło w oknach kwatery pułkownika Korpusu Inżynierów, Jakuba Jasińskiego.

Chadźkiewicz dawno był już odszedł, nie próbując nawet tym razem nakłaniać chmurnego kompana do jakiejbądź wesołej ekskursji. Maciej spał w służebnej. Dworek zaległa cisza. Jasiński został sam.

Siedział przy stole wśród stosów notatek, szkiców, obliczeń — i nie miał najmniejszej nawet ochoty do pracy. Wzburzona myśl uporczywie powracała do rozmowy o zmierzchu, natrętnie wdzierała się pomiędzy cyfry rachunków, paliła wstydem.

— Dzyń! dzyń! dzyń! — zadźwięczały w ulicy dzwoneczki sanek, kusząco, wabliwie.

Wstać, wyjść, zapomnieć.

I znów cisza. I znów to samo: żrąca, piekąca myśl o hańbie, o głupocie, o bezwstydzie. Gorycz pogardy. Bezsilna wściekłość.

Ogień na kominie dawno już wygasł i chłód wciskał się do izby. Wcale nie czuł chłodu. Palcami objaśnił stygnące światło świec. Nawet

nie poczuł, że poparzył palce. Wyciągnął rękę po leżący na stole nóż i powoli temperował pióro. Jedno. Drugie. Trzecie.

— Wy, których prawe czucia — zaczął pisać na marginesie kartki obok jakichś zawiłych obliczeń i zaraz przekreślił, co napisał. Odłożył pióro, zasłonił rękoma twarz i oczy — i tak wsparty na łokciach znieruchomiał.

Obrazy przepływały jedne za drugimi, jedne za drugimi... Jak długo?

Wiatr uderzył o szyby i targnął okiennicami, aż zadzwoniło w uszach jak po armatnim wystrzale. Przebudził się skostniały z zimna. Wstał, podszedł do kominka i końcem buta jął rozgrzebywać popiół paleniska — na darmo. Długo musiał tak przesiedzieć czy przedrzemać.

Wrócił do stołu równym, zdecydowanym krokiem. Pisał:

Wy, których prawe czucia i sposób myślenia
Ścieśniła sroga przemoc i śmieszne wrażenia,
Co poddani przesądom i w gminnem mniemaniu
Czujecie, jak wam każą, lecz nie w przekonaniu —
Widzę, że w tym momencie na myśli wam stawa
Dziwna w swojej rzadkości, lecz zbyt prosta sprawa.
Król ścięty...

Szarzało. Blady, nieśmiały świt przesączał się powoluteńku przez zawiane śniegiem szyby, odsłaniając baśniowe rysunki na szkle — kwiaty, liście paproci, gwiazdy. Jasiński dzwonił na chłopca, żeby co rychlej palił na kominie. I pisał:

...cud tak rzadki w kronikach ludzkości
Wart zapewne zdumienia, wart wielkiej litości;
Lecz raczcie się zapytać waszego sumienia,
Czy wart jest w sercach czynić tak wielkie wzruszenia?
A gdy człowiek cnotliwy, bez winy — bez sądu,
Pada ofiarą zemsty, dumy lub przesądu,
Gdy krocie nędznych ludzi od domów, od dziatek
Pędzą na rzeź tyrani jak bydło do jatek,
Kiedy narodom całym wymyślna chimera
Ostatni kąsek chleba od gęby oddziera —
I czemuż wam naówczas owa czułość tkliwa
Łez krwawego wzruszenia z oka nie dobywa?

Pił podstawione mu przez służącego grzane piwo, nie wiedząc, że pije i co pije. Parzył łapczywie usta gorącym płynem. Było mu zimno, okrutnie zimno — i zarazem czuł jakiś żar wewnętrzny, jakąś rozpierającą go, podniecającą siłę.

Te sceny, że was swoim nie rażą widokiem,
Stąd pochodzi, że codzień macie je pod okiem.
Oto w waszej stolicy, karmni strawą waszą,
Zuchwalcy was wzgardzają i dybami straszą,
Oto niezgodny sąsiad, co was świeżo zdradził,
Z urąganiem na chleb wasz wojsko swe sprowadził,
A gdy wam wolność, honor, majątki odjęto,
Wy płaczecie, że króla o mil trzysta ścięto!
Polacy! my nie znamy robót obcych rządów,
Rzućmy dziwne wrażenia odwiecznych przesądów...

— Rzućmy dziwne wrażenia!... Tak!... Tak!... Rzućmy dziwne wrażenia! — To właśnie trzeba powiedzieć. To. W pysk — tamtym.

Teraz poczuł się tak mocny, jak gdyby mu skrzydła u ramion wyrosły. I gorycz wczorajszego wieczoru gdzieś się podziała, spłynęła niewidocznie. I uczucie doznanej hańby. Krew paląca policzki uciekła znów do serca — a w sercu już tylko spokój ogromny i radość, radość, radość i uparta chęć walki.

Dalej, dalej, dalej!...

Pisał zaciekle, z pasją — krwią najserdeczniejszą.

Kiedy skończył, było już zupełnie widno. Jeszcze raz chwycił za pióro i u góry zanotował wielkimi literami:

WIERSZ W CZASIE OBCHODZONEJ ŻAŁOBY
PRZEZ DWÓR POLSKI PO LUDWIKU XVI

Wstał od stołu i odwrócił się na pięcie — żwawo jak fryga.

— Wyjdu ja da na ganoczok,
Hlanu ja da na krasaczki

— zanucił na pół wesoło, na pół smętnie.

Naprzeciw niego stał wyprężony po żołniersku, z surową, kamienną powagą na dobrej, uczciwej twarzy mazurskiego chłopa — Maciej, wpatrzony w swojego pułkownika.

— Maciej! — wrzasnął Jasiński — Maciej, zielone ucho, słuchaj!...

Był uszczęśliwiony, rad, że znalazł od razu kogoś, komu będzie mógł przeczytać, pokazać to, co wydzierał z siebie przez całą noc — to, pod czego ciężarem giął się od tylu dni.

— Słuchaj!...

Polacy! my nie znamy robót obcych rządów,
Rzućmy dziwne wrażenia odwiecznych przesądów,
Wszyscy ludzie są równi, czy król czy poddany...

— Dopraszam się słowa! — przerwał nieoczekiwanie służący. I aż pokraśniał przy tym jak burak.

— Co?! — żachnął się zaskoczony nieoczekiwaną opozycją Jasiński.

Chłop pobladł, ale nie ustąpił:

— Prawdziwa prawda... jeno nie równo obdzielono! — wyrzucił z siebie jednym tchem.

Jasiński parsknął śmiechem, ale się zmitygował — i już zupełnie chłodno, z powagą odparł:

— Racja!... Więc słuchaj!

Teraz już czytał twardo, bez egzaltacji.

Wszyscy ludzie są równi, czy król czy poddany,
Jak kto prawu zawinił, niech będzie karany.
Ludwik, gdy śmiercią swoją słuszność zaspokoił,
Niechaj po nim ten płacze, co podobnie broił;
Lecz wy, jeżeli w sprawie sędziami być chcecie,
Rzućcie okiem bezstronnem, co się dzieje w świecie?
Oto naród wsławiony na całej ludzkości
Z swoich kunsztów, swej nauki, męstwa i grzeczności,
Zmierziwszy dumę, hańbę i klęski tyrana,
Powiedział: chcę mieć króla, lecz nie chcę mieć pana;
Mówił do swego króla: — „Lubo, będąc wolny,
Mógłbym cię z tronu zrzucić, boś rządzić niezdolny,
Jednak szanując jeszcze niektóre wrażenia,
Nic ci nie chcę odbierać, prócz mocy gnębienia:
Bądź święty, bądź bogaty, bądź kraju ozdobą,
Lecz ty będziesz nad nami — a prawo nad tobą."
Zdrajca, kiedy w obliczu Boga im przysięgał,
Tajemnie po broń obcą na krew braci sięgał;
Mówcież, jak nie miał naród wchodzić w jego czyny?
Chyba królowie-bóstwa, a ludzie-machiny!
Jeśli nad sobą władzę królom powierzyli,
Chcieli, by nimi króle podług praw rządzili,
Lecz gdy ci obowiązków swych nie chcą pilnować,
Za cóż ich ludzie mają kochać i szanować?
Alboż te miliony ludów niezliczone
Są dla kilku despotów stworzone?
Nie, ludzie! Czas się wybić z tej grubej podłości,
Chciejmy się lepiej poznać na naszej zacności!
Ludwik zginął, tak chciała krajowa ustawa,

Żałujmy go jak człeka, lecz szanujmy prawa.
Daj Boże, by ten przykład przez mocne wrażenia
Oszczędził nam potrzebę jego powtórzenia,
Lecz jeśli ich poprawić i ten nie jest zdolny,
Mówmy: niech zginą króle, a świat będzie wolny!

Skończył. Popatrzył długo i przenikliwie w oczy służącemu. I nie spuszczając wzroku z oszołomionego, zmieszanego, zakłopotanego chłopca, zagabnął obcesowo:

— Pojąłeś?

— Nie całkiem, proszę waszej miłości — odpalił chłop.

— No to jeszcze kiedyś pojmiesz. Moja w tym rzecz.

I szedł zaraz spać.

Po południu czytał wiersz Chadźkiewiczowi. Chadźkiewicz słuchał, nie przerywając, nie podnosząc oczu — w skupieniu, uważnie.

— I co, Ignacy? — pytał niemal pieszczotliwie Jasiński.

— Daj mi ten wiersz! — rzucił krótko zagabnięty. — Będzie za niego premium.

— Premium? Od kogo?

Chadźkiewicz parsknął śmiechem:

— Od kogo?... Od króla! Tysiąc dudków jak nic!...

Król zjednał sobie naród i był znakomity,
A że naród zdradził, więc będzie zabity...

— zadeklamował. — Kubek w kubek to samo i u asana, jeno za dużo słów! Ale nic — nagroda będzie... Szyję daję... królewską za to! — trząsł się od śmiechu, wymachując rękopisem.

— Tysiąc dukatów i ani grosika taniej!

*

W parę tygodni po tym Jasiński jechał do stolicy, żeby się przekonać, iż szelma Chadźkiewicz miał rację. Cała Warszawa czytała „Wiersz w czasie obchodzonej żałoby przez dwór polski po Ludwiku XVI", a Stanisław August, wściekły i zaniepokojony, dawał tysiąc dukatów za wykrycie rymopisa.

Stanisław Ryszard Dobrowolski

Z książki o gen. Jakubie Jasińskim

BARBARA RAFAŁOWSKA

TWÓRCZOŚĆ PANOWEJ

Twórczość Panowej — to w pierwszym rzędzie obraz dnia powszedniego ludzi radzieckich. Słowa rzucone w „Krużylisze" o „zwyczajnych ludziach obarczonych troskami, dzieciarnią, kłopotami materialnymi" mogą być wysunięte jako motto całej dotychczasowej jej twórczości. „Towarzysze podróży", „Krużylicha", „Jasny brzeg" — pociąg sanitarny, fabryka, sowchoz — to jakby trzy kręgi koncentryczne o tym samym ośrodku, którym jest właśnie „zwyczajny" człowiek, obraz jego życia na tle wielkich zdarzeń wojennych, lub na tle „wielkiego dnia powszedniego" rzeczywistości radzieckiej. Chronologicznie dotyczą trzech różnych okresów (początek wojny, w przededniu zwycięstwa, po wojnie), tak jednak bliskich sobie, że wytwarza się wewnętrzna więź między nimi, spotęgowana jeszcze tym, że wracają postaci bohaterów (Daniłow).

Zamknięty, kursujący zrazu w kierunku frontu, a następnie raczej po zapleczu, pociąg sanitarny dał autorce szczególnie wiele możliwości do przeprowadzenia tzw. studiów charakterologicznych. Czytelnik nie tylko widzi tych ludzi w akcji związanej z dziejami wojny, lecz poznaje w retrospekcji ich życie domowe, warunki ich bytowania. To zainteresowanie człowiekiem znalazło swój wyraz w kompozycji książki i tytułach rozdziałów, w których w zmienionej kolejności wracają cztery postaci (Daniłow, Lena, Doktór Biełow, Siostra z oddziału chirurgicznego) w pierwszej i trzeciej części książki, o symbolicznych tytułach cz. I i III — Noc i dzień (przed i po Stalingradzie), z wiążącym je tytułem cz. II, w której znowu wysunięta jest postać bohatera Daniłowa. „Towarzysze podróży" — to obraz ludzi wyrwanych z normalnego biegu życia, ludzi tęskniących do spokoju, jednocześnie jednak obraz ludzi, którzy potrafili całkowicie przystosować się do zmienionych warunków, dać maksimum z siebie, by stworzyć wzór pociągu sanitarnego, niosącego pomoc państwu w najcięższym okresie wojennym, dzięki inwencji, ofiarności i poczuciu odpowiedzialności personelu. „Towarzysze podróży" — to dla Panowej w pierwszym rzędzie przegląd charakterów: Kraninów — domagających się wysłania na front, Suprugowów — małostkowych egoistów, Daniłowów, wyżywających się całkowicie na stanowisku kierownika pociągu, i ludzi, którzy dopiero tutaj

zrozumieli swą rolę w społeczeństwie. Dla wszystkich jednak „Stalingrad stał się nadzieją i zwiastunem lepszych dni".

Zagadnienie zwyczajnego człowieka, jako podstawowy problem wszystkich książek Panowej — to obraz jego dnia powszedniego, na którym wyciskają swe piętno drobiazgi i stają się przesłankami charakterystyki. Dlatego uwagę autorki absorbuje często sfera myśli bohatera, które podkreślają właśnie jego „zwyczajność" i są wyrazem jego stosunku do otaczającej go rzeczywistości i ludzi. Tylko, że „zwyczajny" człowiek Panowej — to nie jest tzw. „szary człowiek" literatury burżuazyjnej, zwyczajny człowiek Panowej to: Uzdzieczkin — przedstawiciel Związku Zawodowego, to stachanówka Maryjka — przodownica pracy, zwyczajny człowiek — to świadomy robociarz Wiedieniejew, to matka Listopada — chłopka, przewodnicząca kołchozu, to stolarz Ałmazow, to dojarka Niusza, to nauczycielka i wiele innych. Rzeczywistość radziecka dała tym ludziom poczucie wagi spełnianej przez nich funkcji, poczucie nieodzowności tego właśnie odcinka pracy, postawiła ich na szczeblu, który czyni z nich wszystkich świadomych budowniczych przyszłości. Siłą napędową życia „zwyczajnych" ludzi Panowej są sprawy wielkiej wagi, które nie pozwalają wysunąć się na czoło tym właśnie drobiazgom codziennego życia.

Źródłem niezadowolenia, czasem rozpaczy może nieporadnego i niezdarnego również w życiu osobistym Uzdzieczkina, są nie jego sprawy osobiste, lecz sprawa Związku Zawodowego, konflikty z dyrekcją na tle takiego czy innego komentowania roli i znaczenia organizacji. Dlatego decydująca rozmowa z dyrektorem Listopadem jest świadectwem już przezwyciężania, przełamywania wad charakteru Uzdzieczkina, które ustąpić muszą wobec przemożnej siły wychowującej całego biegu radzieckiego życia. Dlatego kombinator Mirzajew („Krużylicha") odrzuca od siebie przeszłość, „łatwe życie", bo nie może ono ostać się w warunkach oczyszczającego i przeobrażającego wpływu społeczeństwa, dla którego praca stała się sprawą honoru. I dlatego obficie podpatrzone przez Panową słabostki ludzkie, uwaga skierowana na ich wyłapywanie nie są celem same w sobie, — pokazują dziedzictwo ustroju burżuazyjnego, wychodzą poza ramy skonstatowania takiego czy innego charakteru i stają się problemem komunistycznej etyki. Typowe przykłady rudymentów drobnomieszczańskiego poczucia własności i skąpstwa: scena zdejmowania firanek i wynoszenia mebli z pokoju, do którego wprowadza się ewakuowana z Leningradu („Krużylicha"), scena pozbawienia Leny („Towarzysze podróży"), która przyjechała z frontu, maszynki elektrycznej, bo jakieś tam „wprowadzili ograniczenia" — to nie tylko ilustracja, to problem: czy może w ten sposób postępować człowiek radziecki? Odpowiedź — to obrazy innych ludzi, równie „zwyczajnych", ale już o szczebel wyższych, jeśli chodzi o ich postawę wewnętrzną. „Własny", odziedziczony po rodzicach dom Łukaszyna, staje się domem pogorzelców wojennych, a „gospodarz" Łukaszyn, rezygnuje

z możliwości sprzedaży, by rodziny, które utraciły wszystko, nie straciły poczucia zdobytej na nowo przystani życia. Ten problem własności analizuje Panowa ujmując go nie tylko na płaszczyźnie stosunków osobistych, na płaszczyźnie współżycia między ludźmi. Pokazuje jego wpływ wypaczający w szerszym aspekcie nawiązując na przykład do istniejących w czasie wojny tzw. ogródków działkowych: „Łazi taka baba po swojej grzędzie i myśli: sąsiadka dostała lepszą działkę, sąsiadka ma lepsze kartofle. Woreczki, znaczki, a każda kobieta ma tylko jedno zmartwienie, aby jej z worka po drodze nie usypano". Postawienie tej kwestii było ważne nie tylko merytorycznie (kiedy istniały ogródki działkowe): jest świadectwem tej ścisłej łączności literatury z życiem, kiedy to literatura staje się natychmiastową transmisją problemów narastających w rzeczywistości radzieckiej, a często nabiera charakteru trybuny, stawia sprawę przed czytelnikiem i zmusza do zajęcia stanowiska. Panowa nie unika obrazów małostkowości, pokazuje natomiast, jak ta właśnie małostkowość w zetknięciu ostrze w ostrze z wielkością, dynamiką i pędem naprzód życia radzieckiego zostaje odrzucona, a ludzie, których dusze są często jeszcze terenem walki, ludzie „zwyczajni" wypracowujący z mozołem zasady etyki komunistycznej są realizatorami wielkiej idei, wierzą, że w „tych swoich butach roboczych dojdą do komunizmu" („Jasny brzeg").

Droga do komunizmu — to droga doskonalenia się człowieka, zdobywania nowych wartości, przekształcania siebie i swego otoczenia, to droga zdobywania wyższych szczebli, likwidowania tych anomalii, które stały się elementem rozkładu życia rodzinnego w ustroju burżuazyjnym. Życie rodzinne, styl tego życia staje się również wykładnikiem oczyszczającego oddziaływania ustroju socjalistycznego, ścisłego zespolenia wszytkich ogniw życia „pełnego" człowieka socjalizmu. Zagadnienie miłości, wzajemny stosunek do siebie męża i żony, stosunek do dziecka wypływają w twórczości Panowej jak i w innych utworach literatury radzieckiej jako problem etyki komunistycznej nie uznającej podziału na tzw. życie społeczne i osobiste. I tak jak problemem życia i literatury radzieckiej jest obojętność w pracy społecznej — tak problemem jest oschłość w życiu rodzinnym. Daniłow („Towarzysze podróży") wie, że po powrocie z wojny wiele musi zmienić w swym życiu rodzinnym, tak jak wiele musiało się zmienić w życiu osobistym Listopada. Ałmazow („Jasny brzeg") rezygnuje ze swej miłości do kobiety, którą przypadkowo spotkał podczas wojny, bo „zrozumiał, jaka to by była zbrodnia opuścić dziewczynki, opuścić Tosię z jej macierzyństwem, z jej srebrnymi nitkami we włosach, z jej niepokojem i bólem". Życie osobiste, rodzinne człowieka radzieckiego dorasta i musi dorosnąć do tego poziomu, kiedy egoizm jako czynnik kształtujący to życie jest wyeliminowany. Panowa stara się oświetlić to zagadnienie operując światłami i cieniami, stara się pokazać je od strony człowieka wypracowującego w sobie ten ludzki, to znaczy socjalistyczny stosunek do otaczającej go rzeczy-

wistości. Niewiele da z siebie Ikonnikow („Jasny brzeg"), ale niewiele da również jemu zimne wyrachowanie, na którym chce zbudować swe życie: utonie gdzieś w morzu radzieckiego życia małostkowy Suprugow („Krużylicha"), ale zdobędzie sobie pozycję i uznanie otoczenia młoda, uczciwa w swej ludzkiej postawie nauczycielka Marianna („Jasny brzeg"). Ta właśnie uczciwość, czystość intencji jest dla Panowej cechą wyróżniającą postawę etyczną człowieka radzieckiego, a ciepły stosunek człowieka do człowieka ma pomóc tym, przed którymi rzeczywistość radziecka otwiera wszystkie możliwości, a którzy wewnętrznie nie zawsze jeszcze do poziomu tej rzeczywistości dorośli.

I tutaj wkracza problem pasjonujący Panową szczególnie — problem młodzieży, dziecka i kobiety. Nie jest przypadkiem, że dzień 22 czerwca 1941 r. „opłakany" jest przede wszystkim przez małego synka Daniłowa („Towarzysze podróży"), tak jak nie jest przypadkiem, że ostatnim akcentem „Jasnego brzegu" jest wędrówka Sierioży, który „idzie wysokim brzegiem, wiatr rozwiewa jego miękkie włosy, a przed nim fruwa biały motyl, przelatujący z kwiatka na kwiatek". Jasny brzeg rzeczywistości radzieckiej i jasne dzieciństwo małych obywateli — to dla Panowej znowu dwa ogniwa ściśle ze sobą związane, odpowiedzialność za to właśnie dzieciństwo, za oblicze młodzieży spada przede wszystkim na najbliższe otoczenie. Funkcją harmonii życia rodzinnego jest właściwy stosunek do dziecka. Odpowiedzialność za tragedię chłopca w „Krużylisze", za jego ucieczkę z fabryki spada całkowicie na barki Uzdzieczkina, który właśnie swą oschłością i bezwzględnością spaczył jego charakter, był właściwą przyczyną jego ucieczki. Dopełnieniem jednak tego obrazu są postaci spośród młodzieży, nie ustępującej starszemu pokoleniu w niczym, nie wyłączając ciężkiej i odpowiedzialnej pracy podczas wojny, postaci dziewcząt — przodowniczek pracy (Lidia, Niusza), młodzieży, która często starszym może zaimponować swą zdolnością do ofiar i stopniem uświadomienia: „Chłopcy, nas w Krużylisze jest 35%. Jeżeli nie weźmiemy się uczciwie do pracy, zamówienie nie będzie wykonane, rozumiecie?" Takie jest właściwe oblicze młodzieży w twórczości Panowej, młodzieży, która może być i jest współbudowniczym teraźniejszości i przyszłości.

Kobiety „obarczone dziećmi, troskami materialnymi" wychodzą z ciasnego kręgu życia domowego, nie rezygnując z przytulności domowej żyją życiem pełnowartościowego człowieka, który zginie dla społeczeństwa radzieckiego i dla siebie, jeżeli pozwoli odsunąć się od twórczej pracy całego społeczeństwa. „Westalka" ogniska domowego, Klaudia, musi przetworzyć się w inżyniera-konstruktora Nonnę Siergiejewnę, w nauczycielkę Mariannę, w przewodniczącą kołchozu i wtedy dopiero życie rodzinne płynie właściwym łożyskiem, wtedy dopiero kobieta odczuwa więź z całym biegiem życia i rozumie w sposób właściwy swą rolę w rodzinie.

Tak zamyka się kompleks zagadnień związanych z życiem rodzinnym, kompleks, na którym przede wszystkim indywidualność kobiety wyciska swe piętno.

Zwyczajni ludzie Panowej, obarczeni troskami materialnymi, kłopotami, żyją życiem społeczeństwa rozwijającego się, świadomego swej roli i znaczenia, życiem, które wznosi się na coraz wyższy szczebel. Uczą się wszyscy (Korostielow, Niusza i inni), bo to jest gwarancją, że dotrzymają kroku i sprostają tym zadaniom, które stawia i będzie stawiało przed nimi państwo socjalizmu.

I rzecz charakterystyczna. Panowa, która wychodzi z codzienności, musi wyprowadzić swych bohaterów na szeroką drogę całej radzieckiej rzeczywistości, zwróconej w przyszłość, a obraz ludzi z „Krużylichy", którzy już pod koniec wojny zastanawiają się nad tym, co będzie „ich" Krużylicha produkowała po wojnie, na jaką pracę będą musieli przestawić się jej robotnicy i gospodarze, obraz członków sowchozu „Jasny brzeg", dla których wykonanie ogólnego planu państwowego staje się wytyczną nie wykonania, lecz przekroczenia go w szlachetnym współzawodnictwie kraju idącego do komunizmu — jest widomą oznaką patosu, którego nie uda się wyeliminować z życia, z rzeczywistości kraju socjalizmu. Małe codzienne sprawy ludzi radzieckich, ich niepowodzenia i troski nie potrafią ściągnąć do siebie, obniżyć lotu radzieckiego życia — lecz radziecka rzeczywistość podnosi ich do swego poziomu, zespala każdego człowieka ze świadomym swych zadań kolektywem, który „dumny jest z czasu, w którym ma szczęście żyć" („Jasny brzeg").

Punktem wyjścia twórczości Panowej jest życie osobiste, dom człowieka radzieckiego. Tło staje się stopniowo w powieściach coraz szersze, pogłębiają się i rozszerzają związki między ludźmi, powiększa się ilość bohaterów, dom wrasta coraz bardziej w nurt całego radzieckiego życia. Jeszcze w „Towarzyszach podróży" i „Krużylisze" to zainteresowanie życiem osobistym, poszczególnymi ludźmi wycisnęło swe piętno na kompozycji powieści. Zainteresowania, często może zbyt drobiazgowy, aż naturalistyczny opis tzw. drobiazgów charakterologicznych przyczyniły się do tego, że zarówno „Towarzysze podróży", jak i „Krużylicha" tworzą kompozycyjnie raczej zbiór opowiadań niż powieść. Niektóre z nich— to całości zamknięte w sobie, jak na przykład opis wycieczki i pobytu chłopców na wsi w „Krużylisze", lub opis przygody Łukjanycza na jeziorze („Jasny brzeg"). Na niektórych wycisnął piętno właśnie ów pociąg do tzw. ciekawostek charakterologicznych i sytuacyjnych, często z posmakiem sensacyjności (spotkanie Daniłowa z Fimą w pociągu sanitarnym).

Nie pozostało to bez wpływu na nie zawsze wystarczające pogłębienie postaci, których rozwój często jest nie umotywowany, czasem zbyt łatwy, a więc nie przekonywający. Do tych należy awans społeczny matki Listopada, która nie wiadomo jak dorosła do stanowiska przewodniczącej kołchozu, postać przodownicy pracy Lidii, której proces uświadamiania

zastąpiony został zręcznością palców, obraz byłego kułaka, który doskonale, od razu przystosował się do nowego życia. Scena pierwszej lekcji Marianny w szkole („Jasny brzeg"), jej nieporadność pedagogiczna — została na poziomie zamkniętego obrazka, a dalsze jej dzieje jako nauczycielki czytelnik musi przyjąć na wiarę, natomiast jej czysto ludzki kontakt z otoczeniem, uczniami i własnym dzieckiem zdobywa całkowitą sympatię czytelnika.

Podejście do rzeczywistości od strony tego, co może jest ciekawe, ale nie typowe, co nie zawsze może być traktowane jako szeroki, dorastający do typowości przekrój (obraz opuszczonych, zaniedbanych domów młodzieżowych, problem konfliktu dyrekcja-związki zawodowe), rozproszyło w pewnym sensie twórcze spojrzenie Panowej, pociągnęło ją za sobą, opanowało i nie pozwoliło jej dojrzeć tego organizującego ośrodka, jakim jest partia, jej oddziaływania na życie i jej wpływu na wypracowanie oblicza etycznego człowieka. W „Towarzyszach podróży" rola partii sprowadzona została do problemu szkolenia. W „Krużylisze" — rozpłynęła się raczej w osobistych kontaktach jej przedstawicieli z otoczeniem. Partia istnieje gdzieś na marginesie bardzo napiętego w czasie wojny życia fabryki liczącej 20.000 robotników, a cały bieg jej życia — to przede wszystkim inicjatywa, życzliwość i zdolności organizacyjne Listopada. Nie widzi również czytelnik roli i znaczenia komsomołu. „Jasny brzeg" przynosi w pewnym sensie pogłębienie stosunku do partii. Jest ona bardziej zespolona z całym biegiem życia, jej przedstawiciele: Gorelczenko i Bekiszew, wglądają zarówno w sprawy kołchozu jako całości, jak również w życie poszczególnych ludzi, czuwają i kierują. Obraz organizacji partyjnej wiele ma jeszcze elementów czysto deklaratywnych, nie rozprowadzonych w akcji powieści, o osiągnięciach dowiaduje się czytelnik z przemówień końcowych, (Korostielow, Bekiszew u Ałmazowa), nie z obrazów, które do tych wniosków prowadzą, a często z lirycznych wtrętów samej autorki. Znacznie szerzej odmalowała autorka przyjaźń Niuszy i Tani, niż rolę Tani jako komsorga. Mimo to jednak uczynienie z partii ośrodka kierującego i centralizującego pozwoliło Panowej objąć w „Jasnym brzegu" całokształt życia sowchozu, ustalić pewną hierarchię postaci, bardziej równomiernie potraktować każdą z nich i wiarę Listopada, „że gdy zaszumią korony posadzonych przez niego drzewek", znajdą się ci, którzy kontynuować będą dzieło zaczęte i „staną na rusztowaniach, które nigdy nie będą zdjęte dla budowniczych", uczynić materiałem twórczym „Jasnego brzegu" i jego ostatniego patetycznego akordu: „z rana wszyscy idą do pracy".

Codzienna praca — to ogniwo nieodłączne drogi wiodącej do komunizmu, obraz wszystkich zwykłych ludzi idących do pracy — to widomy znak najpełniejszego humanizmu socjalistycznego, dla którego nie istnieje człowiek niepotrzebny, który do dzieła budowania komunizmu powołuje wszystkich i stawia każdego na właściwym miejscu.

Barbara Rafałowska

JAN KOTT

Miara postępowości w historii literatury

I

Czy Swift, który w przeddzień rewolucji przemysłowej wyszydzał w podróżach Gulliwera postęp burżuazyjny, był pisarzem wstecznym czy postępowym? Uderzał gwałtownie we wszystkie ideały Oświecenia, obnażał nędzę ludzkiego ciała i umysłu, drwił z rozwoju nauk i umiejętności, zarysował w podróży do kraju mądrych koni przedfeudalną utopię patriarchalną, ale jednocześnie jak nikt inny ze współczesnych pokazał gwałt i przemoc okresu pierwotnej akumulacji, okrucieństwo angielskiej polityki kolonialnej.

Jak poprawnie wyjaśnić i ocenić wzajemny stosunek francuskiej osiemnastowiecznej powiastki filozoficznej i powieści realistycznej? Powiastka filozoficzna, która wyrastała z poetyki klasycyzmu i była produktem rozkładu jego estetyki pod naporem walki politycznej, zadawała, zwłaszcza po roku 1750, cios za ciosem wszystkim autorytetom feudalnego ustroju, formułowała gwałtownie i bojowo polityczne żądania trzeciego stanu, była skutecznym orężem w walce ideologicznej. Powieść natomiast, którą zrodziła nowa praktyka, nowe doświadczenie społeczne mieszczanina, w której dominował żywiołowy realizm, niesłychanie nieśmiało wysuwała żądania polityczne albo też zajmowała wyraźne stanowisko kompromisowe w sprawach polityki, filozofii i reform, ograniczając się do malowania obyczaju mieszczańskiego, do obrony nowych uczuć i godności bohatera z plebsu. Czy powieść, czy też powiastkę filozoficzną należy uznać za formację bardziej postępową, za nowy rewolucyjny gatunek, który zrodziła walka z feudalizmem?

Czy można mówić o realizmie krytycznym polskiej powieści w okresie pozytywizmu? A jeżeli tak, jaki okres w twórczości Prusa, Orzeszkowej, Sienkiewicza i Świętochowskiego wolno tak nazwać i jak go prawidłowo wyodrębnić? Jaką datę należy uznać zarówno dla całości okresu, jak dla poszczególnych pisarzy za szczytowy moment ich postępowej twórczości? Czy na miejsce czołowe należy wysunąć okres walki z przeżytkami feudalizmu i naiwnego zaufania do postępu kapitalistycznego, okres świadomej tendencyjności i humanistycznego optymizmu, czy też okres krytyki kapitalistycznego postępu, ujawnienia sprzeczności nowego ustroju, okres, który był jednocześnie początkiem ideologicznego uwstecznienia całego ruchu, przechodzenia na pozycje agnostyczne i fideistyczne, dominowania elementów wyraźnie politycznie wstecznych? Czy za naczelne zagadnienie dla interpretacji pozytywizmu uznać poznawczą wartość powieści, trafny, prawidłowy i odkrywczy obraz rze-

czywistego świata, czy też stosunek do kwestii chłopskiej i rewolucyjnego ruchu proletariatu? Czy wolno tak stawiać pytania i wyróżniać jak gdyby zagadnienie realizmu od zagadnienia postępowości, czy nie jest to w istocie ten sam problem?

Są to trzy wybrane pytania, są to trzy zagadnienia z historii literatury, ale jednocześnie są to zagadnienia teorii literatury, i to zagadnienia kluczowe: dynamiki rozwoju literackiego, dynamiki literackiego przełomu. Teoria literatury rozwijać się może jedynie poprzez podejmowanie i uogólnianie konkretnych zagadnień historyczno-literackich. Marksistowska teoria literatury jest zastosowaniem materializmu historycznego do konkretnej problematyki historyczno-literackiej, do zadań, które stawia przed sobą praktyka badawcza i praktyka twórcza. Osiągnięcia literatury radzieckiej, estetyka realizmu socjalistycznego, przełom, jaki nastąpił w literaturach krajów demokracji ludowej — oto nowe elementy marksistowskiej wiedzy o literaturze. Zadaniem tych uwag będzie próba wskazania, w jakiej mierze nowe historyczne doświadczenie, a przede wszystkim estetyka socjalistycznego realizmu pozwala uściślić pojęcia, którymi dotychczas operowała teoria literatury, wzbogacić je o konkretną historyczną treść, trafniej i ostrzej postawić zagadnienie przełomu literackiego. Na doświadczeniach rewolucji proletariackiej Lenin i Stalin zbudowali teorię o różnicy między rewolucją socjalistyczną a rewolucją burżuazyjną. Rozwój literatury radzieckiej i estetyka socjalistycznego realizmu pozwala nie tylko na pogłębienie teorii przełomu literackiego, ale przede wszystkim na uhistorycznienie pojęcia przełomu, na rozróżnienie, tak doniosłe dla historii literatury, pomiędzy przełomem literackim feudalizm-burżuazja a przełomem burżuazja-proletariat.

II

Dyskusja z czerwca roku 1947 nad książką G. Aleksandrowa „Historia zachodnio-europejskiej filozofii" była jednym z najważniejszych wydarzeń w radzieckiej humanistyce po wojnie. Przez wysunięcie problemu nowatorstwa w teorii, przez ostrą krytykę resztek burżuazyjnego obiektywizmu, przez postawienie nowych i bojowych zadań naukowych stała się ona punktem zwrotnym dla rozwoju nie tylko filozofii, ale i wszystkich innych dyscyplin historycznych. Była ona zastosowaniem w praktyce naukowej słów Stalina, który w referacie na XVIII Zjeździe Partii żądał „od marksistów-leninowców naszej doby, żeby się nie ograniczali do wyuczenia się na pamięć pewnych ogólnych twierdzeń marksizmu, żeby wnikali w istotną treść marksizmu, żeby nauczyli się brać pod uwagę doświadczenie dwudziestoletniego istnienia państwa socjalistycznego w naszym kraju, żeby nauczyli się wreszcie, opierając się na tych doświadczeniach i biorąc za punkt wyjścia istotną treść marksizmu, konkretyzować pewne ogólne twierdzenia marksizmu, precyzować je i udoskonalać".

Żdanow, wychodząc ze wskazania Lenina, że przy studiach teoriopoznawczych należy „... traktować przedmiot pracy... historycznie, badając i uogólniając rozwój poznania, przejście od niewiedzy do wiedzy", dał nowe określenie przedmiotu historii filozofii: „Naukowa historia filozofii... jest historią zapoczątkowania, powstania i rozwoju materialistycznego poglądu na świat i jego prawa. Ponieważ materializm wyrósł i rozwinął się w walce z kierunkami idealistycznymi, historia filozofii jest również historią walki materializmu z idealizmem".

Próbę przeniesienia tez Żdanowa w dziedzinę estetyki wkrótce podjął prof. B. Mejłach. Określił*) „historię estetyki jako historię wypracowania zasad naukowego materialistycznego pojmowania procesu rozwoju sztuki, jako historię powstania i rozwoju realistycznej metody odtwarzania życia w dziełach sztuki". „Jest rzeczą wiadomą — pisze — że estetyka realizmu i jej etap najwyższy — estetyka socjalistycznego realizmu ukształtowały się w walce z przeróżnymi teoriami, które sztukę przeciwstawiły rzeczywistości, i dla których punktem wyjścia było uznanie twórczości artystycznej za produkt c z y s t e j ś w i a d o m o ś c i. Toteż historię estetyki, analogicznie do historii filozofii, analizować trzeba jako historię walki o estetykę materialistyczną z kierunkami i teoriami idealistycznymi".

I dalej pisze Mejłach: „Nasza estetyka nie powinna bać się zarzutu normatywności. Normatywność estetyki radzieckiej opiera się nie na konstrukcjach abstrakcyjnych, metafizycznych, spekulatywnych, lecz na krytycznym zbadaniu historii estetyki i historii sztuki, w ogóle na najbardziej postępowej teorii — marksizmie-leninizmie, na żądaniach, jakie sztuce naszej stawia rzeczywistość socjalistyczna, naród radziecki".

Jeżeli nawet normatywność estetyki socjalistycznego realizmu jest w dalszym ciągu przedmiotem dyskusji naukowej, po pierwsze ze względu na sam termin, po wtóre — na granice jego stosowalności, to nie ulega wątpliwości, że próba zastosowania tez Żdanowa do historii literatury pozwoliłaby, jaśniej niż dotychczas, uchwycić centralną problematykę historyczną, to jest walkę nowego ze starym w literaturze, walkę żywiołowego realizmu z literaturą skostniałą, „aleksandryjską", rozwiązującą sztuczne zagadnienia formalne, uciekającą od rzeczywistości albo fałszującą jej obiektywny obraz. Teza Żdanowa pozwala na wartościowanie dzieł literackich, formacji i nurtów z perspektywy współczesnego doświadczenia artystycznego i politycznego, z perspektywy najbardziej postępowego etapu, jaki dotychczas osiągnęła literatura.

Teza Żdanowa pokazuje jasno i wyraźnie niebezpieczeństwo wysuwania poszczególnych formacji i okresów rozkwitu literatury jak np. realizm krytyczny, jako wartości absolutnych, ahistorycznych, wyizolowanych z całości rozwoju. Pokazuje, że nie literatura Oświecenia czy

*) Prof. B. Mejłach „Dyskusja filozoficzna a zagadnienia estetyki" przeł. Melania Kierczyńska, Warszawa 1949 „Współpraca".

realizm krytyczny może być miarą, jaką przykładamy do literatury realizmu socjalistycznego, ale przeciwnie — estetyka realizmu socjalistycznego daje nam możność zrozumienia ograniczonej postępowości literatury burżuazyjnej i ograniczonej świadomości jej twórców.

III

Uwzględnienie nowego doświadczenia historycznego jest nie tylko sprawą wartościowania dzieł i stylów literackich, ale także — i tutaj jest bodaj sedno całego zagadnienia — sprawą właściwej interpretacji, trafnego wyodrębnienia antagonistycznych nurtów, nowatorskiego i płodnego naukowo wyjaśnienia praw rozwoju literatury, dynamiki przełomów w literaturze.

Nawet to krótkie i jakżeż ubogie w porównaniu z radzieckim doświadczenie historyczne, jakie daje obserwacja przemian literackich w Polsce po roku 1945, uczy przecież zupełnie wystarczająco historyka literatury o rzeczywistych przyczynach przemian literackich, o tym, jak ideologia kształtuje styl artystyczny, a nie styl artystyczny ideologię, jak w sporach literackich pod tym czy innym kostiumem artystycznym występują przecież zawsze stanowiska polityczne, jak wreszcie dynamika walki klasowej, z pewnym opóźnieniem oczywiście, ale niemniej całkowicie decyduje o dynamice przemian literackich. Namacalnie lepiej od wszystkich teoretycznych argumentów przekonywuje, jak bezradne wobec rzeczywistości i fałszywe są burżuazyjne teorie literatury ostatniego pięćdziesięciolecia o wpływie osobowości, pojętej bądź to naturalistycznie, bądź duchoznawczo, na dynamikę literatury, o jednolitym potoku rozwoju literackiego, o strukturach formalnych czy nawet kulturowych, które autonomicznie, niezależnie od zmian zewnętrznych rozwijają swoje wewnętrzne założenia, o powtarzalności faz, kontrastach form, wędrówkach motywów.

Ale doświadczenia literatury radzieckiej i estetyka socjalistycznego realizmu uczą nie tylko ogólnych zasad marksistowskiej teorii literatury i ogólnej teorii przełomu literackiego. Pozwalają, jak wspomniałem na wstępie, nadać pojęciu przełomu konkretną historyczną treść, odróżnić i przeciwstawić przełom feudalizm-burżuazja i przełom burżuazja-proletariat.

W uwagach J. Stalina, S. Kirowa, A. Żdanowa o konspekcie podręcznika „Historia nowożytna", napisanych w r. 1934 i ogłoszonych w roku 1936, czytamy: „Za główny brak konspektu uważamy tę okoliczność, że nie dość ostro podkreśla on całą głębokość różnicy i przeciwstawności pomiędzy rewolucją francuską (rewolucją burżuazyjną) a Rewolucją Październikową w Rosji (rewolucją socjalistyczną). Zasadniczą osią podręcznika historii nowożytnej winna być właśnie ta idea przeciwstawności rewolucji burżuazyjnej — rewolucji proletariackiej. Wykazać, że francuska i (każda inna) rewolucja burżuazyjna, wyzwalając lud z kaj-

dan feudalizmu i absolutyzmu, nałożyła na niego nowe kajdany, kajdany kapitalizmu i burżuazyjnej demokracji, podczas gdy rewolucja socjalistyczna w Rosji zerwała wszystkie i wszelkie kajdany i wyzwoliła naród z wszystkich form wyzysku — oto co winno stanowić czerwoną nić w podręcznikach historii nowożytnej."

Możemy powiedzieć konsekwentnie, że czerwoną nicią problematyki historii literatury nowożytnej powinno być ukazanie przeciwieństw pomiędzy przełomem literackim feudalno-burżuazyjnym i burżuazyjno-proletariackim, ukazanie wewnętrznych sprzeczności literatury mieszczańskiej i jej burżuazyjnego ograniczenia.

Jeżeli na rewolucję francuską patrzeć będziemy z perspektywy roku 1830, to nawet przy założeniu opanowania całej materialnej wiedzy historycznej o tym okresie, a więc pełnej dokumentacji historycznej, gospodarczej i społecznej, całkowitego wykorzystania wszelkiego rodzaju dokumentów i świadectw, nie będziemy mogli dostrzec klasowego ograniczenia tej rewolucji. Będziemy patrzeć na nią tak, jak patrzyli na nią historycy francuscy okresu Restauracji i Monarchii Lipcowej. „W tym ujęciu — pisze Porszniew*) — rewolucji burżuazyjnej dokonuje burżuazja, masy ludowe zaś, a w tej liczbie również masy chłopskie, idą za burżuazją, popierają ją, nadają jej niezbędną siłę. Przy tym akcentuje się w tak silnym stopniu właśnie rewolucyjną rolę burżuazji, że chłopski ruch antyfeudalny, któremu nie przewodzi burżuazja, traktuje się jako reakcyjny sam przez się. Tylko przez poddanie się burżuazji, tylko idąc za burżuazją chłopstwo może jakoby stać się z siły historycznie reakcyjnej siłą rewolucyjną i postępową".

Dopiero w roku 1848 Marks w „Manifeście Komunistycznym" po raz pierwszy ukazał klasową istotę rewolucji burżuazyjnej i przeciwstawił jej rewolucję proletariacką, dopiero kierownicy Rewolucji Październikowej Lenin i Stalin wykazali w swoich pracach, że we wszelkich rewolucjach burżuazyjnych toczyła się walka o hegemonię między burżuazją a masami ludowymi, że udział mas rozstrzygał o zwycięstwie tych rewolucji, że rewolucja obalająca feudalizm jest w swojej istocie „rewolucją chłopów pańszczyźnianych" (Stalin).

Rozwój wiedzy historycznej nie polega jedynie na odkrywaniu nowych dokumentów i skrzętniejszym przetrząśnięciu archiwów, istotną rolę odgrywa w nim powstawanie nowych konstrukcji wyjaśniających, nowych syntez interpretacyjnych, nowych pytań. Nową problematykę przynosi współczesne doświadczenie historyczne. Dzięki niemu możemy zobaczyć nie tylko źródła rzeki, ale jej bieg i ujście. Jeśliby dalej ścigać tę samą metaforę, można by powiedzieć, że na każdym z etapów historycznych klasowe spojrzenie było linią widnokręgu, która zamykała koło widzenia. Rozwój wiedzy historycznej jest jak gdyby wznoszeniem się w górę, które powiększa coraz bardziej pole widzenia, ale rozwój ten

*) Por. B. Porszniew „Obecny etap teorii marksistowsko-leninowskiej o roli mas w rewolucjach burżuazyjnych", Zesz. Historyczne Nowych Dróg, Nr 1.

odbywa się skokami, spojrzenie z perspektywy nowej klasy, a nie tylko z perspektywy minionych lat, jest dopiero nowe i odkrywcze.

Zadaniem marksistowskiej teorii literatury jest zbudowanie nowatorskiej, twórczej, płodnej naukowo konstrukcji przełomu feudalno-burżuazyjnego w literaturze, który by pokazał całe jego ograniczenie w porównaniu z przełomem, jaki przyniósł literaturę socjalistycznego realizmu. Prace Lenina i Stalina o roli mas ludowych i antyfeudalnych powstań chłopskich w rewolucjach burżuazyjno-demokratycznych, o wewnętrznych sprzecznościach rewolucji burżuazyjnej, zastępujących jedną formę wyzysku przez drugą, muszą stać się dla historyków literatury wzorem metody i rozwiązań.

IV

Jeśli mówimy o postępowości pisarzy, musimy jasno i wyraźnie określić w stosunku do jakiej klasy, do jakiej formacji społeczno-gospodarczej, do jakiej tradycji kulturalnej wyrażają postęp. Nie można mechanicznie przenosić pojęcia postępu z okresu imperializmu i rewolucji proletariackich w okres feudalno-burżuazyjnego przełomu. Trzeba pojęciu postępu nadać konkretną historyczną treść.

Nie można mechanicznie przenosić konfliktu burżuazja-proletariat na konflikt feudałowie-burżuazja. W pierwszym wypadku o dynamice rozwoju literatury decyduje klasowy ruch proletariatu, on rozstrzyga o gwałtownym uwstecznieniu się kultury burżuazyjnej, dla której groźną staje się zarówno wiedza o rzeczywistości, jak i jej realistyczny obraz, on decyduje o rozwoju myśli socjalistycznej. O dynamice rozwoju literatury w okresie przełomu feudalno-burżuazyjnego decyduje tymczasem nie tylko wzrost świadomości burżuazyjnej, ale również natężenie rewolucyjnych ruchów mas ludowych.

O postępowości pisarza w tym okresie rozstrzyga nie tylko jego stosunek do feudałów, ale w tym samym stopniu jego stosunek do wyzyskiwanych i gnębionych, zarówno przez ustrój feudalny, jak i przez rodzące się stosunki kapitalistyczne mas chłopskich i wiejskiego plebsu. Nie wolno upraszczać walki klasowej jedynie do konfliktu mieszczan i feudałów, trzeba dostrzegać jej drugą stronę — konflikt mas chłopskich z burżuazją. Nie wolno mówić, że ponieważ kapitalizm jest bardziej postępowy od feudalizmu, wobec tego wszystkie siły ideologiczne, które torowały drogę kapitalizmowi, były automatycznie postępowe.

Postęp burżuazyjny jest od samego początku antagonistyczny. Rodzące się społeczeństwo burżuazyjne nie tylko rodzi proletariat, ale od samego początku uczestniczy w feudalnej przemocy, od samego początku zmaga się z ruchem chłopskim czy plebejskim. Pierwotna akumulacja odbywa się drogą grabieży kolonialnej, wyrzucania setek tysięcy chłopów z ziemi, nieubłaganej lichwy, brutalnego wyzysku wyrobników w manufakturach i odkupywania podatków państwowych.

Jeśli mówimy o postępowości wielkich pisarzy Oświecenia, to przede wszystkim dlatego, że w pewnym sensie przynajmniej wznieśli się ponad klasowy interes burżuazji, że dostrzegli obok przemocy feudalnej również i pierwszą grabież kapitalistyczną. Prawidłowa ocena historyczna nie polega na wyrywaniu pisarzy burżuazyjnych z historycznego kontekstu i na mierzeniu ich miarą współczesnej świadomości proletariackiej. Ale prawidłowa ocena historyczna nie polega również na ocenie pisarzy burżuazyjnych miarą interesów angielskiego lorda, który do spółki z bankierem założył manufakturę, czy też generalnego poborcy podatków we Francji Burbonów.

Doświadczenie rewolucji proletariackich i budowy socjalistycznej kultury pozwala nam zrozumieć historyczne znaczenie nie tylko walki burżuazji z feudalizmem, ale również walki mas ludowych z burżuazją jeszcze przed rewolucją burżuazyjną. Uczy nas również, który z tych konfliktów jest historycznie donioślejszy, w którym tkwią istotne źródła postępu, już nie postępu ograniczonego, „postępu burżuazyjnego", ale postępu prawdziwego, prowadzącego do zniesienia ucisku człowieka przez człowieka.

Błędem wielu prac historycznych, między innymi i mojej „Szkoły klasyków", było właśnie owo specjalne uczulenie na elementy walki pisarzy burżuazyjnych z kulturą feudalną, połączone z niedostrzeganiem historycznie donioślejszego konfliktu mas ludowych i burżuazji. Nie wystarcza burżuazyjną koncepcję jednego nurtu, jednego „potoku" zastąpić dla wieku XVIII koncepcją dwóch nurtów: feudalnego klasycyzmu i burżuazyjnego realizmu, trzeba ukazać wewnętrzne sprzeczności tego mieszczańskiego realizmu i wpływ na jego rozwój rewolucyjnych elementów świadomości plebejskiej.

V

Teraz odpowiedzieć możemy na pytanie postawione na wstępie. Swift, kiedy ośmiesza i wyszydza feudalny porządek, przywileje urodzenia, wojny dynastyczne, kiedy broni absolutyzmu oświeconego i wierzy w dobroczynny wpływ króla - filozofa na tronie, jest ideologiem sojuszu burżuazyjno - arystokratycznego, jaki przyniosła Anglii „sławna rewolucja". Ale jakiej klasy społecznej staje się ideologiem, kiedy pokazuje, że człowiek żyjący w stanie natury (tej właśnie „natury", która dla ideologów burżuazji była najwyższą sankcją kapitalizmu) jest bydlęciem, a człowiek żyjący w stanie cywilizacji zbrodniarzem? Kiedy ukazuje grabież kolonialną, okrutny wyzysk w pierwszych manufakturach, kiedy w przeddzień epoki wynalazków i technicznego postępu ukazuje zrujnowane warsztaty, wypędzonych tkaczy, wsie ogołocone z mieszkańców, głód, wyzysk i przemoc?

Swift patrzy na kapitalizm angielski nie oczami angielskiego lorda i kupca, ale oczami irlandzkiego chłopa bezlitośnie wyzyskiwanego i przez lordów, i przez kupców, i przez dowódców karnych ekspedycji,

wyzyskiwanego przy pomocy wszystkich środków zarówno przemocy feudalnej, jak wczesno-kapitalistycznej. Swift jest trybunem, organizatorem, wyrazicielem rozpaczy i marzeń ludu irlandzkiego o wyzwoleniu z kolonialnego jarzma. Czyż dążenia wyzwoleńcze irlandzkich chłopów, jeszcze historycznie niedojrzałe, podejmujące krytykę kapitalizmu z pozycji utopijnych, odwołujące się do marzeń o patriarchalnej utopii, uznać należy za wsteczne, a kolonialną politykę kupców i lordów angielskich za postępową, tylko dlatego, że umożliwiła ona wkrótce rewolucję przemysłową, która była obiektywnym postępem technicznym?

Stalin w swoich pracach historycznych uczy doceniać rewolucyjność ruchów chłopskich właśnie wtedy, kiedy są samodzielne, kiedy nie są kierowane przez burżuazję. Ich historyczna niedojrzałość sprawia, że przemawiają językiem utopijnym, ale ten utopizm nie można za przykładem historyków burżuazyjnych uznać za reakcyjny. Chłopskie ruchy rewolucyjne były właśnie dlatego postępowe, że uderzały nie tylko w feudalizm, ale i w ucisk kapitalistyczny.

Kiedy Wolter w roku 1728 widział w londyńskiej giełdzie ostoję religijnej tolerancji, był znacznie bardziej klasowo ograniczony od Swifta, który na giełdę tę patrzył oczami chłopa irlandzkiego.

U każdego z pisarzy burżuazyjnych okresu przedrewolucyjnego i rewolucyjnego natrafiamy na wewnętrzną sprzeczność między filozoficzną obroną porządku kapitalistycznego, odwołującą się do praw rozumu i natury, a obrazem nowej historycznej rzeczywistości. Powieść osiemnastowieczna mimo swojego głębokiego optymizmu z całym żywiołowym realizmem pokazuje nie tylko gwałt i przemoc feudalną, ale również i okrucieństwa okresu pierwotnej akumulacji. Ideolodzy burżuazji przedstawiają mieszczanina jako obywatela państwa zrodzonego z umowy społecznej, jako naturalnego człowieka mądrego, szlachetnego i dobrego; powieściopisarze ukazują rzeczywistego przedstawiciela burżuazyjnego społeczeństwa, którego praktyka życiowa zmusza do egoizmu i podłości.

Aby przeprowadzić apologię mieszczanina, trzeba go umieścić samotnego na bezludnej wyspie. Aby z mieszczanina uczynić żołnierza, trzeba przebrać go w kostium starotestamentowego proroka albo rzymskiego republikanina - tyranobójcy. I dlatego we francuskiej literaturze burżuazyjnej okresu przedrewolucyjnego występuje charakterystyczne rozszczepienie na powiastkę filozoficzną i powieść.

Powiastka filozoficzna przeprowadza polityczną krytykę feudalizmu i teoretyczną obronę „czystego kapitalistycznego postępu" w imię praw natury i rozumu. Nie ma w niej żywych ludzi, nie ma w niej konkretnych obrazów społecznego bytu. Argumentuje przy pomocy intelektualnych konstrukcji historycznych, które udowadniają naturalność praw kapitalistycznych, przy pomocy preparowanych odpowiednio kukiełek przemawiających w imię rozumu. Realistyczny obraz społeczeństwa ujawniłby głębokie rysy i sprzeczności w tym „czystym" programie postępu burżuazyjnego. Zburzyłby całą konstrukcję kapitalizmu jako królestwa ro-

zumu i sprawiedliwości. Realistyczny obraz społeczeństwa musiałby obok mieszczanina pokazać chłopa i plebejusza.

Powieść natomiast osiemnastowieczna nie miesza się do spraw wielkiej polityki i nie porusza zagadnień filozoficznych, albo zajmuje w nich wyraźne stanowisko kompromisowe, pokazuje za to po prostu, w jaki sposób młody wieśniak o zgrabnej figurze robi karierę w Paryżu, jak lokaj może zostać poborcą podatkowym, jak trudno jest kochać nie mając pieniędzy. Jest w przeciwieństwie do powiastki filozoficznej rewolucyjna nie wprost, nie w programach, nie w komentarzu odautorskim, ale przez obraz życia, jaki odtwarza, przez moralność, jaką głosi, przez przełamywanie niemal na każdej stronie arystokratycznej cenzury dobrego smaku, przez swój żywiołowy realizm.

Realizm ten od samego początku stoi w wyraźnej opozycji do „czysto kapitalistycznego postępu". Powieści Le Sage'a, Marivaux, księdza Prévosta demaskują przecież nie tyle zamierające formy feudalizmu, ile właśnie nowe, rodzące się dopiero stosunki kapitalistyczne. Pisarzy nie oburza dola chłopa pańszczyźnianego, ale nowa władza pieniądza nad ludźmi. Wyszydzeni są w nich przecież nie tyle panowie feudalni, obszarnicy i dworska szlachta, ile właśnie burżuazyjna góra, poborcy, adwokaci, kupcy, finansiści.

Rewolucyjność powieści osiemnastowiecznej polega na ujawnieniu po raz pierwszy antagonistycznego nurtu burżuazyjnego postępu, na zarysowaniu konfliktów, które wybuchną z całą siłą dopiero w czasie rewolucji francuskiej, konfliktów pomiędzy burżuazyjną górą i klubami Jakobinów. Z perspektywy roku 1830, ten częściowo plebejski, częściowo drobnomieszczański protest wobec nowej kapitalistycznej rzeczywistości, który z całą siłą doszedł do głosu w „Nowej Heloizie", ale daje się odczytać już z pierwszych francuskich powieści realistycznych (Gil Blas), był niewątpliwie reakcyjny. Ale patrząc na rozwój historyczny z perspektywy roku 1830, trzeba konsekwentnie przyjąć, jak przyjmowali to historycy Restauracji i monarchii Ludwika Filipa, że społeczeństwo burżuazyjne jest kresem rozwoju ludzkości. Z perspektywy rewolucji proletariackiej nie powiastka filozoficzna ze swoją obroną „czysto kapitalistycznego postępu", ale osiemnastowieczna powieść realistyczna demaskująca ten postęp jest najbardziej rewolucyjną formacją literatury mieszczańskiej. Z perspektywy doświadczeń socjalistycznego realizmu żywiołowy realizm powieści osiemnastowiecznej jest twórczym, postępowym, rewolucyjnym nowatorstwem. Powiastka filozoficzna była produktem rozpadu starej estetyki, powieść zalążkiem nowej formacji kulturalnej.

Rozwój teorii literatury odbywa się przez uhistorycznianie pojęć ogólnych. Z przytoczonych wyżej uwag wynika chyba już dostatecznie jasno, że o dynamice gatunku literackiego, a więc w tym wypadku powieści i powiastki filozoficznej, możemy mówić sensownie tylko w obrębie jednej lub najwyżej dwóch formacji społeczno-gospodarczych. Konstruowanie pojęcia powieści jako gatunku literackiego, który obejmuje

wszystkie zjawiska fabularnej narracji prozą o zmyślonych bohaterach, od „Satyrikonu" Petroniusza do powieści socjalistycznego realizmu, jest formalistyczną zabawą bez żadnej wartości metodologicznej.

Ostatnie pytania dotyczyły pozytywizmu. I znowu analogicznie do poprzednich przypadków centralnym zagadnieniem staje się stosunek pozytywizmu jako całości i poszczególnych pisarzy pozytywistycznych nie do przeżytków feudalizmu w Polsce, ale do mas chłopskich i rewolucyjnego ruchu robotniczego. Centralnym konfliktem w Polsce przed rokiem 1880 jest antagonizm chłopsko-obszarniczy, a po roku 1880 — proletariacko-burżuazyjny. Jeśli tak spojrzymy na pozytywizm, okaże on się formacją kulturalną o wiele mniej postępową od romantyzmu, który w szczytowych momentach swego rozwoju stawiał na antyfeudalną rewolucję chłopską.

W Polsce w okresie pozytywizmu i „Wielkiego Proletariatu" burżuazja tworzyła swoją literaturę w dojrzałych, ukształtowanych przez dziesięciolecia rozwoju, formach artystycznych powieści i noweli. Literatura chłopska zaczynała się od pamiętników, które pozwoliły zapisać i przekazać indywidualne doświadczenia jednego ludzkiego żywota. Literaturę socjalistyczną rozpoczynała polityczna ulotka i naukowa rozprawa, krótki opis warunków pracy w fabryce, czy notatka o strajku, pieśń rewolucyjna i piosenka więzienna, krytyka burżuazyjnej moralności i literatury. Błędem jest ukazywanie pozytywizmu jako jednolitego nurtu. Jest on tylko nurtem panującym. Z błędu tego wynikało niedostateczne uwyraźnienie w pierwszych polskich pracach marksistowskich wpływu sojuszu burżuazyjno-obszarniczego na kompromisowość ideologiczną nawet wczesnego, najbardziej bojowego okresu pozywityzmu (prawidłową interpretację zarysowały dopiero ostatnie prace Żmigrodzkiej, Markiewicza, Janionówny i Sandlera), a dalej, co jest o wiele ważniejsze, niemal zupełne pominięcie bardzo wczesnej krytyki pozytywizmu z „lewej strony", przez pierwszych publicystów socjalistycznych.

O dynamice rozwoju pozytywizmu decydował klasowy ruch rewolucyjny i to nie tylko jako siła materialna, jako ruch społeczny, ale również przez teoretyczną krytykę kapitalizmu, jaką przynosiła pierwsza myśl socjalistyczna. Krótki w Polsce okres krytycznego realizmu przypada na lata działania „Proletariatu". Ruch robotniczy stawia wtedy przed ideologami burżuazji po raz pierwszy centralne zagadnienie epoki, a jeszcze nie jest na tyle groźny, aby zmusić ich do fałszowania obiektywnego obrazu rzeczywistości, do płaskiej apologetyki kapitalizmu albo ucieczki w utopię.

Ten okres krytycznego realizmu w Polsce zamyka i kończy „Lalka" Prusa (1887), s u m m a doświadczeń ideologów mieszczańskiego postępu i zapowiedź jego szybkiego końca. I jeśli „Lalka", mimo licznych elementów wyraźnego wstecznictwa w drugiej części powieści, pozostaje szczytowym osiągnięciem krytycznego realizmu w Polsce, to dlatego, że wbrew zamierzeniom autora daje przez swój szeroki realizm obiektyw-

ną krytykę kapitalizmu. „Lalka" jest powieścią postępową nie dlatego, że jest antyfeudalna, jak chciał Prus, ale dlatego, że jest antykapitalistyczna, że ukazuje groźny cień początków imperializmu.

Podstawowe wewnętrzne sprzeczności „Lalki" z mniejszą lub większą siłą dadzą się odczytać we wszystkich powieściach dziesięciolecia rozwoju polskiego krytycznego realizmu, który dzieli okres naiwnej apologii technicznego postępu od zmierzchu pozytywizmu, przynoszącego coraz szybszy odwrót od racjonalistycznych i humanistycznych elementów antyfeudalnej ideologii mieszczańskiej.

Istotną cechą krytycznego realizmu był konflikt ideologa sojuszu burżuazyjno-obszarniczego z pisarzem realistycznym. I dlatego o postępowości tego okresu rozstrzyga nie komentarz autorski, ale realistyczny warsztat. Możemy powiedzieć, że stopień realizmu jest wbrew zamierzeniom autorów obiektywną ideologią tych powieści.

Ale dopiero estetyka socjalistycznego realizmu pozwala nam ocenić realizm krytyczny, pozwala zastąpić nieokreślone pojęcie szerokości i głębi realistycznego spojrzenia (realizmu jako samoistnej wartości artystycznej, jako zespołu chwytów czy stylu) przez kryterium ideologiczne. O postępowości powieści realistycznej decyduje, w jakim stopniu zdołała ona ukazać walkę nowego ze starym, rodzenie się nowych sił społecznych.

Kiedy czeladnik piekarski i działacz robotniczy, Olbrzymek, chciał dostarczyć Prusowi danych o nieludzkim wyzysku robotników w piekarniach warszawskich, autor „Faraona" oświadczył, że to go nie interesuje. Przeważającym tematem polskiej powieści pozytywistycznej są dzieje rozbitków z dworu szlacheckiego, dzieje upadku pańszczyźnianego folwarku, albo w najlepszym wypadku kariera kupca, który ratuje obdłużony majątek szlachetnej i nieszczęśliwej ziemianki. O istotnie postępowych elementach krytycznego realizmu możemy mówić dopiero wtedy, kiedy choćby na marginesach powieści ukazuje się cień kapitalistycznego wyzysku, kiedy pokazuje nam ona prawdziwą dolę chłopa popańszczyźnianego, kiedy pada na nią choćby daleki odblask rewolucyjnej walki proletariatu. Jakżeż mało mamy tych elementów „nowego" w polskiej powieści pozytywistycznej.

Typowym przykładem dynamiki rozwoju i upadku pozytywizmu może być twórczość Orzeszkowej. Jeśli pominąć jej najwcześniejsze utwory, prowadzi ona od kapitalistycznych utopii harmonijnego rozwoju cywilizacji do patriarchalnej i solidarystycznej utopii współżycia dworu i wsi w ramach gospodarki naturalnej. W pierwszym okresie, który sięga po rok 1876, po „Rodzinę Brochwiczów" i „Marię", mamy surową realistyczną krytykę zacofania kulturalnego i gospodarczego dworku, mamy radosną i naiwną wizję sklepiku założonego w mieście przez byłego ziemianina. Szlachetni inżynierowie, koleje i sklepik mają uratować od zagłady majątki szlacheckie, a jednocześnie zapewnić wszystkim warstwom społecznym korzystanie z dobroci cywilizacji. Pozytywistyczny program jest w tym okresie dla Orzeszkowej środkiem ocalenia

polskiego dworu na Litwie i Białorusi, metodą wychowania feudalnego obszarnika do nowych warunków kapitalistycznych.

W okresie ostatnim, który zaczyna się mniej więcej od „Dziurdziów", mamy kolejno coraz to wsteczniejsze, solidarystyczne utopie wiejskie. Najwybitniejszą z nich jest niewątpliwie „Nad Niemnem", epos o narodowej zgodzie między kułakiem i obszarnikiem. Uwstecznieniu ideologicznemu odpowiada, zwłaszcza po roku 1890, coraz dalej idący rozpad realistycznego warsztatu, aż po symbolizm i młodopolską stylizację w „Ad astra".

Te dwa okresy rozdziela szczytowy dla Orzeszkowej okres realizmu krytycznego (1877 — 1883) od „Meira Ezofowicza" poprzez „Z różnych sfer", „Sylwka cmentarnika" i „Zygmunta Ławicza", „Pierwotnych" i „Niziny". Prawie w tych samych latach powstają Sienkiewicza „Szkice węglem", „Za chlebem", „Bartek zwycięzca" i „Latarnik", Prusa „Anielka", „Powracająca fala", „Katarynka", Świętochowskiego „Ojciec Makary", Bałuckiego „Grube ryby" i „Dom otwarty", Kraszewskiego „Szalona". Pokrywają się one niemal dokładnie z działalnością Waryńskiego w Kongresówce, od pierwszych kół socjalistycznych w r. 1876 po proces „Proletariatczyków" w Warszawie w r. 1885.

Nie wewnętrzna ewolucja pisarzy pozywistycznych ani też nawet nie gospodarcze wstrząsy i pierwsze kryzysy, jakie przyniósł kapitalizm, ale powstanie rewolucyjnego ruchu robotniczego narzuciło pisarzom nową problematykę. Po raz pierwszy „widmo komunizmu" zaczęło krążyć po Polsce.

W tych właśnie latach Orzeszkowa próbuje się zmierzyć z postaciami pierwszych rewolucjonistów. Dostrzega jedynie siłę burzącą nowego ruchu i osobistą szlachetność jego uczestników. Walczy z „Widmami", ostrzega przed nimi społeczeństwo. Ale jednocześnie przejmuje od tych „Widm" krytykę pozytywistycznej pracy organicznej, po raz pierwszy zdobywa się na ukazanie z wielką siłą nędzy miejskiej i wiejskiej, nowego kapitalistycznego wyzysku chłopa, płaskiego egoizmu mieszczan, klasowych barier dzielących jeden naród na dwa wrogie światy. Krążące po Polsce „widmo komunizmu" pozwoliło Orzeszkowej dostrzec i ukazać, na krótko ale z przejmującą prawdą, upodlenie człowieka, jakie niesie kapitalizm i zarzewie przyszłej rewolucji społecznej.

W uwagach tych próbowałem pokazać, w jaki sposób estetyka socjalistycznego realizmu i doświadczenia kultury socjalistycznej uzbrajają historyka literatury w nowe pojęcia teoretyczne, jak zmieniają i uściślają system ocen. Czymże jest to nowe doświadczenie historyczne? Są to pytania, które socjalistyczny czytelnik stawia historykowi literatury.

Jan Kott

PANTIELEJ ZAREW

REALIZM IWANA WAZOWA

Działalność literacka Iwana Wazowa przypada na dwa ważne okresy w historii narodu bułgarskiego: okres poprzedzający wyzwolenie i okres od wyzwolenia do końca pierwszej wojny światowej.

Wazow jest poetą, mistrzem krótkiej kompozycji lirycznej i dłuższych utworów epickich. Jest też prozaikiem, który celuje w sztuce odtwarzania rzeczywistości w powieściach i opowiadaniach. W świetnych opowiadaniach podróżniczych pozostawił Wazow niezrównane opisy pięknej przyrody bułgarskiej. Celował również w krótkich opowiadaniach realistycznych i pisał sztuki teatralne. Wszystkie ważniejsze zdarzenia historii narodu bułgarskiego i życia publicznego znalazły swój wyraz w twórczości tego pisarza. Jakkolwiek na początku XX wieku twórczość Wazowa była w pewnej mierze wyrazem dążności bułgarskiego mieszczaństwa, a nie mas ludowych, to jednak pozostał on przez całe życie wierny miłości do swego narodu, podziwowi dla bohaterstwa i ideałów odrodzenia narodowego Bułgarii oraz serdecznej przyjaźni do wielkiego narodu rosyjskiego, który Bułgarię wyzwolił.

Wazow jest największym po Botewie pisarzem bułgarskim. Pięćdziesięcioletnia działalność literacka Wazowa ma wielkie znaczenie dla rozwoju literatury i języka bułgarskiego. Twórczość jego wywarła głęboki wpływ na całe pokolenia i stała się jednym z czynników kształtujących życie narodu w ważnych chwilach dziejowych. W pierwszym okresie Wazow nie ogranicza się do patriotycznego liryzmu, tak właściwego okresowi odrodzenia Bułgarii, liryzmu, który przeniknął do podstawowych warstw społecznych, wyraża w swojej poezji postępowy kierunek rozwoju narodu bułgarskiego. W dziełach swoich Wazow podkreślał sprzeczności istniejące między ideałami Odrodzenia a okresem, który nastąpił po wyzwoleniu. Wazow był pisarzem realistą, który pojął tendencje rozwoju społecznego, a będąc głęboko przejęty humanistycznymi i ludowymi ideałami znalazł się w kolizji ze społeczną rzeczywistością Bułgarii po wyzwoleniu. Rzeczywistość tę piętnował, przeciwstawił jej ideową czystość Odrodzenia. W ten sposób trochę mimo wo-

li — ujawnił istotę i charakter ustroju kapitalistycznego i jego podstawowych sprzeczności.

Wazow nie uważał nigdy twórczości swojej za funkcję swojej „poetyckiej natury". Źródłem tej twórczości było ścisłe związanie poety z epoką, oraz jego czynny udział w życiu narodowym w różnych momentach historycznych. Poeta żył życiem narodu, jego smutkami i radościami, jego pragnieniami. Miłość przeszłości, ideały wyzwolenia narodowego, piękno przyrody bułgarskiej, wiara w przyszłość narodu — oto zasadnicze cechy głęboko patriotycznej i humanistycznej twórczości Wazowa. W obrazach poetyckich Wazowa, entuzjazmie i optymizmie odnajdujemy dążenia i troski szerokich mas. Poezja Wazowa, żywe echo minionych dążeń narodu, jego trosk i bolączek była ściśle związana z jego przyszłością. Jej natchniony przez Odrodzenie liryzm dziś jeszcze budzi szlachetne uczucia, wzywa do bohaterstwa i entuzjazmu. Toteż słuszne było przekonanie poety, że dzieło jego będzie żyło w przyszłości (przekonanie to wyraził w wierszu „Moje pieśni").

Źródłem poezji Wazowa jest jego pełen optymizmu humanizm, widoczny nawet wówczas, gdy poeta pozornie oddala się od chwili bieżącej, gdy zachwyca się pięknem przyrody. Wazow zawsze kocha świat, kocha ludzi głęboką, zdrową miłością, tak jak nienawidzi bólu, nieszczęścia, ignorancji i ciemnoty.

Chronologiczny przegląd zbiorów wierszy Wazowa, które ukazywały się prawie co roku, pozwala stwierdzić, że we wzruszeniach, smutkach i nadziejach poety odzwierciedlają się uczucia ludu. Do wyzwolenia Wazow opisuje los ludu pod jarzmem tureckim. Poeta pragnie żyć i umrzeć wolny w swej ojczyźnie („Bułgaria"). Opiewa walki narodu bułgarskiego podczas powstania w kwietniu 1876 i wyraża podziw dla swego narodu. Znajdujemy tu echo wszystkich zdarzeń, które obchodzą jego naród. Poeta jest przejęty postawą rewolucjonisty Kablechkowa, piętnuje postępowanie konsula angielskiego Blunta, który aprobował okrucieństwa tureckie, głosi chwałę walk pod Gredetinem. W wielu poezjach Wazow wyraża nadzieję narodu bułgarskiego na braterską pomoc Rosji (poemat „Rosja"). Poeta poświęcił później wiele wierszy entuzjazmowi i wzruszeniu, z jakimi naród bułgarski witał wojska rosyjskie, jego głębokiej wierze w potęgę Rosji i opisowi bitew stoczonych przez armię rosyjską. Wiersze te odzwierciedlają ówczesne uczucia narodu bułgarskiego. Wazow opowiedział z prawdziwym wzruszeniem o wielkich czynach bratniego narodu, który przyniósł wyzwolenie i pozostawił potomstwu trwałe wspomnienie głębokiej wdzięczności ludu bułgarskiego dla Rosji.

Dalsza analiza poezji Wazowa pozwala stwierdzić w jego książkach „Wyzwolenie", „Rebec", „Epopea zapomnianych", „Pola i lasy" itd. ścisłe powiązanie twórczości poety z życiem narodu w różnych okresach historii Bułgarii.

Toteż po wyzwoleniu (1876) w nowych warunkach społecznych, gdy zapanowało prawo dżungli, Wazow postanowił utrwalić w pamięci nowych pokoleń wspomnienia bohaterskiego okresu ludowych walk wyzwoleńczych, uwiecznić imię bohaterów niedawnej przeszłości, i w ten sposób wzmocnić wiarę w siły drzemiące w narodzie. Uczynił to pisząc zbiór wierszy: „Epopea zapomnianych". Poeta porównuje bohaterów bułgarskich do najwybitniejszych przedstawicieli innych narodów, widzi w nich przede wszystkim ludzi walczących o postęp ludzkości, apostołów przyszłości. Skazanie Lewskiego nazywa gwałtem zadanym postępowi i porównuje je do wyroków wydanych na Prometeusza, Sokratesa i Jana Husa, przez królów i niegodnych tyranów. Bohaterzy bułgarscy stają się bohaterami walczącymi nie tylko o sprawę swego narodu, lecz o sprawę ludzkości.

Cechą charakterystyczną okresu, który nastąpił po wyzwoleniu, było panoszenie się burżuazji bułgarskiej. W wierszu „Przyjdźcie zobaczyć nas" poeta maluje ponury obraz ucisku społecznego. Pisze satyry na obyczaje mieszczaństwa. Przeciwstawia rodzajowi życia, jakie panowało w kapitalistycznej Bułgarii po wyzwoleniu, swoją wiarę w postęp ludzkości i bułgarskiego ludu. Wazow nie był zapewne demokratą-rewolucjonistą tego pokroju co Botew, ale był patriotą, który opiewał tęsknoty, dążenia ludu i kochał człowieka pracy. Z tych właśnie idei wyznawanych przez Wazowa wynikł nieunikniony konflikt między nim a porządkiem społecznym. Poeta był całkowicie świadom tego konfliktu i dał mu wyraz w swojej twórczości.

Wazow był nie tylko poetą, był także prozaikiem. Napisał wiele powieści i nowel, jak „Pod jarzmem", „Nowa ziemia", „Królowa Kasalarów", „Wydziedziczeni", „Czy nadejdzie", „Stary Yoco widzi", „Bułgarka", „Nieznany bohater" oraz opowiadania podróżnicze: „Zakątek Starej Płaniny", „Wielka pustynia Rila".

W powieściach swych i opowiadaniach Wazow nigdy nie zbłądził na manowce czczych dociekań psychologicznych i nie odszedł od wielkich spraw życia. Powieści jego mają wielką wartość dokumentu obyczajowego. Można zaryzykować twierdzenie, że Wazow jest kronikarzem zdarzeń, trosk narodu, obyczajów i stosunków społecznych swoich czasów.

Wartość tych utworów stanowią nie tyle osobiste poglądy autora na życie współczesne, ile obiektywne odzwierciedlenie tego życia. Niezależnie od poglądów Wazowa dzieła jego dają obraz bohaterskiego społeczeństwa bułgarskiego przed wyzwoleniem i rozkładu tego społeczeństwa po wyzwoleniu.

Wazow przedstawił okres poprzedzający wyzwolenie w trzech swych najważniejszych utworach: w powieści „Pod jarzmem", w nowelach „Wydziedziczeni" i „Czyczowcy" oraz w kilku innych opowiadaniach, W utworach tych daje obraz współczesnych stosunków społecznych, przedstawia rewolucyjne walki o wyzwolenie Bułgarii i stara się uwypuklić historyczny sens opisywanych zdarzeń.

W „Czyczowcach“, „Hadżi Achilu“ i kilku innych opowiadaniach Wazow daje obraz prowincji z jej patriarchalnymi obyczajami „czyczowców“, z ich ciasnym światem, do którego jednak dociera już duch epoki. W powieści „Pod jarzmem“ Wazow przedstawia stosunki rodzinne i społeczne — uczty Hadżi Marko, egzaminy szkolne, rozmowy w kawiarni, przedstawienie w teatrze tworzą żywy obraz ówczesnych obyczajów. Lecz Wazow nie ograniczał się do opisu obyczajów, przeniknął w głąb epoki i dał pełny, zróżnicowany obraz ówczesnego społeczeństwa bułgarskiego. Robotnicy, drobni rzemieślnicy, intelektualiści wywodzący się z ludu, chłop z Werigowa i Altanowa — wszyscy ci bohaterzy Wazowa — to przedstawiciele szerokich mas ludowych, z których rekrutują się rewolucjoniści i które są siłą kształtującą wypadki. Czorbadżi Marko, Miczo Beizedeto i bywalcy kawiarni Ganko reprezentują średnią warstwę kupców i rzemieślników. Są patriotami, lecz wątpią w powodzenie walk wyzwoleńczych, pokładają całą nadzieję w interwencji Rosji. W Czorbadżi Iordanie Wazow odmalował typ czorbadżi. Jest to wróg rewolucji, który lęka się mas ludowych i pragnie tylko zachować uprzywilejowaną sytuację lichwiarza i zausznika Turków.

W wielu nowelach Wazow przedstawia bardzo prawdziwie charakter i postępowanie czorbadżich i stosunek ludu do nich. W poemacie „Kopiec“ lud sypie kopiec, który jest symbolem kary i wznosi się niby pomnik zwycięstwa ludu nad czorbadżimi. Jeden z bohaterów „Wydziedziczonych“, Mrawkata, wyraża w tych słowach głęboką nienawiść ludu: „Czy słyszycie mnie? Ci czorbadżi żyją z potu ludu. Mówię wam, że przed zlikwidowaniem Turków należy ich wyrżnąć“.

Przez prawdziwy opis postępowania czorbadżich i stosunku ludu do nich Wazow ukazał podstawowy konflikt, który wywołał zażarte walki polityczne i społeczne w Bułgarii w okresie jej odrodzenia narodowego.

Rysy charakterystyczne bohaterów tej epoki—to całkowite oddanie się sprawie ludu i wzniosły demokratyzm. Rysy te odnajdujemy u Lewskiego. Rysy te spotykamy u babki Illicy, owej prostej Bułgarki gotowej poświęcić swego wnuka i narazić się na śmiertelne niebezpieczeństwo dla uratowania partyzanta. Ginka, ślepy Koczo, mała Marika i Borimeczkata z „Pod jarzmem“ — to przedstawiciele narodu, który uświadomił sobie swoje zadanie historyczne.

Główny temat powieści „Pod jarzmem“ — to przygotowania i wybuch powstania kwietniowego. Autor nie dał pełnego obrazu rewolucjonisty z jego ideologią ukształtowaną przez rewolucyjne walki. Postaci tej powieści: Boiczo Ognianow, Sokołow a nawet Kablechkow nie mają cech charakterystycznych ówczesnych rewolucjonistów, którzy łączyli bojowość z ideowością. Opisując powstanie, autor nie przedstawił poświęcenia mas ludowych i ich przywódców. W ujęciu Wazowa jest to powstanie bez perspektywy, bez entuzjazmu, bez bohaterstwa.

A jednak życie narodu jest przesiąknięte w powieści rewolucyjną gorączką epoki. Autor daje bogaty i malowniczy obraz życia mieszkańców

małego miasta — oraz mieszkańców wsi. Obraz ten tchnie entuzjazmem właściwym tej epoce, duchem bojowym, pragnieniem walki.

W wielu opowiadaniach Wazow przedstawił także entuzjazm wyzwolenia. Jednym z najcharakterystyczniejszych jest opowiadanie „Ojciec Yoco widzi" — historia starego górala, który stracił wzrok przed wyzwoleniem i „otwiera na nowo oczy", gdy powstaje państwo bułgarskie. Wydawało się staremu, że gdy po raz pierwszy od pięciu lat odzyskał wzrok na chwilę, zobaczył państwo bułgarskie, promień państwa bułgarskiego i całkowicie się przekonał, że nie ma Turków i że wolność zapanowała w świecie.

Przez entuzjazm tego starca przebija także entuzjazm autora. Entuzjazm ten jest charakterystyczny dla stanu umysłów szerokich mas ludowych po wyzwoleniu.

Tymczasem rzeczywistość zadała kłam złudzeniom. Rozczulenie wobec entuzjazmu starego Yoco ustępuje miejsca melancholijnym uwagom autora na temat nowych czasów.

W tych właśnie nowych warunkach życiowych po wyzwoleniu realizm Wazowa przeszedł przez najcięższą próbę. Niesposób było idealizować obyczajów i stosunków społecznych tego okresu, który zwalczał demokratyczne i postępowe prądy odziedziczone po Odrodzeniu.

Zasady życia w wyzwolonej od Turków, ale nie od ucisku klasowego Bułgarii, zasady egoistyczne i okrutne zmieniły oblicze wielu bohaterów powieści „Pod jarzmem", których autor wprowadza znów do powieści „Nowa ziemia". Nie byli to już dawni bohaterzy, lecz karierowicze. Za fasadą patriotyczną kryje się wyrachowanie, egoizm, pogoń za zyskiem tych przedstawicieli społeczeństwa burżuazyjnego.

Wazow w krótkich opowieściach satyrycznych przedstawiał niekiedy w naturalistyczny sposób nowe obyczaje i nowych bohaterów, ich moralność i ich ideały. W wielu opowiadaniach zebranych w tomach „Ranek w Banko" „Szkice i rysunki" widać wyraźnie, że autor chce wywierać wpływ wychowawczy. Lecz jako prawdziwy realista Wazow rozumiał, że los każdego z jego bohaterów jest związany z losem społeczeństwa. W ten sposób Wazow musiał pokazywać podstawowe przeciwieństwa społeczne, potępiać nieludzkie prawa społeczeństwa kapitalistycznego, wykrywać korzenie zła tkwiące głęboko w samym ustroju społeczeństwa.

Pantielej Zarew

WILLIAM SZEKSPIR *Przełożył* WITOLD CHWALEWIK

Wiersz poniższy, ogłoszony tu w przekładzie po raz pierwszy, był ostatnim niewątpliwej autentyczności utworem Szekspira, dotychczas nie przyswojonym polszczyźnie. Stylem oraz intencją autora zbliża się on najbardziej do niektórych sonetów. W rachubę wchodziłby tu zwłaszcza sonet 124. — Szczegółowa interpretacja tego poematu jest dotychczas w krytyce tak sporna, jak uderzające i wyraźne jest w nim piętno wielkiego umysłu i sztuki Szekspira. W przekładzie starałem się naśladować styl oryginału i jak najmniej tworzyć obrazów zastępczych.

FENIKS I GOŁĄB

Niechaj na arabskim drzewie,
Które jedno tylko rośnie
Trębacz, ptak co grzmi najgłośniej,
Braci czystych piór zawezwie.

Ale ty, krzykliwy ptaku,
Wstrętne widmo piekieł gońca,
Tyś ptak męki, zwiastun końca,
— Wara tobie od orszaku!

Wstępu na to zgromadzenie
Nie ma żaden ptak łupieski,
Jeno orzeł, ptak królewski.
Pilne na to dać baczenie!

Niechaj kapłan w komży białej,
Który pienia zna dokładnie,
Łabędź — wieszcz, śmierć niech odgadnie,
I requiem wykona całe.

Trzykroć długowieczny kruku!
Mową czarny lud rozmnażasz,
Którą wchłaniasz — i zarażasz...
— Udział weź w obrzędach smutku!

I tu w hymnu wnijść dziedziny.
Miłość i piękność — zgorzały.
Feniks, Gołąb — uleciały
Całopalnie z tej krainy.

Dwojga taka miłość była,
Jakby w jednym byt swój miała.
Dwoistość — nie rozdzielała.
Miłość liczbę uśmierciła.

Dal tym sercom nie przeciwna.
Przestrzenią nie pokonani
Gołąb — i ta jego Pani.
Dziw to — dla nich rzecz nie dziwna.

Tak jaśnieli ci oboje.
Gołąb swój wyraźny tytuł
W blasku ócz feniksa czytał.
Każde dla drugiego — „moje".

Powszedniości urągało,
Że tożsame jest niespójne.
Byt prosty, imię podwójne
„jeden" ani „dwa" nie brzmiało.

Rozum widział to, dębiejąc:
Rozdwojenie jest osobą,
Samo żadne nie jest sobą,
Jednym są dwa, współistniejąc.

I zawołał: „Jak prawdziwie
Dwoje składną jedność tworzą!
Miłość rację ma, nie rozum,
Skoro z częścią część tak żywie!

Sprawę tę w tren taki wesnuł
Dla feniksa i gołębia,
Równych szczytów, gwiazd miłości,
tłumacz tragicznego kresu.

THRENOS

Piękność, prawda, doskonałość,
Gracji nieskażona całość —
Prochu jeno w urnie białość.

Śmierć to dziś feniksa gniazdo.
Przytuliwszy i pierś własną
Gołąb wierny wiecznie zasnął.

Nie ma po nich potomności,
Nie z powodu ułomności —
Dzięki małżeńskiej czystości.

Chociaż dumnie napuszone
Prawda, Piękność — to nie one,
Obie są już pogrzebione.

Niech pielgrzymi przyjdą tkliwi,
Wierni lub też sprawiedliwi.
Modlitwa niech ptaki żywi.

Przełożył **Witold Chwalewik**

Przekłady z klasyków rosyjskich

ALEKSANDER RADISZCZEW

WOLNOŚĆ

Oda

1

Błogosławiony darze nieba,
O, źródło męstwa i wielkości,
Wiedząc, jak ciebie cenić trzeba,
Niewolnik sławi cię, wolności.
Wlej w serce jego płomień żywy,
Niech za twą sprawą przeraźliwy
Niewoli mrok się w blask przemieni,
Znów Brutus się i Tell ukaże,
Władzę dzierżący niech mocarze
Drżą, twoim głosem przerażeni.

2

Idę wraz z tobą w jedną drogę,
Nie obciążają mnie kajdany
I wolną dłonią przyjąć mogę
Chleb, co mi jest na pokarm dany.
Gdzie chcę — kieruję kroki śmiałe,
Bliskie mi to, co zrozumiałe.
Co myślę — z tego zdaję sprawę,
Potrafię kochać, być kochanym,
Czczę dobro, chcę być szanowanym,
A wola moja jest mi prawem.

3

Lecz cóż to wolność mą przegradza?
Widzę mych pragnień zakres ścisły:
Powstała wspólna ludu władza,
Wspólny we władzy udział wszystkich.
Jej społeczeństwo wiernie słucha,

Jest zawsze z nią jednego ducha.
Wszystko dla wspólnej pomyślności:
We władzy ludu dobro moje.
Dbając o lud — o siebie stoję,
Społeczne prawo wśród nas gości.

12

Żelazne berło dzierżąc w dłoni,
Car z czołem uniesionym pychą
Władczo na dumnym siadłszy tronie
Nie naród widzi — garstkę lichą.
„Jam panem śmierci i żywota,
Oszczędzę łotra, gdy ochota,
Kogo zapragnę, władzą darzę,
Śmieją się wszyscy, gdy się śmieję,
Gdym groźny — płonną rzuć nadzieję
Żyć będziesz — gdy ci żyć rozkażę."

13

A my patrzymy ze spokojem,
Jak naszej krwi nienasycony,
W dni szczęsne sieje jady swoje
I lży nas gad nieposkromiony.
Wokoło tronu wyniosłego
Na klęczkach wielbią władcę swego.
Lecz drżyj, bo mściciel już nadchodzi
I wolność głosi wieszczym słowem,
Wszędzie usłyszą jego mowę,
Roztoczy się na kształt powodzi.

14

Powstaną zbrojne hufce wszędy,
Nadzieja walki wszystkich cieszy,
We krwi despoty wstyd i błędy
Obmyć czym prędzej każdy śpieszy.
Widzę, miecz ostry wszędzie błyska
I śmierć nie schodzi z bojowiska,
Nad dumną głową polatuje.
Skowane cieszcie się narody,
To prawo zemsty — głos przyrody,
To car na szafot już wstępuje.

45

Stokroć szczęśliwe te narody,
Co los wolnością obdarował!
Chrońcie ów błogi dar przyrody —
On w sercach wieczny się zachował.
Ta toń rozwarta, co kwiatami
Jest zasypana, pod nogami
Waszymi — zawsze żeru chciwa.
Nie zapomnijcie ni na chwilę,
Że moc roztapia się w bezsile,
Że światło w ośmę się rozpływa.

46

Ku tobie dusza rozogniona,
Ku tobie, o kraino sławna,
Podąża, tam, gdzie pognębiona
Leżała w prochu wolność dawna.
Radujesz się, a my w cierpieniu!
W tejże radości upragnieniu!
Twój przykład nam wskazuje drogę;
Pozwól, gdy duch mój niepodległy,
By prochy me w twych brzegach legły,
Gdy chwały zaznać twej nie mogę.

47

Lecz nie! Niech umrę tu, na ziemi
Od pierwszych dni sądzonej losem,
Niech zimne prochy me ocieni
Ta wielkość, którą dzisiaj głoszę.
Niechaj młodzieniec żądny chwały
Przyszedłszy na mój grób zmurszały
Z przejęciem te wyrzecze słowa:
„Pod jarzmem władzy urodzony,
Dźwigając łańcuch wyzłocony,
Wolność nam pierwszy prorokował."

Przełożył **Seweryn Pollak**

GAWRIIŁ DIERŻAWIN

POLIHYMNIA

Muzo Hellady, płomienna Safo,
O Polihymnio krain Północy,
Tyżeś ze słodko dźwięczącą arfą?

Twojeż to złote struny — z ich mocy
W duszę wnikają mą błyskawice,
Ciche pioruny w niej biją,
Pierś rozdzierając moją!

Tyś czarnowłosa, pełna jasności,
Agatooka, rumiana Dziewa!
Ty mi, przemądra, starożytności
Pieśni poetów eolskich śpiewasz?
Z ust twych różanych głos się przelewa,
Słyszę szemrzące potoki
I w harmonii tonę!

Tak, ty, Charyto grecko-rosyjska,
Dłonią poetę we mnie zbudziłaś,
Przy mnie siedząca i sercu bliska
Swój oddech wtedy z moim dzieliłaś,
I wtedy, hymn mój głoszące Bogu,
Serce płonęło we mnie,
Łzy strumieniem płynęły!

I gdyby chwilę jeszcze potrwało
Twoje niebiańsko dźwięczące pienie,
Całe me życie by roztajało,
Ogniem objęło mnie zachwycenie,
I upojony młodzieńczą krasą
Znieść bym nie zdołał rozkoszy,
Umarł miłością gorzejąc.

Ale choć starość wystygła, siwa
Odbija twego spojrzenia strzały,
Bladą, kościaną tarczą okrywa,
Chociaż do twoich stóp mi wzbraniały
Paść jej surowe nazbyt rozkazy,
Uszedłem — lecz twe spojrzenie
Skrzy we mnie jak promień w lodzie.

W mej wyobraźni płonie, widnieje
Ach, ta twoja uroda jak słońce!
Słyszę, moje wyrażasz nadzieje
I marzenie wstaje czarujące,
Całą duszę mi z nagła napełnia,
Kiedy śpiewasz pieśni moje. —
Będę, będę ja nieśmiertelny!

Przełożył **Seweryn Pollak**

Fale, kto was powstrzymać umie,
Kto zdoła zakuć bieg wasz rwący,
Kto w staw spokojny i drzemiący
Zamieni buntowniczy strumień?...
Czyjeż to berło poraziło
We mnie nadzieję, radość żywą
I młodość, duszę niecierpliwą
Drzemką lenistwa mi uśpiło?
Rwijcie się wiatry, wzburzcie wody,
Rozwalcie zgubne podwaliny —
Burzo, symbolu mej swobody,
Pędź nad wodami niewolnymi.

Przełożył **Seweryn Pollak**

KAUKAZ

U stóp moich Kaukaz. Samotny na szczycie,
Stanąłem nad śniegiem u skraju otchłani,
A orzeł, z dalekiej zerwawszy się grani,
Tuż przy mnie bez ruchu zawisnął w błękicie.
Stąd widzę, jak rodzą się bystre potoki,
Jak dążą pode mną pokorne obłoki.

Tu w oczach mych groźne ruszają lawiny,
Tu grzmiące kaskady rzucają się z bliska,
Pod nimi się piętrzą skał nagie urwiska,
Tam niżej mech skąpy i kosodrzewiny,
A dalej już gaje, zielone podcienie,
Gdzie ptaki szczebiocą, gdzie skaczą jelenie.
A ludzie się gnieżdżą po zboczach spadzistych,
I owce po zielnych urwiskach pełzają,
Doliny wesołe pasterza witają,
Gdzie pędzi Aragwa śród brzegów cienistych;

W wąwozie tam kryje się jeździec ubogi,
Tam Terek w okrutnej radości rwie progi
I wyje jak zwierzę, drapieżne i głodne,
Gdy strawę zza kraty żelaznej poczuje,
O brzegi w wściekłości uderza bezpłodnej
I falą łapczywą skał zręby zlizuje...
Lecz nie ma dosytu śród wiecznej oskomy:
Ścisnęły go nieme i groźne ogromy.

Przełożył **Seweryn Pollak**

DROGA ZIMOWA

Skroś kłębiące się tumany
Niestrudzony księżyc brodzi,
Smutne światło na polany
I na smutny śnieg rozwodzi.

Mroźną nudną drogą w sannie
Pędzi trójka rączych koni
I dzwoneczek nieustannie
Aż do udręczenia dzwoni.

Zawodzący głos jamszczyka
Jakąś bliską dźwięczy piosnką,
To hulanka gra w niej dzika,
To się serce żali troską.

Ani ognia, ani chaty...
Śnieg i głusza... na spotkanie
Raz na wiorstę słup pasiaty
W księżycowym świetle stanie.

Nudno, smutno... jutro, Ninko,
Gdy na dłużej się rozgoszczę,
Zapatrzony przy kominku
Nie napatrzę się najdroższej.

Kiedy strzałka na zegarze
Dźwięczny obieg swój zakończy
I natrętom drzwi pokaże,
Nas już północ nie rozłączy.

Smutno, Ninko: nudno w sannie,
Umilkł drzemiąc mój woźnica,
Dzwonek brzęczy nieustannie,
Tuman kryje twarz księżyca.

Przełożył **Adam Ważyk**

MICHAŁ LERMONTOW

BORODINO

„Dziadusiu! Prawda, że to drogo
Za zgliszcza Moskwy przyszło wrogom
Zapłacić? Że raz wraz
Bywała o nią bitwa wszczęta,
I jeszcze jaka, jak zawzięta?
Że Borodina dzień pamięta
Nie darmo każdy z nas?“

„Oj tak! I ludzie też przed laty
Nie tacy byli: same chwaty!
Któż sprostać by im mógł?
Żałosna ich spotkała dola:
Niewielu powróciło z pola...
Lecz gdyby to, nie Boża wola —
Nie wziąłby Moskwy wróg.

Cofaliśmy się wciąż, milczeli,
Złość brała: myśmy bić się chcieli.
Nuż wiara z cicha kląć:
„Zimować mamyż tu, na drodze?
Czyż tak stchórzyli nasi wodze,
Że już mundurów obcych, w trwodze
Bagnetem nie śmią tknąć?“

I zdarzył się szmat wielki pola:
Jest gdzie pohulać, jeśli wola!
Reduty rosną już.
Czuwają pilnie nasze czaty!
Zaledwie świt padł na armaty
I na wierzchołki drzew — psubraty,
Francuzi — tuż są, tuż.

Naszykowałem więc kartacze
I myślę: „Już ja was uraczę!
Niech tylko zagrzmi bój!
Wykręty na nic: wychodź, bracie!
Już my natrzemy ławą na cię,
Już polegniemy przy armacie
Za kraj ojczysty swój!

Dwa dni do siebieśmy pukali.
Cóż z tego? Więceśmy czekali,
Co da nam trzeci dzień.
I słychać było w krąg rozprawy:
„Kartaczy dać tu do zabawy!“
A już na pole bitwy krwawej
Padł mrocznej nocy cień.

Usnąłem, wsparłszy się o działo,
I słychać było przez noc całą
Francuzów śpiew i pląs.
A obóz nasz — był całkiem cichy:
Ów kaszkiet reperował lichy,
Ów ostrzył broń i gniewnie wzdychał,
I gryzł swój długi wąs.

Jak tylko widno się zrobiło,
Wnet wszystko wkoło znów ożyło.
Wojsk naszych stanął kwiat.
Pułkownik nasz — wysoko mierzył:
Wódz wierny cara, druh żołnierzy,
Zuch z zuchów: cięty szablą, leży
Już w ziemi, tyle lat.

I mówił, świecąc oczu skrami:
„Hej chłopcy — Moskwa jest za nami!
Umrzyjmyż u jej bram,
Jak nasi bracia umierali!"
I myśmy umrzeć obiecali,
I obietnicy dotrzymali
Pod Borodinem, tam.

Toż to był dzionek! Skroś dym szary
Ruszyły w bój Francuzów chmary,
A każdy tędy lazł.
Ułani z barw swych odznakami,
Dragoni w hełmach z buńczukami,
Przemknęli wszyscy tuż przed nami,
Nikt nie oszczędził nas.

Nie ujrzeć wam już bitwy takiej!...
Sztandary mknęły w krąg jak ptaki,
I dym, i płomień wiał,
Kartacze wyły, stal jęczała,
Dłoń szablą ciąć już sił nie miała
I kulom drogę zagradzała
Skrwawionych góra ciał.

Doświadczył wówczas wróg dokładnie,
Jak żołnierz nasz, gdy w zapał wpadnie,
Bagnetem walczyć zwykł!...
Jak nasza pierś, tak ziemia drżała,
Pęd skłębił końskie, ludzkie ciała
I grzmot tysięczne zlały działa
W przeciągły jeden ryk...

Zmierzch zapadł. Każdy był gotowy
Nazajutrz bój rozpocząć nowy
I tak do końca trwać...
Aż tu, na bębnów sygnał dany,
Precz sobie poszli bisurmany.
Więc zaczęliśmy liczyć rany,
Poległą liczyć brać.

Oj tak! I ludzie też przed laty
Potężni byli: same chwaty!
Któż by im sprostać mógł?
Żałosna ich spotkała dola:
Niewielu powróciło z pola...
Lecz gdyby to, nie Boża wola —
Nie wziąłby Moskwy wróg.

Przełożył **Leonard Podhorski-Okołów**

ŻAGIEL

Bieleje żagiel pośród morza
Samotny, wokół sina mgła. —
Za czym ugania się w przestworzach?
Co rzucił, co go z kraju gna?

Wiatr świszcze, wokół tańczą fale,
Maszt skrzypi, gnie go wichr i sztorm;
Ach — on nie szuka szczęścia wcale
I nie opuszcza szczęścia stron!

Pod nim jest lazur jasny, nad nim
Promieni słońca złoty pył: —
A on, w swym buncie burzy pragnie,
Jak gdyby w burzy spokój był!

Przełożył **Jerzy Zagórski**

MIKOŁAJ NIEKRASOW

PIEŚŃ

U innych ludzi w domu — schludnie, świeżo, jasno,
A u nas, biednych, w domu — duszno, brudno, ciasno.

U innych w kapuśniaku — słoniny na paluch,
A u nas w kapuśniaku — karaluch, karaluch.

U innych kumy dzieciom podarunki dają,
A nas, biedaków, kumy z chleba objadają.

O czym to inni myślą — pogwarzyć z sąsiady,
A o czym nasi myślą — czy nie pójść na dziady?

Gdyby tak świat zadziwić, gdyby pożyć szumnie:
Żeby tak dutki w mieszku i zboże na gumnie!

Żeby tak uprząż w dzwonkach i wóz malowany,
Żeby na plecach sukno, a nie łach parciany!

Żeby nie gorzej innych mieć ludzki szacunek,
U dziatek — człek uczony, u nas — pop i trunek.

Ażeby dziatki w domu — niczym pszczoły w miodzie,
A gospodyni w domu — malinka w ogrodzie!

Przełożył **Leopold Lewin**

* *
*

Las się dopalił. Cisza naokoło.
Śnieg już przysypał poczerniałe szczątki.
Lecz dziedzicowi wcale nie wesoło,
Że w ogniu topnieć zaczęły majątki.

I chłop zmarkotniał. — Skądże wezmę opał? —
Zapytał cicho, i twarz mu się chmurzy.
„Na co ci opał — będziesz wodę żłopał"
Gruchnął mu w odpowiedzi łoskot burzy...

Przełożył **Leopold Lewin**

* *
*

Wczoraj o szóstej — szedłem sam —
Na Siennej tuż za rogiem
Stał tłum: kobietę młodą tam,
Chłopkę bito batogiem.

I żaden krzyk, ni jęk, ni płacz,
Tylko świst knuta ostry.
I Muzie powiedziałem: „Patrz
Na kaźń rodzonej siostry!"

Przełożył **Leopold Lewin**

WŚRÓD KSIĄŻEK

TADEUSZ RÓŻEWICZ: *Pięć poematów*. Czytelnik, 1950, str. 68.

Omówienie ostatniej książki Tadeusza Różewicza jest z konieczności spóźnione, gdyż nie może jeszcze zanotować wyraźniejszego dojścia ideologicznego, jakie wydaje się zarysowywać w kilku wierszach Różewicza zamieszczonych ostatnio w pismach literackich. Wobec tych wierszy, które za wcześnie jeszcze byłoby oceniać, tom „Pięć poematów" wydaje się tym bardziej tylko przejściowym etapem w dorobku poetyckim Różewicza.

Nasuwa się jednak pytanie, czy jest to wyraźny etap rozwojowy, wyraźny krok naprzód, czy raczej ciążenie ku pozycjom wyjściowym? Dwaj krytycy, którzy tomem tym się zajmowali, wyrazili w tej sprawie odmienne opinie. Recenzent „Nowej Kultury" skłonny był widzieć w ostatniej książce Różewicza, obok poszukiwania nowych tematów, echa nieprzezwyciężonych postaw wyjściowych, recenzent zaś „Wsi" kategorycznie odciął się od tego stanowiska stwierdzając w „Pięciu poematach" wyraźny zwrot ideowy ku pozycjom poezji politycznej i politycznie słusznej.

Twierdzenie to wydaje się istotnie nieco przesadne. „Pięć poematów" jest właściwie szeregiem cyklów wierszowych nie zawsze nawet skupionych wyraźnie wokół jednej sprawy.

Krytycy analizując poprzednie książki Różewicza („Niepokój", „Czerwona rękawiczka") wychodzili zawsze od stwierdzenia punktu wyjściowego i tradycji tej poezji. Różewicz nawiązał do awangardy międzywojennego „nurtu rozbicia", drobnomieszczańskiego zagubienia w świecie realnym. Nie uniknął najbardziej schyłkowych następstw tej postawy — katastrofizmu. Powojenna treść tej poezji — była to realna, istotnie przeżyta groza wojny rozpętanej przez faszyzm w Europie, zagłada milionów ludzi. Ta treść przeżytej głęboko przez całe pokolenie Różewicza historii — wyzierała z pokurczonej boleśnie i krzywiącej się w umyślnych grymasach młodzieńczej poezji Różewicza z tomów „Niepokój" i „Czerwona rękawiczka". Jest w nich poczucie słabości, jest w nich ostra auto-ironia, jest jednocześnie niekiedy bolesna dezaprobata tego świata, który wyrasta po wojnie na krwi milionów. Wojna zmienia się dla Różewicza w koszmarną obsesję, która zniża jego głos do szeptu, knebluje pamięć, nie pozwala ujrzeć wojny wyraźnie w proporcjach polityczno-ideowych. Trudno zapomnieć pewnych nut prawdziwie humanitarnych z tego okresu Różewicza, jednakże jako wyraz całości występuje mieszczańska groteska, brutalizmy pour épater, ale już nie burżujów, pour épater budujących nową rzeczywistość — sił pokoju.

Istotnie, od tego czasu postąpił Różewicz naprzód. Poeta tego typu co Różewicz, wychowany na poezji aluzyjnej, nienawykłej do bezpośredniej wypowiedzi, pokonuje wielki opór wewnętrzny, aby nazywać rzeczy po imieniu.

W kilku wierszach ostatniego tomu Różewicz dochodzi do uświadomienia sobie swojej niemocy i bezradności i daje temu wyraz w formie bezwzględnie szczerej i z tego powodu zasługującej na szacunek.

„Robotnicy którzy idą na nocną zmianę
robotnicy którzy idą..."

Rytm rwie się i powraca jak zepsuta igła gramofonu. Poeta nie mówi pełnym głosem, zresztą treść tego, co wyraża, nadaje się raczej do szeptu spowiedzi, wyznania, które łamie się we wzruszeniu:

„myślałem że można tak
myślałem że można
myślałem że mogę się zamknąć

miałem przecież klucz i drzwi
miałem przecież..."

Wiersz jest zatytułowany „Widzenie i trwoga spryciarza". W istocie jednak poeta pisał nie o spryciarzu, a o pewnej typowej postawie inteligenta patrzącego na życie przemian ze swojej „wieży z kości słoniowej". Pisał w wymiarach karykaturalnych, z intencją satyryczną. Niemniej wolno krytykowi sądzić, że wyraziła się tu właściwa Różewiczowi auto-ironia połączona z intencją epatowania czytelnika własną szczerością.

Jako echo przeżyć wojennych pisze Różewicz kilka wierszy w „Muzeum Oświęcimia" oraz jeden z najlepszych wierszy tomu: „Balladę o karabinie". Tu dążenie Różewicza do prostoty uzyskuje właściwy wyraz w formie jak gdyby ludowej pieśni, w której dialog wprowadza element dramatyczności („Synku, synku..." „Matko, matko...") W wierszu tym Różewicz potrafił uogólnić zagadnienie wojny i określić dość ściśle, choć w kategoriach moralno-psychologicznych, jej sprawców. Dobre i wzruszające są również wiersze oświęcimskie mówiące o zagładzie dzieci; gdy tymczasem w wierszu „Nowe słońce" i „Karnawał 1949 Maskarada" znów dochodzi do głosu — chyba nie przypadkowo u Różewicza — motyw zagubienia w nowym świecie, w rzeczywistości powstającej. Ten ostatni zresztą wiersz brzmi fałszywie nutą skamandrycko-młodopolską. Nic nie znaczą, jak mi się wydaje, takie sformułowania jak:

„Serce boli tak jak życie
i półzwierzęciem jest półbogiem..."

W tych wierszach Różewicza, które moim zdaniem stanowią zasadniczy element pierwszego cyklu „Pięciu poematów" tzn. w wierszach wyrażających postawę uświadamiającego sobie swoje zagubienie społeczne inteligenta, występuje charakterystyczne przeciwstawienie: poeta, czy ów mityczny inteligent nazwany przez poetę umyślnie „spryciarzem" — i ludzie prości, robotnicy, „dziewczęta z domów towarowych, uczennice kursów, pracownice domowe i inne"... I inne... Ogólnikowość określenia onych „ludzi", „tłumu", „szarej masy, która świeci pod ulewą potu" podkreśla samotnicze odosobnienia poety, który stwierdza, że

„każdy z nas chce dotknąć
pomocnej ręki drugiego człowieka
i płacze w nocy."

Jest tu coś więcej jeszcze poza poczuciem samotności. To równie niewspółczesne dziś w postawie pisarza, dekadenckie poczucie „tragiczności bytu". W próbach nowej tematyki Różewicz musiał — rzecz prosta — porzucić oba stanowiska: poczucie samotności i poczucie tragiczności istnienia. Próby te jednak nie doprowadziły do całkowitego odrzucenia tych postaw. Pierwszy cykl wierszy w tomie kończy autor kpiącą „Elegią prowincjonalną", w której wraca wszystko to, co obciążało poprzednie tomiki: groteska, drobnomieszczańskie epatowanie brutalnością, niesamowitością, żarty i dowcipy metaforyki. „Elegia" ta może się wydać słusznie wahadłowym cofnięciem wstecz. „Gwiazda proletariatu" — drugi z „poe-

matów" — według określenia tytułu jest poświęcony pamięci bohaterskiego generała Waltera. Wybór epickiego i ideologicznie jednoznacznego tematu stanowi poważny przełom w twórczości Różewicza. A'e środki poetyckie Różewicza wyraźnie łamią się wobec epickiego zamierzenia. Dlatego właśnie dorabia sobie poeta szczudła odniesień historyczno-literackich, przywołuje na pomoc kolejno to Homera, to Morsztyna („Cyda"), to Słowackiego — wszystko, co wydało mu się wzorem epiki heroicznej. To, co dodaje od siebie sam Różewicz, jest w swojej prostocie tym razem nieporadne i słabe. Prostota „Ballady o karabinie" była w swej ludowej nucie artystycznie dojrzała. Prostota sprozaizowanego języka takiego wiersza jak „Wola" (o sowchozie winnym) zakrawa już na pewne wyrafinowanie artystowskie. Tutaj zaś, w przetykanym patetycznymi cytatami poemacie o bohaterze — ta sama „prostota" czyni wrażenie nieporadności, nieudolności jego języka poetyckiego wobec tamtych ujęć historycznych. Wystarczy przeczytać zwrotkę II poematu „Gwiazda proletariatu" — zwrotkę następującą po cytacie z Iliady:

„Pierś mu piękna, kunsztowna tarcz
z przodu zasłoni,
Hełm lśniący, czwórgrzebienny chwieje
się na skroni..."
itd.

A dalej Różewicz w zwrotce II:

„Na drodze stoi człowiek w skórzanej
kurcie
Bez odznak spod daszka czapki patrzą
niebieskie oczy to generał Walter."

Pierwszy poemat epicki Różewicza wydaje się czytelnikowi bardzo kaleki, pisany na wątłym, lirycznym, a nie epickim — oddechu.

„Scylla i Charybda" jest znów cofnięciem się ideowym i artystycznym. Trudno się oprzeć wrażeniu, że poeta układał swą książkę z wyraźnie przekornymi intencjami. Znów jest to poezja groteski, rejestrowania rzeczywistości, ograniczenia formy poetyckiej wyłącznie do intonacji, która ma różnić ją od prozy.

W „Głosach" wyraża się powracający pesymizm, poczucie tragiczności istnienia i dezaprobata życia.

„Dzień
teraz trudniej nam przeżyć
niż naszym rodzicom
przerażenie i rozdarcie
chłeptanie życia gorączkowe.

Strąceni niedojrzali
z otwartymi ustami
ociekamy krwią
I nie było pory rozkwitania."

Poemat „Głosy" jest dalszym jeszcze tragicznym echem przeżyć wojennych:

„Ja wiem nie trzeba tak
ja wiem ja wiem
ale
kiedy przyjaciel wyciągnie rękę
zasłaniam głowę jak przed ciosem
zasłaniam się przed ludzkim gestem
zasłaniam się przed odruchem czułości."

Kończy tom poemat o pokoju „Gołębie ptaki łagodne". Poeta odczuwający tak głęboko okrucieństwo wojny, umie mówić sugestywnie o pokoju. Niestety i tu wkradły się reminiscencje literackie zmniejszające czytelność poematu, również operowanie symbolem plakatowym — gołębiem wydaje się najprostszym środkiem wyrażenia tego, czym jest dla nas dzisiaj walka o pokój.

Różewicz uczynił w ostatniej swojej książce wielki wysiłek przełamania

kompleksów i obciążeń wojennych, choć nie zawsze mu się to udało. Na drodze do nowej tematyki politycznej napotkał Różewicz na nowe trudności. Uświadomienie sobie tych trudności było pierwszym krokiem. Drugim krokiem jest już szukanie ujęć pozytywnych, jest wiersz „Wola", wiersz o radzieckim sowchozie, poemat o Świerczewskim, wiersze o pokoju, w których wojna została ujęta już nie tylko w kategoriach moralistycznych, ale także politycznych. Wspomniane wiersze Różewicza pisane po ukazaniu się „Pięciu poematów" świadczą — jak się wydaje — o przejściu poety od poszukiwań do osiągnięć, od aprobaty nowej rzeczywistości — do prób jej poetyckiego ujęcia.

Anna Kamieńska

BOGDAN HAMERA: *Na przykład Plewa*. Książka i Wiedza, 1950; str. 270.

Interesująca, żywo napisana powieść Bogdana Hamery pt. „Na przykład Plewa" zasługuje na wiele pochwał. Autor sięgnął do spraw współczesnego życia w jego najbardziej ważkich objawach. Akcja powieści dzieje się w fabryce, a przecież nie jest beletryzacją technicznego procesu produkcji. Jest udramatyzowana w sposób przekonywający. Ukazani ludzie żyją i rozwijają się, upadają i zwyciężają. Są przy tym ludźmi pełnymi; są bogaci złymi i dobrymi skłonnościami, nawykami, uprzedzeniami. Autor sięgnął do współczesnej problematyki politycznej i społecznej: awans społeczny, budzenie się świadomości klasowej, dorastanie ludzi do przeobrażającej ich życie ideologii — spraw tych Bogdan Hamera dotyka odważnie, nie lękając się drastycznych konfliktów.

W książce swojej Hamera przedstawił bogatą i zawiłą problematykę polityczną i społeczną pierwszych miesięcy po wyzwoleniu. Rada Zakładowa po wypędzeniu Niemców przez oddziały Armii Radzieckiej przystępuje w marcu 1945 roku do organizowania ocalałego częściowo zakładu pracy. Braki aprowizacyjne, ciężkie warunki pierwszych dni wolności — to normalne trudności tych czasów. Są także inne: podziemie faszystowskie usiłuje wyzyskać ciężkie położenie materialne robotników. Powstają zalążki buntów i strajków. Sięgają także zbrodnicze wpływy Mikołajczyka. Podziemie przechodzi do akcji terrorystycznej, do sabotażów, morderstw. Trwa walka o życie, o fabrykę, o ludzi, o ludzkie sumienia. W tej osadzie fabrycznej trwa na śmierć i życie toczona walka o przyszłość kraju. Walka zwycięska, lecz niemniej dramatyczna. Chwilę uruchomienia pierwszego pieca fabrycznego przeżywamy w bandyckiej spelunce, gdzie faszyści torturują sekretarza partyjnej komórki. To jest ostatni akcent książki.

Centralną sprawą, wokół której Hamera skupił konflikty swojej powieści, jest awans społeczny. Na przykładzie tytułowej postaci Hamera stara się pokazać złożoność tej sprawy, jej ścisłe związanie z całą problematyką społeczno-polityczną epoki socjalizmu, jej zależność od przebudowy ustroju i walki politycznej o pełną tej przebudowy realizację.

Hamera ukazał awans społeczny w jego właściwym socjalistycznym kształcie. Awans społeczny to nie jest tylko kariera życiowa tego czy innego robotnika. W świecie kapitalistycznym zdarza się także, że ten lub ów dzięki szczęśliwym przypadkom może zrobić tzw. karierę i awansować na wyższe stanowisko w hierarchii społecznej. Amerykańscy milionerzy lubią zaczynać swoje fortuny od drobnych zarobków ze sprzedaży gazet i czyszczenia butów. Hamera nie szukając banalnych prze-

ciwstawień dla uwypuklenia swojej sprawy dał ostry i wyraźny obraz awansu społecznego jako jednej z najbardziej zasadniczych spraw epoki socjalizmu i tylko w kraju socjalistycznym możliwej do spełnienia. Plewa ma być przykładem setek tysięcy podobnych jemu robotników, których awans nie od szczęśliwego przypadku zależy ale od precyzyjnie ułożonych warunków społeczno-politycznych.

Na przykładzie Plewy został ukazany konkretny ludzki plan tych możliwości i tej przodującej roli, którą klasa robotnicza w państwie ludowym posiada.

Hamera sprawę awansu społecznego, z której uczynił centralne zagadnienie swojej powieści, umieścił na tym historycznym etapie, kiedy nowe dopiero się rodziło. Tłem sprawy Plewy jest więc ostra walka polityczna z reakcją, z faszystowskim podziemiem i z amerykańskimi agenturami. Skomplikowane tło polityczno-społeczne pozwalało Hamerze wydobyć z postaci Plewy i ze sprawy, którą on w powieści reprezentuje, maksimum napięć i konfliktów. Nie wszystkie z tych konfliktów Hamera potrafił należycie rozwinąć i uwypuklić. Ogrom materiału przerastał doświadczenie młodego pisarza („Na przykład Plewa" jest pierwszą jego książką). Hamera skupił cały swój wysiłek pisarski na sprawie awansu Plewy i tę sprawę na ogół w sposób przekonywający przeprowadził. Czytając książkę Hamery pamiętać trzeba, że Plewa awansuje i rośnie ideowo w roku 1945, w okresie kiedy nie miał przed sobą gotowych przykładów spełnionych już awansów, które by mu pomogły w trudnościach i ułatwiły rozwój. Dlatego jego błędy i nieporadności nie obarczają pisarza, lecz świadczą właśnie za niro. Są dowodem tego, że Hamera potrafił wczuć się i odtworzyć trudne, rodzące się dopiero, i do tego rodzące się w walce, warunki.

Akcja powieściowa zastaje Plewę na stanowisku stróża fabrycznego. Plewa jest w sposób psychologicznie prymitywny, niemal biologicznie związany z fabryką. W ostatnich dniach okupacji i w godzinach wyzwalania miasta przez oddziały Armii Radzieckiej drży o jej życie. Instynktownie. Nie zastanawia się dlaczego, nie stara się uświadomić sobie sensu swojego przywiązania. Po prostu Plewa nie wyobraża sobie życia bez fabryki, poza fabryką. Ostatnią noc okupacji, wbrew rozsądkowi, pod obstrzałem, spędza w budce stróżowskiej. To instynktowne, ślepe przywiązanie Plewy do fabryki jako takiej Hamera słusznie i przekonywająco zwęża do strony sentymentalnej. Plewa w stosunku do fabryki zaangażowany jest uczuciowo, lecz nieobowiązująco. Przywiązany jest do fabryki, a jednocześnie gotów do działania na jej szkodę. Ot, bierze udział w kradzieży i ukryciu motorów. Niby przed Niemcami, aby nie wywieźli, ale po wyjściu Niemców długo jeszcze planuje sprzedaż na lewo. Sprawa tych motorów staje się zasadniczym, zwrotnym konfliktem Plewy. Plewa rozstrzyga go na korzyść fabryki. A jednocześnie rozstrzygnięcie takie uważa za swoje zwycięstwo. Dlaczego? Przeobraził się jego stosunek do fabryki. Z sentymentalnego i nieobowiązującego zmienił się on w zaangażowanie pełne i świadome. W Plewie obudziła się świadomość klasowa. Fabryka, która dotąd była tylko miejscem pracy, stała się źródłem jego życia, uczuć i namiętności najlepszych. Plewa zrozumiał, że w nowym ustroju on jest współwłaścicielem odpowiedzialnym za fabrykę, za jej odbudowę, za produkcję, za przyszłość. Zanim zawansował na stanowisko majstra, awansował już jako człowiek. Plewa na swo-

im odcinku poczuł się członkiem klasy przodującej i odpowiedzialnej za losy narodu. Ten awans Plewy w świadomości klasowej umożliwił mu dalsze etapy rozwojowe. Rada Zakładowa powierza mu stanowisko majstra. Odbywa się trudna i niepozbawiona załamań ewolucja Plewy. Hamera umiał pokazać, że awans Plewy jest nierozdzielny ze wzrostem jego klasowego uświadomienia. Powodem wszystkich błędów, które popełnia na nowym stanowisku majstra, jest brak społecznego wyrobienia. Błądzi wówczas, gdy się powoduje samą tylko ambicją. Zwycięża i potrafi wznieść się ponad siebie, wówczas gdy stanie na właściwej klasowej pozycji.

Wzrost ideowy i towarzyszący mu, a właściwie wynikający z niego, awans społeczny Plewy odbywa się w ogniu walki politycznej. Faszystowskie podziemie usiłuje przeszkodzić w odbudowie fabryki. Swoimi wpływami sięga ono nawet do robotników. Fabryce grożą strajki. Pojawiają się sabotaże.

Otóż Hamera skupiwszy całą uwagę na sprawie Plewy nie wyzyskał wszystkich narzucających mu się możliwości do pogłębienia swojej powieści. Hamera dostrzegł skomplikowanie polityczne okresu, o którym pisze. O wielu sprawach aktualnych dla 1945 roku autor powieści „Na przykład Plewa" wzmiankował, wiele naszkicował, lecz wiele również pozostało na marginesie i we fragmentaryczności. A przecież pogłębienie i rozbudowanie tego, co zostało sprowadzone do wspólnego mianownika i potraktowane jako tło, przyczyniłoby się do jeszcze większego uwypuklenia centralnej sprawy powieści.

Hamera nie wyzyskał w sposób należyty tych konfliktów, które w rzeczywistości polskiej w ciągu pierwszych miesięcy po wyzwoleniu były równie typowe jak sprawa Plewy. Bo przecież nie tylko Plewa rósł ideologicznie. Wraz z nim, obok niego, odbywał się masowy wzrost klasowego uświadomienia. Jeśli terrorystom faszystowskim nie udało się wprowadzić zamętu i uniemożliwić odbudowy fabryki, to dlatego przede wszystkim, że nie jednostki, ale cała rzesza robotników zrozumiała cel tej politycznej walki. Robotnicy, którymi Plewa w kuźni fabrycznej kierował, wzrastali w świadomości, osiągali poczucie solidarności klasowych, stawali się czujni na zamysły wroga.

Plewie Hamera przeciwstawił robotnika Niedzielę, który miał takie jak Plewa kwalifikacje zawodowe na stanowisko majstra. Nie miał jednak takich samych kwalifikacji ideowych. Niedziela musiał przebyć dłuższą i trudniejszą drogę, nim doszedł do tego uświadomienia klasowego, które zdobyli inni przed nim. Niedziela był zagubiony, nie wierzył w socjalistyczną przyszłość kraju, ulegał wpływom faszystowskiego podziemia, był nieświadomym agentem Mikołajczyka. Uczucie zawiści zawodowej w stosunku do Plewy utrudniało mu jeszcze bardziej wyjście z zaułka, w jakim się znalazł. Niedziela jednak wzrósł także. Wychował go przykład solidarności robotniczej, przykład kolegów. Trzeba stwierdzić, że w tym wypadku Plewa nie był kształcącym przykładem.

Hamera nie rozbudował i nie pogłębił wychowawczej i przewodniej roli partii. Nie uwzględnił w sposób należycie pełny dramatyczności walki politycznej. Dopiero w ostatnim rozdziale książki rzeczywistość roku 1945 występuje w sposób wyraźny i przekonywający. Chwilę uruchomienia pierwszego wielkiego pieca fabryki przeżywamy w spelunce faszystowskich zbirów, znęcających się nad sekretarzem komórki partyjnej. Ten ostatni akcent książki, akcent bohaterstwa i poświęcenia przy-

wraca powieści Hamery jej niekiedy zagubioną i zagadaną wymowę.

Z braków i niedociągnięć swojej powieści Hamera, a także inni pisarze, którzy wkroczyli na drogę realizmu socjalistycznego, mają okazję wiele się nauczyć. Następna książka autora „Na przykład Plewa" będzie z pewnością wyraźniejsza w konstrukcji i pełniejsza w realizacji. Hamera ma wiele danych na rzetelnego pisarza. Ma przede wszystkim wrażliwość polityczną. Ona mu właśnie pomoże zbliżyć się jeszcze bardziej do tej metody twórczości, jaką jest realizm socjalistyczny.

Antoni Wroński

TADEUSZ KONWICKI: *Przy budowie.* Czytelnik, 1950, str. 84.

1 stycznia 1950 roku rozpoczęto realizację Planu 6-letniego. Olbrzymie masy ludzi związanych z tym wielkim przedsięwzięciem będą w procesie wykonywania zadań produkcyjnych pogłębiać swoją świadomość i wykonywać coraz odpowiedzialniejsze zadania.

Plan 6-letni to w „przetłumaczeniu na język" poszczególnych ludzi perspektywa dobrobytu, rozwoju kulturalnego i awansu społecznego tych, którzy w ustroju kapitalistycznej krzywdy klasowej nie mieli innych perspektyw niż wegetację fornali, bezrobotnych czy też nędznie opłacanych robotników. Wykonanie Planu zależy od ludzi, zależy od stopnia świadomości wykonawców Planu na wszystkich szczeblach. Dotychczasowe sukcesy produkcyjne, masowe współzawodnictwo pracy, ruch racjonalizatorski — to zjawiska zupełnie nowe, związane z nowymi stosunkami społecznymi, opierające się mocno na fundamencie świadomości politycznej klasy robotniczej.

Ale świadomość polityczna nie wyskakuje jak Minerwa z głowy Jowisza i musi być pieczołowicie kształtowana przez mózg klasy robotniczej — Partię.

Tylko tam, gdzie Partia prowadzi należycie pracę polityczną, gdzie kieruje żołnierzami Planu 6-letniego, tam front nie jest słaby i nie grozi w każdej chwili przerwaniem przez wroga klasowego. O tym mówi nam książka Tadeusza Konwickiego „Przy budowie". Mówi nam ona o bardzo ważnym odcinku budowy linii kolejowej.

Budowniczowie linii — to robotnicy sezonowi, najczęściej chłopi, ludzie o niskiej świadomości klasowej, zbieranina nie zrośnięta ze sobą ani wspólnymi celami, ani koleżeństwem.

Nowatorska zasługa Tadeusza Konwickiego polega na tym, że w swoim opowiadaniu sięgnął do tematu typowego dla zagadnień Planu 6-letniego, że z talentem, w plastyczny i przekonywający sposób pokazał gromadę ludzi kształtujących swą świadomość w procesie pracy, w procesie wykonywania zadań produkcyjnych. Powstanie robotniczego kolektywu pod kierownictwem partii — oto treść opowiadania niesłusznie ujmowanego jako reportaż literacki.

Autor opisując niezwykle ciężką sytuację na budowie w początkowych jej stadiach, zwraca uwagę na niedostateczną pracę podstawowej organizacji partyjnej.

Jeden z krytyków wyraża zdziwienie, iż znając entuzjazm klasy robotniczej spotyka się z tak ciemnymi obrazami w pierwszej części opowiadania Konwickiego. Nic bardziej fałszywego. Obraz jest zgodny z prawdą życiową, jest typowy. Książka Konwickiego stanowi niejako instrukcyjną pomoc dla innych, budujących się wielkich obiektów drogowych, kolejowych i przemysłowych. Dlaczego? Dlatego, że w Planie 6-letnim przewiduje się wiele prac wymagają-

cych zatrudnienia pracowników mniej wykwalifikowanych, mniej uświadomionych politycznie. Aby stworzyć z nich kolektyw świadomych budowniczych, trzeba kierowniczej roli partii, trzeba szkolenia ideologicznego. Współzawodnictwo pracy, entuzjazm szlachetnego wysiłku — rodzi się w procesie ciężkiej walki klasowej, w procesie zwalczania przeżytków burżuazyjnej świadomości. W tej walce bierze udział wróg, który staje się czynnym „wspólnikiem" często starej, przeżytej świadomości budowniczych Planu 6-letniego. Walka, najczęściej zwycięska, prowadzona jest na dwóch frontach. Tak jest pokazana przez Konwickiego. Jeden wróg to złodzieje, chuligani i fałszywy inżynier— obiektywnie sabotażysta. Drugi wróg to stara świadomość, którą przezwycięża młody racjonalizator pracy Leon, i stary, najlepiej narysowany przez Konwickiego, dziadek Łaptać.

Nasze życie nie jest proste, a wielkie osiągnięcia powstają w walce. O tym powinni pamiętać niektórzy krytycy.

Konwicki, rzecz jasna, nie poprzestaje na scharakteryzowaniu sytuacji na budowie. Widzimy postać Pawła Czajkowskiego, który przybył specjalnie na polecenie organizacji partyjnej i widzimy, jak partia z gruntu zmienia sytuację na budowie.

Wrogowie klasowi zostają zdemaskowani, a dziadek Łaptać mówi do nas z ostatniej strony książki o swoim ciężkim życiu, w którym nie było radości. Pierwszą radością stała się dumna nazwa przodownika i honorowe miejsce w prezydium konferencji.

Język opowiadania Konwickiego jest prosty, konstrukcja zwarta, postaci plastyczne, akcja żywa.

Książka Konwickiego ma jednak swoje błędy. Wydaje się, iż nie należy zaliczać do błędów (jak to czynią niektórzy krytycy) konfliktu między Pawłem a jego żoną. Jest to konflikt kończący się raczej — tak jak cała książka — optymistycznie i należy do zjawisk dość częstych, z którymi spotkać się można w terenie. Nowy stosunek do pracy powodujący ścisłe związanie się z miejscem produkcji, zajmujące dużo czasu (zebrania, zebrania, zebrania), staje się często przyczyną rozdźwięków między małżonkami. Konwicki słusznie je przedstawił, wykpił jako przejaw drobnomieszczaństwa, wskazując na wielkie perspektywy pracy Pawła, wskazując, że jego praca przy budowie winna się stać również źródłem szczęścia Janki.

Do wad należy po pierwsze szkicowość opowiadania. Po złożeniu książki pozostaje uczucie jakiegoś niedosytu. A co dalej? — to pytanie ciśnie się nam na usta. Drugą wadą jest może nie dość psychologicznie pogłębiony rysunek postaci. Trzecią wadę należy uznać za największą. Nie widać wśród szerokiej masy ani jednego dołowego aktywisty partyjnego walczącego o poprawę sytuacji na budowie. Jest to niewątpliwie niesłuszne, nietypowe i w tym miejscu Konwicki zaciemnił obraz.

Towarzysz Stalin uczy, że inicjatywa idzie z „dołu" do góry, do kierownictwa i z góry „do dołu", do mas. U Konwickiego nie widać dostatecznie inicjatywy mas.

Książka Konwickiego świadczy o jego poważnych możliwościach i zobowiązuje autora do większej staranności, do większego wysiłku przy pisaniu następnej. Czekamy na nią.

Grzegorz Lasota

JULIAN GAŁAJ: *W rodzinie Lebiodów*. Książka i Wiedza, 1950, str. 228.

Pisarstwem Gałaja kieruje społeczna potrzeba szybkiego i szerokiego popularyzowania zagadnień, ważnych dla na-

szej rzeczywistości. Zagadnienia te, zbeletryzowane, pokazane poprzez konkretne postaci i sytuacje powieściowe, mogą nabrać wyrazistości, mogą stać się bardziej bliskie, mogą łatwiej przeniknąć do świadomości szerokiego ogółu czytelników, zdobywając w nich rzeczników sprawy. Jaki rodzaj konstrukcji jest dla tego rodzaju powieści właściwy? Dobór faktów musi się w niej układać w przekonywający tok dowodowy, z którego dla masowego czytelnika płynęłaby nieodparta nauka, jak rozumieć określone problemy społeczne i jak je praktycznie realizować. Taką konstrukcję dostrzegamy właśnie w powieści Juliana Gałaja. Przyjrzyjmy się książce bliżej. Ogólnie moglibyśmy powiedzieć, że daje ona nam obraz wsi ze ścisłą lokatą w czasie, mianowicie w roku 1948. Ściślej mówiąc będzie to obraz tych problemów, jakie rok ten postawił przed naszą wsią, albo jeszcze inaczej — będzie to plastyczna lekcja pokazująca czytelnikowi wiejskiemu te wszystkie racje, które pozwalają mu zrozumieć konieczność zerwania z drobnotowarową gospodarką indywidualną, które każą mu szukać dróg wyjścia nieuchronnie prowadzących w dalszej perspektywie do socjalistycznej gospodarki.

Rodzinę chłopską oglądamy tu jako jedno z ogniw, przez które przebiega front walki nowego ze starym. Właśnie ta walka z jej wszystkimi aspektami jest czynnikiem wychowawczym powieści. Autor będzie rozpatrywał wieś Reczyce jako przykład, by ukazać proces jej przemian, by zademonstrować jakby drogę, na którą powinny wstąpić tysiące wsi podobne Reczycom, by wreszcie pokazać, w jaki sposób dojrzewa świadomość klasowa podstawowych mas chłopskich w ich wysiłku o wyrwanie się z zacofania gospodarczego i kulturalnego.

Kilku aktywistom reczyckim w ich woli do podciągnięcia własnej wsi przychodzi z pomocą idea, którą rzuciła klasa robotnicza — współzawodnictwo pracy. Trzej „postępowcy" wiejscy, jak ich nazywają reczycaki, mianowicie Stacho Lebioda, syn średniorolnego chłopa, Józef Krówka — średniak, i nadzielony z reformy rolnej były fornal Walek Niedręga zaczynają się zastanawiać, jak wprowadzić współzawodnictwo pracy jak zrobić z niego dźwignię postępu Reczyc. Sprawę tę na zebraniu zarządu Koła Samopomocy Chłopskiej stawia Krówka: — „Współzawodnictwo? — mruczał trąc ręką czoło. — Wyskoczył wtedy Stacho z tą „Chłopską Drogą", za nim ty, Walek — zwrócił się do Niedręgi — a potem ja. Jednak powiem wam szczerze, że kiedy potem położyłem się spać, tom całą noc się przewracał. Ja chciałbym wszystko pojąć dokumentnie. Gdy ujmę kosę w rękę, to ją czuję, jaka ona jest. A tego współzawodnictwa nie czuję. Ciężki orzech do zgryzienia. Bo co? Aby wygrać współzawodnictwo w polu, trzeba pomyśleć o nawozach, o maszynach, o siewie, o ogrodach... Ale mnie się zdaje, że współzawodnictwo nie może obejmować tylko pól czy rowów i dróg. A Dom Ludowy, a elektryczność, a spółdzielnia?... O co chodzi? Chodzi o to, żeby Reczyce stały się wsią, gdzie jest kultura i dobrobyt..."

Przytoczyliśmy ten dłuższy cytat, żeby wskazać na metodę pisarską Gałaja. Autor pokazuje swoich bohaterów w mozolnym procesie dopracowywania się świadomości klasowej. Znaczną część powieści zajmują zebrania, na których roztrząsa się sposoby podjęcia wspólnej pracy nad siewami, sianokosami czy żniwami. W roztrząsaniach

tych autor stara się odsłonić wrogów postępowej roboty chłopów reczyckich. Ujawniając potoczną argumentację wroga klasowego, argumentację obaloną ustami Krówki czy Niedręgi, Gałaj uczy aktywistów wiejskich prawidłowego myślenia politycznego. Z tej metody pisarskiej Gałaja wynika właśnie duża użytkowość książki.

Powieść Gałaja zawiera w sobie duży ładunek dydaktyczny. Autor tak ustawia swoje sytuacje powieściowe, by czytelnik wiejski mógł się z nich nauczyć, jakie zadania stoją przed wsią na określonym etapie i jak te zadania można rozwiązywać. Jest to powieść mobilizująca szerokie masy drobnoi średniorolnych chłopów do przechodzenia na gospodarkę zespołową. Ukazuje ona wartość i wyniki społecznej, gromadzkiej pracy, uczy jak tę pracę należy organizować. Co najważniejsze, w sposób przekonywający pokazuje, że praca ta musi przebiegać w ostrej walce klasowej.

Autor operuje zupełnie prostymi środkami, postaci książki pokazywane są zawsze w konkretnych sytuacjach. Stacho Lebioda, Krówka czy Niedręga w swoim sposobie myślenia i odczuwania nie popadają w papierowość. Są oni bliscy wiejskiemu czytelnikowi i przekonywający, ich świadomość polityczna narasta i wynika z doświadczeń społecznej pracy, jakiej we własnej wsi się podjęli.

Maciej Koliba

T E A T R

„DOBRY CZŁOWIEK" GRUSZCZYŃSKIEGO

Wzbierająca fala zainteresowań pisarzy polskich twórczością dramatyczną przyniosła sztukę młodego poety Krzysztofa Gruszczyńskiego pt. „D o b r y C z ł o w i e k" wystawioną na kameralnej scenie Teatru Polskiego w Warszawie. Jest to pierwsza jaskółka nowej tematyki, nowych konfliktów, podejmowanych w polskiej twórczości dramatycznej. Gruszczyński w tej sztuce zajrzał do salonu mieszczańskiego, ale jego salon to odskocznia do scen w biurze i w hali fabrycznej. Co więcej, Gruszczyński dopiero w atmosferze fabryki znajduje świeży wyraz dramatyczny; postaci ze środowiska mieszczańskiego rodzą mu się papierowe, mieszczańskie sceny obyczajowe popadają u niego w mimowolną parodię. Dopiero gdy wejdzie do fabryki i gdy wmiesza się pomiędzy załogę, brygadę zetempowską, gdy posłucha uwag racjonalizatorki Tokarek, pióro jego nabiera rozmachu, słuch dramatyczny zaostrza się, widzenie subtelnieje. I powstaje dobry utwór, o dobrze wybranym, choć nieco krzywo ustawionym temacie.

Temat ów, to zagadnienie fałszywej społecznie dobroci, to podstawowa sprawa czujności politycznej, którą źle pojęta dobroć i wyrozumiałość zaciera i niweczy, doprowadzając „dobrego człowieka" do mimowolnego sojuszu z wrogiem klasowym. Temat ów zarysowany jest w sztuce mocno i dramatycznie. Niestety, i Gruszczyński popada przy okazji w swoistą dobroć, a to nie tylko gdy ułaskawia swego „dobrego, dobrotliwego, dobrodusznego dyrektora fabryki, Hertza, ale również gdy pozwala mu — na mocy uchwały organizacji partyjnej w fabryce — powrócić w charakterze naczelnego inżyniera do tego

samego warsztatu pracy, w którym omal nie dopuścił do wielkiego sabotażu. Wydarzyło się tu więc Gruszczyńskiemu to, co Kruczkowskiemu w pierwszej, nieprzemyślanej do końca ideologicznie wersji „Odwetów". Kruczkowski naprawił swój błąd, druga wersja „Odwetów" zamyka się, jak wiadomo, męską, godną komunisty decyzją Jagmina. Gruszczyński, okazuje się, nie docenił szkodliwości „dobroci", choć wziął ją na swój warsztat sceniczny.

W sztuce jest jednak wiele materiału niespornie bardzo wartościowego i wiele świeżego tworzywa — takiej fabryki i tak żywo, dramatycznie zarysowanego kolektywu fabrycznego nie widzieliśmy jeszcze w polskiej twórczości dramatycznej! — nawet tam, gdzie Gruszczyński opuszcza teren fabryczny, nie brak zastanawiających akcentów i fragmentów. Na przykład: nieudaną postacią jest doktór Kwapisz, przybysz z obcych, literackich planet; ale i poprzez tę małokształtną literacką postać przeprowadzona próba społecznego rozprawienia się z mieszczańskim gatunkiem dobroci, zwanym filantropią, może być uważana za udałą, choć pobrzmiewa echem G. B. Schawa.

Przy wszystkich swoich brakach i niedociągnięciach, częściowo nieodłącznych od scenicznego debiutu, jest „Dobry człowiek" cenną zapowiedzią dramatopisarskich sukcesów Gruszczyńskiego, jest jedną z przodujących sztuk polskich, ujmujących zagadnienia współczesne w sposób społecznie trafny i politycznie określony.

Teatr Kameralny dał debiutowi Gruszczyńskiego obsadę bardzo dobrą, reżyserię (Jerzego Uklei) pieczołowitą. Ryszarda Hanin i młody student PWST, Marian Łącz, pokazali, że nie tylko w łódzkim Teatrze Nowym zaczyna się wyrabiać styl gry odpowiedni do odtwarzania współczesnych robotników.

U KLASYKÓW POLSKICH

Dobiegający końca Rok Słowackiego podrzucił ostatnio „Balladynę" w teatrach Krakowa i Katowic — robotę reżysersko i inscenizacyjnie staranną, dyrektorską (B. Dąbrowski i W. Woźnik), robotę scenoplastycznie doświadczoną, stylizowaną aż do granic sformalizowanej maniery (Z. Pronaszko w Krakowie.)

Trzeba otwarcie stwierdzić: ani teatralnie, ani teatrologicznie Rok Słowackiego nie dał wyników, które by przeszły do historii teatru polskiego. Żaden z teatrów nie pokusił się o wyjście poza krąg najpopularniejszych — i najłatwiejszych teatralnie — dramatów, rewizjonistyczne studia K. Wyki o „Balladynie" i „Agezylauszu" nie zostały jeszcze ogłoszone w całości, zapowiedzi wystawienia mniej ogranych sztuk nie wypełnione.

Nie widać myśli przewodniej we wznawianiu klasyków polskiego teatru, w wydobywaniu postępowych sztuk teatralnych, w odgrzebywaniu zasypanych zapomnieniem. Zdawało się, że będziemy mieli renesans Bogusławskiego. Skończyło się na wznowieniu „Krakowieków i górali" i na eksperymencie wrocławskim z „Henrykiem VI na łowach".

To tu, to tam grywa się „coś z Fredry", licząc na sukces bez względu na wysiłek teatru, aktorów, inscenizacji. I sukces towarzyszy... słabemu przedstawieniu „Pana Geldhaba" w Warszawie, czy „Wielkiego człowieka do małych interesów" w Łodzi, czy „Ślubów panieńskich" w Opolu, czy — powiedzmy — przedstawieniu najbardziej popularnemu, „Zemście", w jakimś mniejszym mieście wojewódzkim lub powiatowym. Przedstawienia, które by wykazało twórczy rozmach reżyserii i przekonywający artyzm aktorów, jakim

była i jest jeszcze interpretacja „Męża i żony" w reżyserii Bohdana Korzeniewskiego w Teatrze Kameralnym w Warszawie, na horyzoncie nie widać.

A poza tym — grywa się „Rozbitków" albo „Wesele Fonsia", innym razem „Głupiego Jakuba" lub „Szczęście Frania". I po dawnemu trwa passa na „Moralność pani Dulskiej", która głosi swe drobnomieszczańskie maksymy równocześnie w kilku teatrach (ostatnio w Warszawie, Poznaniu, Opolu i Sopocie). Nie widać końca tej dulskiej fali i nie należy przewidywać jej opadu. Przyczyny powodzenia sztuk Zapolskiej są różne, choć nie skomplikowane. Wynikają zarówno z podziwu dla świetnej roboty scenicznej, jak i z uznania nowego widza dla satyrycznej celności i zawartych w dziełach Zapolskiej mocnych cech realizmu krytycznego.

SZTUKI RADZIECKIE

Teatralną klasykę rosyjską reprezentuje w teatrach polskich z ostatnich miesięcy „Las" Ostrowskiego, nie grany w Polsce od lat kilkudziesięciu, starannie wystawiony przez Teatr Polski w Poznaniu (w przekładzie J. Jędrzejewicza, reżyserii W. Horzycy i dekoracjach J. Kosińskiego), zasługa kulturalna w omawianym okresie odosobniona.

Niewiele lepiej jest ze współczesną dramaturgią radziecką na scenach polskich. Efemerycznie grani są jeszcze „Przyjaciele" Uspieńskiego, „Maszeńka" Afinogenowa i obie znane w Polsce sztuki Sofronowa. Krytyka miejscowa wyróżniła zwłaszcza gdańskie przedstawienie „W pewnym mieście" w reżyserii Jerzego Waldena. W Poznaniu Teatr Młodego Widza wystawił „Góry Worobiowe" Simukowa, Szczecin pierwszy w Polsce pokazał „Obcy cień" Simonowa, w Rzeszowie grany jest „Platon Kreczet" Kornijczuka. Pochwały godną innowacją jest zainteresowanie się twórczością innych narodów radzieckich: po sukcesie „Dwu obozów" Estończyka Jakobsona (Warszawa) i po wystawieniu „Błękitnej porcelany" Łotysza Grigulisa (Bydgoszcz) — Teatr w Opolu zagrał sztukę Litwina Bałtuszisa „Pieją koguty", a teatr w Lublinie sięgnął po „Błękitną porcelanę". Nie jest to zbyt wiele, nawet jeśli uwzględnimy, że „Las" zamierza również wystawić teatr w Krakowie. Jedynie teatry we Wrocławiu wykazywały w minionym okresie dostateczną troskę o zaznajamianie widza polskiego z twórczością kraju realizmu socjalistycznego (polskie prapremiery „Głosu Ameryki" Ławreniewa i „Chcę wrócić do domu" Michałkowa).

W tych warunkach cóż się dziwić, że teatr zawodowy pozwolił się ubiec ruchliwemu i ambitnemu teatrowi ochotniczemu. W Łodzi na scenie Łódzkiego Robotniczego Domu Kultury przy Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Józefa Stalina odbyła się prapremiera polska „Spisku bankrutów" Mikołaja Wirty, owej głośnej sztuki politycznej o treści zaczerpniętej z krajów demokracji ludowej. Należy z naciskiem odnotować to wydarzenie, ponieważ wiele oznak zdaje się świadczyć, iż będzie się ono w swoim typie powtarzać. Droga teatru ochotniczego ku pogłębieniu repertuaru jest systematyczna i dość szeroko zakreślona. Zespół łódzki, w którym zwłaszcza Stanisława Sabelowa i Aleksandra Kulesza wykazały uzdolnienia aktorskie, pokazuje „Spisek bankrutów" na wielu scenach świetlicowych.

OD SZLIFIERZA KARHANA DO HUTNIKA DUNAIA

Wielkim krokiem w kierunku przyswojenia teatrowi polskiemu konfliktów socjalistycznych była prapremiera polska „Brygady szlifierza Karhana" w Teatrze Nowym w Łodzi. Podejrzewam, że Kazimierz Dejmek i Janusz Warmiński nie byliby niezadowoleni, gdyby teatr przez nich prowadzony nazwano jakąś nową Redutą. Oczywiście, nie tylko nową w czasie, lecz unowocześnioną ideologicznie — Redutą, w której nie byłoby miejsca na mętniactwo i służbę burżuazyjnemu widzowi, a za to wiele miejsca na pozytywną pracę w stylu Reduty: służenia teatrowi przez zespół w sposób bezkompromisowy, rozwijania pracy kolektywnej, pełnej entuzjazmu i samozaparcia. Wyrażała Reduta wczorajszy teatr mieszczańskich niepokojów, poszukiwań, zabłądzeń i pięknoduchostwa?— no, to Teatr Nowy wyrazi najśmielszy, najbardziej zdecydowany marsz ku teatrowi przyszłości, stanie się teatrem robotniczym, jak Reduta była teatrem mieszczańskich klerków.

Teatr Nowy choruje na brak polskiego repertuaru — to zarzut w stronę scenopisarzy, nie kierownictwa. O odpowiedni repertuar dla zespołu łódzkiego nie łatwo, „Brygady szlifierza Karhana" nie rodzą się na kamieniu. Zagrana na otwarcie sezonu jesiennego sztuka węgierskiej autorki Ewy Mandi „Bohaterowie dnia powszedniego" — sztuka o robotnikach z huty Csepel pod Budapesztem — nie jest drugim „Karhanem", posiada wady konstrukcyjne, upraszcza niektóre charaktery, mąci jasność wyrazu ideologicznego przez nadmiar szczegółów, dzieli też ze sztuką Kani nadmierne obciążenie naczelnego motywu współzawodnictwa pracy cechami zrywu sportowego i pogoni za krótkotrwałym rekordem. A jednak wystawienie „Bohaterów dnia powszedniego" wydaje się być nowym ważnym wydarzeniem w kronice teatru polskiego, i to nie tylko dlatego, że sztuka przemówiła do oglądających ją robotników. „Bohaterowie dnia powszedniego" w Teatrze Nowym w Łodzi stanowią nowy, udatny krok naprzód w tworzeniu polskiego teatru realizmu socjalistycznego i nowy, zwycięski krok naprzód w uczeniu się przez aktora polskiego odtwarzania na scenie tych, którzy dzisiaj tworzą historię.

Przedstawienie łódzkie dostarczyło tu wprost klasycznego przykładu, ilustrującego możliwości rozwojowe aktora. Stanisławowi Łapińskiemu — doświadczonemu członkowi zespołu Teatru Nowego — dość jednomyślnie zarzuciła krytyka niedostateczne wrośnięcie w atmosferę i styl gry swoich kolegów, granie po dawnemu, w myśl przepisów na humor mieszczański i na gierki, przeznaczone dla widza drobnomieszczańskiego. Tak było po „Brygadzie szlifierza Karhana". Ale tych zarzutów nikt chyba nie powtórzy po „Bohaterach dnia powszechnego". Łapiński gra starego wsadowego w hucie w sztuce Mandi, rolę niezbyt odbiegającą od roli szlifierza Fikejsa z „Brygady szlifierza Karhana". Okazało się jednak, że przemyślał zarzuty, skontrolował swoje i swoich młodszych kolegów środki aktorskie i — że wyciągnął właściwe wnioski. W „Bohaterach dnia powszedniego" reprezentuje również rubaszny humor, ale jest robotnikiem, a nie przebranym w robotniczy kombinezon mieszczuchem.

Sztuka Mandi nie jest na pewno wzorem współczesnej sztuki robotniczej

i krytycy klasowo obcy, którzy z niektórych cech charakteryzujących wzajemne podobieństwo utworów takich jak „Brygada szlifierza Karhana" czy „Bohaterowie dnia powszedniego" wysnuwać pragną podstępne wnioski o brakach i wąskości realizmu socjalistycznego — odsłaniają na pierwszy rzut oka złą wolę lub niezrozumienie epoki, w której im żyć przyszło. Nowy styl inscenizacji i gry, który zaznaczył się w Teatrze Nowym, jest już jednak wyraźną i przemyślaną całością. Czy zagrażają mu macki formalizmu i arealizm? W robocie Teatru Nowego nie widać żadnych po temu sygnałów. A naturalizm? Tu młodemu zespołowi czasem nieporęcznie jest oprzeć się zakusom. Lecz błąd szybko mija lub bywa naprawiony. W środowisku Teatru Nowego dojrzewa też świadomość artystyczno-społeczna, której w tym stopniu z trudem moglibyśmy się doszukiwać w innych teatrach.

Z POGRANICZA TEATRU

Wśród Państwowych Nagród Artystycznych, przyznanych za rok 1950, nie brakło — jak wiadomo — nagród ani indywidualnych, ani zbiorowych, ani dla dramaturgów, ani dla aktorów. Nagrodzony też został czołowy scenoplastyk polski i najbardziej zasłużony reżyser zespołów ochotniczych. Ale jeszcze jedna nagroda miała wyraźny związek z teatrem: nagroda dla zespołu doświadczonych i początkujących filmowców z Eugeniuszem Cękalskim na czele, którzy nakręcili film „Dwie brygady". Film ten bowiem wyraża językiem filmowym treści ściśle teatralne, nie mógłby powstać bez swoich teatralnych założeń i odpowiada na pytanie: jaki może być wynik przeniesienia głębi scenicznej na płaskość ekranu, gry teatralnej na grę filmową.

Odpowiada, że wynik może być pozytywny. Filmowe ujęcie prób w teatrze, filmowy wyraz dla przemian aktora teatralnego, nie zaznały ani filmowości, ani teatralności. Opaliński i Karczewski, a także młodsi: Łomnicki, Łapicki, Mniewska — potrafili obraz swoich porażek i sukcesów w przygotowaniu ról dla przedstawienia teatralnego przekazać w sposób jasny i zrozumiały taśmie filmowej. Otrzymaliśmy film, który z piwnic domu na pustkowiu wywiódł nas nie tylko za kulisy i na przestrzenną, jasną widownię teatralną; otrzymaliśmy film, który po raz pierwszy potrafił na płótnie ekranu wyrazić teatr nie jako statyczną wstawkę lub natręta i fałszerza zasad sztuki filmowej, lecz jako najistotniejsze tworzywo filmu, źródło jego artystycznych wzruszeń. Osiągnięcie to jest dość wyjątkowe i po części tłumaczy nazwanie „Dwu brygad" filmem eksperymentalnym.

„Dwie brygady" zdobyły wielkie uznanie widza masowego, widza robotniczego. Tym bardziej charakterystyczna jest postawa sprzeciwu i potępienia, wyrażona w stosunku do „Dwu brygad" przez pewną część aktorstwa polskiego. Widzą oni w „Dwu brygadach" karykaturę aktorstwa, niemal paszkwil na aktorstwo, czym dają dowód, że nie chcą zrozumieć sensu filmu, że nie wejrzeli samokrytycznie w istotę swej pracy, która wymaga w każdym wypadku rozwiązania „kompleksu Borowicza", czyli odrzucenia starych sposobów aktorskich, gdy się ma grać nowych ludzi w nowych warunkach społecznych. Oczywiście, ta przemiana rzemiosła to przecież nic innego, jak przemiana ideologiczna.

Jan Alfred Szczepański

W służbie wojny i w służbie pokoju

Pacyfizm okresu międzywojennego — nie ten, który w Lidze Narodów przygotowywał drugą wojnę światową, lecz ten, który w literaturze zrodził się z nienawiści do wojny i z umiłowania życia — walczył w abstrakcji, apelował do duszy, szlachetny idealizm człowieka wymieniał na mętny idealizm burżuazyjnej filozofii. Sądził, że wystarczy dowieść, iż wojny nie są nieuniknione, by ludzkość uznała je za niepotrzebne; wyobrażał sobie, że wojna jest zbiorową psychozą, a strzelanie do przeciwnika — stanem patologicznym. Nie umiał odczytywać kart historii współczesnej: śmiał się z Mussoliniego, a wierzył w Brianda.

Marksizm nauczył nas sztuki odczytywania świata. Od owych pacyfistów jesteśmy dziś mądrzejsi nie tylko o Stalingrad i Warszawę, ale o dobrze odczytaną historię lat powojennych. Ta historia jest przekonywającym dowodem, że hitleryzm nie był wybrykiem szaleńca. Cechy psychopatyczne Hitlera mogły być w rozwoju faszyzmu okolicznością sprzyjającą, nadały mu pewne piętno indywidualne, ale nie one go stworzyły i nie one wytyczały jego drogi. Hitleryzmowi nie potrzeba Hitlera; uprawiają go dziś ludzie stateczni i psychicznie zrównoważeni, czerpiąc obficie z doświadczeń mistrza.

Po pierwszym wstydliwym okresie powracają wszystkie stare akcesoria, metody, hasła, obyczaje — nawet ludzie. Zbrodniarz wojenny Guderian ogłosił w „United States and World Report" wywiad, w którym precyzuje warunki, na jakich Wehrmacht zgodziłby się wziąć udział w „obronie Europy", tzn. w rozpętaniu trzeciej wojny światowej. Te warunki to: pełne uzbrojenie armii zachodnio-niemieckiej we wszystkie rodzaje broni, wystawienie 25 — 30 dywizji, jednolite dowództwo niemieckie („...*nie byłoby rzeczą możliwą*, aby dowódca niemiecki stał na czele jednostki francuskiej — wzdycha Guderian i dorzuca z godnością: — tak samo jak *nie może pan chyba sobie wyobrazić*, aby dowódca francuski stał na czele jednostki niemieckiej"... zauważcie, jaki polityk z tego Guderiana: nie mówi o Amerykanach, tylko przezornie o Francuzach, którzy wciąż jeszcze, według hitlerowskich kategorii, pozostają „gorszym" narodem!); dalej — równorzędny udział Niemców w alianckim sztabie generalnym w Fontainebleau (Guderian desygnuje już nawet na to stanowisko von Mannsteina), a wreszcie — „Gdy chodzi o Niemcy, to jeśli liczy pan na nie w obronie Europy, powinny one posiadać równe prawa we wszystkich sprawach". Nie są to wynurzenia generała, który syty chwały doznanych klęsk wojennych przeszedł do cywila i poświęca się pracy w ogródku. „Monde", cytując ten wywiad, dodaje w komentarzu: „Generał Guderian nie utracił nic ze swego autorytetu oficera armii niemieckiej i wszystko wskazuje na to, że jeśli armia niemiecka zostanie odbudowana, gen. Guderian zajmie w niej odpowiedzialne stanowisko".

Guderian zna swoją wartość i wie, że łatwiej było imperialistom przeboleć utratę Goebbelsa lub Goeringa, niż wykreślić ze swej rachuby Prusaków i Wehrmacht. W pięć lat po Poczdamie, w którym mówiło się kiedyś o całkowitym rozbrojeniu Niemiec, brytyjski Wysoki Komisarz Sir Kirkpatrick tak przemawia do Niemców w Bonn: „Można wątpić, czy w historii świata istnieje odpowiednik wspaniałomyślności, z jaką mocarstwa zwycięskie, zwłaszcza Stany Zjednoczone, po długiej i kosztownej wojnie, wydatkowały astronomiczne sumy, by odbudować gospodarkę pobitego przeciwnika. Pomoc ta była tak skuteczna, że Niemcy dzisiaj, zaledwie w 5 lat po załamaniu, posiadają tę samą zdolność produkcyjną co przed wojną i bez żadnych ograniczeń powracają na rynek światowy. Dla Niemców nadszedł obecnie czas, by zapomnieć drobne niezadowolenia z zachodnich mocarstw okupacyjnych."

Ta prośba o wybaczenie drobnych uraz, ten ton zamożnego lecz dość natrętnego opiekuna w stosunku do kochanki, która się droczy — to znak czasu, w jakim żyjemy. Gorączkowa krzątanina ostatnich miesięcy wokół remilitaryzacji i renazifikacji Niemiec zachodnich — to wynik doświadczeń, między innymi koreańskich. Inwazja koreańska przyniosła bowiem Stanom Zjednoczonym tę cenną naukę, że w planowanej agresji przeciwko wolnym narodom trudno liczyć na armie sojusznicze, dozowane w dawkach dość homeopatycznych, a jeszcze trudniej opierać się na przeszkolonych i przygotowanych przez amerykańskich instruktorów wojskach najemnych. Mimo trudności ze strony europejskich partnerów trzeba więc było forsować wprowadzenie Niemiec zachodnich do „zjednoczonych sił Europy".

Trzeba umieć odczytywać karty historii współczesnej. Błyskawiczne sukcesy Hitlera w pierwszych latach wojny, marsz triumfalny przez Polskę, Belgię, Francję, Norwegię tłumaczono różnicą sił, potencjału wojennego, kunsztem strategicznym. Ale oto największa potęga świata kapitalistycznego, Stany Zjednoczone, wyruszyły na podbój Korei, małego półwyspu, zagubionego na krańcu świata. Kampania polska trwała trzy tygodnie; wojna w Korei — w chwili gdy to piszę — przekracza trzeci miesiąc, i sami Amerykanie przestrzegają przed zbytnim optymizmem co do rychłego jej zakończenia. A przecież metody wojny totalnej od czasu Hitlera zostały znacznie udoskonalone, i Hitler bardzo by się ucieszył, gdyby mógł zobaczyć postępy swych uczniów: zrównywanie z ziemią miast, bombardowanie materiałami palnymi, które cały atakowany teren zamieniają w morze ognia, regularne i skrupulatne mordowanie ludności na drogach odwrotu. Transport uzbrojenia wojsk inwazyjnych odbywa się między innymi drogą mostu powietrznego, wypróbowanego przed rokiem w Berlinie; wojska ludowe używają w tym celu metody łańcuchowej, polegającej na przekazywaniu uzbrojenia przez ludność z rąk do rąk. Mieszkańcy Seulu, podobnie jak obrońcy Stalingradu, walczyli o każdą ulicę, o każdy dom, o każdą kupę gruzów. Nie wiem, czy słusznie Mac Arthur wszystkich obrońców Korei nazywa komunistami; ale nie ma wątpliwości, że walkę z interwentami amerykańskimi toczy w Korei cały naród koreański, i że to, czego nie chciały i nie potrafiły dokonać burżuazyjne i faszystowskie rządy europejskie w latach 1939 — 41: przeciwstawienie najazdowi powszechnej wojny

ludowej, to zrobił rząd ludowy Korei.

Faszyzm na modłę amerykańską obywa się bez Hitlera i bez Goebbelsa. Uczniowie i tutaj prześcignęli mistrza. Slogany pozostały te same: obrona zachodniej cywilizacji, zjednoczone siły Europy i nowy ład w postaci, tym razem, amerykańskiej szczęśliwości. Ale o ileż udoskonalone metody działania! Kogóż to zatrudniał Goebbels dla swej propagandy? Pismaków z prasy brukowej, trzeciorzędnych pisarzy, fabrykantów pornografii. Imperializm amerykański ma na swe usługi koryfeuszów burżuazyjnej literatury Europy i Ameryki, modnych filozofów, znakomitych artystów zakupionych ryczałtem przez wytwórnie filmowe. Mój Boże, my tu jeszcze czasami prowadzimy spory o wolność twórczą artysty, o to, czy sztuka jest służbą społeczną, czy swobodnym lotem wyobraźni. Miałem niedawno okazję obejrzenia filmu włoskiego „W imię prawa". Jest to film osnuty na znanej aferze bandyty sycylijskiego Giuliano. Bandyta ten, jak wiadomo, na zlecenie obszarników włoskich i w ścisłym porozumieniu z ministrem spraw wewnętrznych, Scelbą, tłumił ruch rewolucyjny śród bezrolnej biedoty włoskiej, mordował przywódców, rozbijał organizacje. Wiedział jednak zbyt wiele, stawał się niewygodny i Scelba kazał go usunąć, przedstawiając oczywiście tę bandycką dintojrę jako obronę prawa i porządku publicznego. Film jest próbą przedstawienia historii w tej właśnie policyjnej wersji. Wszyscy w nim są pośrednimi lub bezpośrednimi wspólnikami „mafii": ludność miasteczka, chłopi okoliczni, robotnicy z kopalni siarki i jej właściciel — i jeden tylko młody a szlachetny sędzia pokoju walczy daremnie z tym oceanem bezprawia. Pewne rysy szlachetności ma zresztą również i przywódca mafii, którego przestępstwo na tym głównie polega, że wymiarem sprawiedliwości nie chce trudzić odpowiednich organów administracji. Powojenny film włoski, dzięki śmiałości w stawianiu problemów społecznych, dzięki dążeniu do częściowego przynajmniej oddania realistycznej prawdy zdobył sobie dość poważne uznanie — i „W imieniu prawa" ma również wiele cech dobrej roboty filmowej. Ale minął już czas liberalnej pauzy między faszyzmem Mussoliniego i neofaszyzmem Trumana. Zespół dobrych majstrów filmowych nakręca dziś scenariusze policyjnej prefektury, a Roberto Rosselini kręci tandetne filmy religijne według scenariusza księdza Morlion, ministra kinematografii Państwa Watykańskiego (ile kin liczy państwo Watykanu?), i George Sadoul pisze o jego „Św. Franciszku": „Co uderza szczególnie w tej chrześcijańskiej propagandzie — to zupełny brak przekonania".

Kampania odczłowieczenia człowieka, z takim rozmachem prowadzona przez film amerykański, bynajmniej nie ogranicza się jedynie do filmu. Socjolog amerykański, Ross, pisze w książce o „Powojennym klimacie intelektualnym": „Różowa doktryna, która w poprzednim pokoleniu była w powszechnym obiegu, a która postęp społeczny uznaje za rzecz nieuchronną — ta doktryna powinna być odrzucona ze względu na swą bezużyteczność". Teoria o bezsensowności postępu jest w ogóle bardzo modna w Ameryce. Inny filozof, a raczej spółka filozofów pisze: „Ewolucja społeczna nie jest synonimem postępu. Regresja a nawet rozkład jest zjawiskiem charakterystycznym dla zmian w społeczeństwie ludzkim". A oto jeszcze inny, niejaki Sidney Fay z Harward: „Optymizmowi co do postępu cywiliza-

cji ciężki cios zadała wojna 1914 — 1918 roku, ciężkie lata bezrobocia i depresji, fiasco Ligi Narodów, okropności drugiej wojny światowej i jej następstw. Cywilizacja cofnęła się widocznie wstecz o kilka stuleci." Można by zapytać: skoro cywilizacja i postęp są artykułami tak wątpliwej wartości, czego mają bronić w takim razie „zjednoczone siły Europy"? Ale niech nam się nie wydaje, że imperialiści amerykańscy poczęli nagle tak nikłą przywiązywać wagę do cywilizacyjnych zdobyczy amerykańskiego trybu życia: to tylko świat stał się zbyt czytelny, zbyt wielkie masy nauczyły się go rozumieć i trzeba taką filozofią bezsensu starać się go zaciemnić. Tu spotykają się obskuranccy filozofowie amerykańscy z wyznawcami egzystencjalizmu na kontynencie europejskim i z wykwintnymi, subtelnymi i przerafinowanymi myślicielami z wysp brytyjskich. Bertrand Russell pierwszą wojnę światową przesiedział w więzieniu za pacyfizm. Był pacyfistą integralnym, nawoływał swoich rodaków do jednostronnego rozbrojenia i twierdził, że gdyby nawet Anglia miała stać się kolonią niemiecką, jeszcze mu się to opłaca. Obecnie zmienił zdanie. Sądzi, że „najłatwiejszym i najoczywistszym środkiem harmonizacji jest wojna"; że „jakiekolwiek porozumienie co do ograniczenia wojny atomowej nie przyniosłoby nic prócz szkody". Aldous Huxley w powieści „Po wielu latach" dochodzi do wniosku, że gdyby wynaleziono eliksir długowieczności, człowiek zamieniłby się na powrót w małpę człekokształtną. Normalne ludzkie pojęcie dobra i zła jest dla Huxleya pospolitą i oczywistą bzdurą; dobro istnieje według niego jedynie „na poziomie poniżej ludzkiego i na poziomie powyżej niego. Na poziomie zwierzęcym i na poziomie... No dobrze, więc nazwij to sobie, jak chcesz: poziomem wieczności, poziomem Boga, jeśli nie masz nic przeciw temu". Toteż gdy ktoś w powieści mówi o bohaterach hiszpańskiej wojny domowej, Huxley odpowiada ustami przedstawiciela jego filozofii: „A co byś powiedział o chłopcach Hitlera? A co o chłopcach Mussoliniego? Czy przypuszczasz, że oni nie są tacy sami dzielni, tacy sami dobrzy dla towarzyszy, tak samo oddani swojej sprawie i tak samo niezłomnie przekonani, że to jest właśnie ideał sprawiedliwości, prawdy i honoru?"

W latach trzydziestych modny był w Lidze Narodów termin „rozbrojenie moralne". To rozbrojenie moralne, które przyniosło w sztuce kilka pseudopacyfistycznych dramatów i kilka filmów o francusko-niemieckiej przyjaźni („Towarzysze broni"), którego heroldem z jednej strony był Jules Romains, a z drugiej — Otto Abetz, miało na celu usunięcie zadrażnień między zwycięzcami i zwyciężonymi z pierwszej wojny światowej, by można było tym skuteczniej klecić blok antyradzieckiej interwencji. Dziś termin ten nabiera nowego, pełniejszego sensu: to istotnie rozbrojenie moralne własnych ludów, to taka tresura armatniego mięsa, by nic nie czuło i nic nie rozumiało. Młodocianych kandydatów na führerów zaprawiano w hitlerowskich szkołach w obojętności wobec wszelkich cierpień; z początku ćwiczono na zwierzętach, potem na więźniach obozów. Wystarczy przejrzeć dowolny magazyn amerykański, by znaleźć tę samą metodę w demonstrowaniu okropności, w obrazkach z wojny koreańskiej, w uczeniu jak należy przechodzić bez drgnienia powiek obok człowieka leżącego. Amerykańscy wynalazcy głowią się nad rozwiązaniem problemu wojennego robota — mechanizmu, który by strzelał, zabijał, podpa-

lał i rzucał granatem i który mógłby zastąpić piechotę. Póki jednak takiego robota nie wynaleźli — muszą się starać o żywą piechotę, muszą sobie zapewnić jej posłuszeństwo, muszą drżeć na myśl o tym, że coraz żywsza w masach, coraz potężniejsza, coraz bardziej świadoma wola pokoju pokrzyżuje wszystkie ich plany.

Inna powieść Huxleya nosi tytuł „Czas musi stanąć". W tym tytule jest cały program — tak jak programem ludów wyzwolonych jest owo Majakowskiego: „Czasie, naprzód!" Jesteśmy zaledwie u progu tego świata, w którym czas staje się sprzymierzeńcem człowieka; ale mamy już obraz tego, jak wielokrotnieje dla nas samych wartość naszego życia. Od zarania dziejów człowiek był niewolnikiem suszy i powodzi, wichrów i nieurodzaju; z bezsilności człowieka wobec żywiołów przyrody powstały religie. A oto człowiek poczyna odmieniać przyrodę, odwraca łożyska rzek, ujmuje w karby lotne piaski, użyźnia olbrzymie przestrzenie jałowej ziemi. Powstają takie zbiorniki energii, które już jutro zapewnią dobrobyt milionom ludzi, a w przyszłości dadzą go setkom milionów. Planeta, która ginącemu światu wydaje się za ciasna, której ludność radzi by przetrzebić, skoro nie potrafią jej wyżywić, rodzić będzie dziesięćkroć więcej. Cywilizacja utraciła sens dla tych tylko, którzy go widzą w Hollywood i w Coca-Coli; dla nas w tej chwili nabiera ona nowej treści. I treść ta staje się coraz bardziej widoma dla całego świata, przeciw niej właśnie szykują imperialiści nową krucjatę, z nią przede wszystkim walczy propaganda wojenna, filozofia pesymizmu, obskurancka teoria socjologiczna, iż świat kręci się w kółko, jak wiewiórka skacząca w klatce na bębnie.

Smutne doświadczenia międzywojennego pacyfizmu i dziś jeszcze napełniają wielu ludzi niewiarą w skuteczność naszej walki o pokój. Oczywiście, jeśli się komuś wydaje, że samo podliczenie podpisów pod apelem pokojowym i zakomunikowanie liczby komu należy, może zapobiec wojnie, wpada w te same złudzenia, jakim ulegali (lub chcieli ulegać) pacyfiści. Truman zna tę liczbę doskonale i sama wiadomość, że masy ludowe całego świata nie chcą wojny, nie jest dla niego żadną rewelacją. Ale przecież cały ten arsenał przemocy, faszyzacji podległego świata, rozbijania ruchu robotniczego, pogoni za armią najemną — a jednocześnie propagandy i histerii wojennej, ogłupiającej filozofii, demoralizującej sztuki, otępiającej literatury — wszystko to przecież jest nie tylko przygotowaniem wojny, ale walką o wojnę, walką o żołnierza, który zechce się bić, walką z jego wolą pokoju i z jego wiarą w sens życia. Faszyzm dlatego był potrzebny imperialistom niemieckim, a dziś jest potrzebny amerykańskim, że bez niego nie podobna obezwładnić mas, nie podobna wygrać tej bitwy o wojnę, którą najpierw trzeba rozstrzygnąć, zanim broń gromadzona w arsenałach będzie mogła być użyta. Walka o pokój — to przede wszystkim walka o świadomość człowieka, o świadomość najszerszych mas, o ich czynną wolę przeciwstawienia się agresji, o ich czynną postawę wobec prób narzucenia im wojny.

Dlatego nie mają słuszności ci, którzy sądzą, że walka o pokój toczyć się powinna przede wszystkim w krajach kapitalistycznych. Nam także potrzebna jest świadomość, że to, co budujemy w Polsce, potęguje siły pokoju i przechyla coraz bardziej szalę na stronę obozu pokoju. Nam także potrzebna jest świadomość, że wielkie przeobrażenia przy-

rody w Związku Radzieckim, i nasz plan sześcioletni, i to co budują inne wyzwolone narody—to jest nadzieja i wiara świata; że to my właśnie jesteśmy dla mas ludowych ujarzmionego świata symbolem tego, o co walczą, gdy walczą z imperializmem. I nam także potrzebna jest świadomość, która potrafi odróżnić zdrową, optymistyczną ideologię człowieka, wierzącego w postęp ludzkości i pragnącego budować lepsze życie — od gnijącej, rozkładającej się ideologii imperializmu, budzącej niewiarę w sens i wartość życia.

Wydaje mi się, że nasza literatura nie dostrzega w pełni tej swojej wielkiej roli. Nie łudźmy się, że nieumieszczenie w planie wydawniczym Sartre'a lub Huxleya załatwia sprawę wpływów rozkładowej filozofii w Polsce. Ma ona jeszcze określone podłoże społeczne. Dlatego sprawa humanizmu, afirmacji życia, demaskowania wrogiej człowiekowi postawy imperialistycznej kultury, tropienia przejawów tej postawy na naszym gruncie, w naszych rodzimych odmianach — to dziś sprawa naczelna naszej literatury, jej posłannictwo w służbie pokoju.

Jerzy Pański

Literatura narodów ZSRR

W listopadzie br. odbędzie się w Moskwie, Leningradzie, Rydze i Tallinie dekada literatury azerbejdżańskiej. Będzie to pewna zmiana w organizacji dekad literatury i sztuki narodów ZSRR— od dziesiątek lat urządzano je tylko w stolicy Kraju Rad. W czasie dekady, na którą przyjedzie większa grupa azerbejdżańskich pisarzy, artystów, działaczy kultury i sztuki, odbędą się produkcyjne narady twórcze w Związku Pisarzy Radzieckich, w celu omówienia osiągnięć azerbejdżańskiej prozy, poezji, dramatu, literaturoznawstwa i krytyki literackiej; w teatrach wystawiane będą sztuki azerbejdżańskie, wystąpią oryginalne zespoły dramatyczne i operowo-baletowe.

W ZSRR odbywają się corocznie dwie — trzy dekady literatur narodowych: w maju br. urządzono dekadę literatury estońskiej, w lipcu — z okazji dziesięciolecia powstania radzieckich republik nadbałtyckich — odbył się na Litwie wielki festiwal sztuki tych krajów. Dekady te przyczyniają się ogromnie do poznania i spopularyzowania literatur przeszło 60 narodów ZSRR. Zainteresowanie tymi literaturami nie ogranicza się oczywiście do okresu dekady, jest ono stałe i żywe, jak stała i żywa jest wymiana dóbr kulturalnych między narodami, niespotykana — poza ZSRR — działalność literacko-przekładowa. W Związku Pisarzy Radzieckich odbywają się często konferencje, narady, publiczne dyskusje nad zagadnieniami związanymi z rozkwitem literatur narodów ZSRR. W Moskwie wychodzi dwumiesięcznik „Drużba narodow" („Przyjaźń narodów") założony w swoim czasie przez koryfeusza wielonarodowej literatury radzieckiej A. M. Gorkiego: w czasopiśmie zamieszczane są rosyjskie przekłady najcelniejszych utworów literatur narodów Związku Radzieckiego. Poza tym wszystkie czasopisma literackie — centralne i prowincjonalne — zamieszczają przekłady, artykuły krytyczno-syntetyczne oraz przeglądy krytyczno-bibliograficzne różnojęzycznych wydawnictw i książek.

Na XIII Plenum Zarządu Zw. Pis. Radz. — w styczniu br. — punktem wyjściowym dyskusji na temat litera-

tury narodów ZSRR był referat znanego pisarza uzbeckiego Sz. Rachimowa — „Uzbecka literatura radziecka w rozkwicie", uzupełniony koreferatem poety M. Tichonowa pt. „O osiągnięciach i niedociągnięciach radzieckiej literatury Uzbekistanu." Mimo istnienia wielowiekowej tradycji literackiej (XV w.— poeta uzbecki Aliszer Nawoj), pięciomilionowy naród uzbecki przed Rewolucją pogrążony był w analfabetyzmie. Obecnie liczba uczącej się młodzieży wzrosła 66-krotnie w porównaniu z rokiem 1913; w szkołach wyższych kształci się około 40.000 młodzieży; w republice istnieje Akademia Nauk i 95 instytutów naukowych. Dzienniki i czasopisma periodyczne wychodzą w globalnym nakładzie — 500 mil. egz. W warunkach ostrej walki z nacjonalistyczną ideologią szlachecko-obszarniczą, idealizującą feudalną przeszłość i oddalającą literaturę uzbecką od współczesnej tematyki radzieckiej, powstawała pod kierownictwem partii bolszewickiej uzbecka literatura radziecka. Znanym uzbeckim pisarzem radzieckim jest gorący patriota i nowator literatury Chamza Chakim-zade; do najwybitniejszych prozaików uzbeckich należy obecnie autor powieści biograficznej „Aliszer Nawoj" — Ajbek. Wielki wpływ na rozwój uzbeckiej literatury radzieckiej miały uchwały CK WKP(b) w sprawach ideologiczno - literackich (VIII — 1946); do ożywienia działalności literackiej przyczyniła się ostatnio uchwała CK KP(b) Uzbekistanu z r. 1949.

W referatach Raszidowa i Tichonowa wytknięto błędy i niedociągnięcia występujące u niektórych pisarzy uzbeckich jak: brak krytycyzmu i romantyzowanie przeszłości, przestarzały i ciasny zasięg tematyki, niewystarczające opanowanie najaktualniejszej tematyki radzieckiej i międzynarodowej, oraz brak współdziałania historyków i literaturoznawców z krytyką literacką współczesnych utworów. To ostatnie zagadnienie omówione było szerzej w związku z referatem A. Fadiejewa wygłoszonym również na tym Plenum. („O zadaniach krytyki literackiej")

W dyskusji wielu przedstawicieli innych literatur narodowych opowiedziało o osiągnięciach swoich literatur ojczystych. Literatura Kara-Kałpaków, małego narodu sąsiadującego z Uzbekami, do niedawna ograniczała się tylko do poezji; ostatnio pod wpływem radzieckiej literatury rosyjskiej rozwija się twórczość prozaiczna i dramatyczna (A. Biegimow). To zjawisko bogacenia się o gatunki literackie przedtem nieznane jest bardzo charakterystyczne dla literatur narodów ZSRR. G. Fiedorow przedstawił obraz rozkwitu literatury narodu Komi (Daleka Północ), który przed wielkim Październikiem nie miał piśmiennictwa. Obecnie wiele utworów tej literatury czytuje się na terenie całego Związku. O powojennych osiągnięciach literatury tatarskiej—także jednej z młodszych literatur narodów ZSRR — mówił tatarski pisarz A. Jerikiejew. Z literatur kaukaskich omówiono w dyskusji literaturę azerbejdżańską (S. Wurgun) i ormiańską (A. Siras): w literaturze azerbejdżańskiej ukazało się ostatnio kilka wybitnych utworów, które zyskały rozgłos daleko poza granicami Azerbejdżanu, a nawet Związku Radzieckiego. Są to powieści: M. Huseina „Apszeron" — wyróżniona w 1950 r. Nagrodą Stalinowską; N. Sulejmanowa „Tajna niedr" („Tajemnica kopalin"); M. Ibrahimowa „Nastąpi dzień"—o bohaterskiej walce ludu pracującego Azerbejdżanu Południowego, przeciwko irańskiej reakcji służącej imperialistycznym interesom an-

glo-amerykańskim — poemat M. Rahima „Nad Leningradem".

Omawiając powojenne osiągnięcia literatury ormiańskiej, mającej blisko tysiącletnią tradycję — A. Siras stwierdził, że pisarze ormiańscy zwrócili się ku tematyce współczesnej. Znany poeta tadżycki odznaczony tegoroczną Nagrodą Stalinowską, M. Mirszakar, mówił o literaturze swego kraju, jednej z najstarszych literatur środkowo-azjatyckich (klasycy tadżyccy — Fierdousi i Nizami). Najstarszy żyjący rewolucjonista - bolszewik, poeta i prozaik radzieckiego Tadżekistanu, S. Ajni, wydał ostatnio dzieło pt. „Wspomnienia". W przekładzie rosyjskim dwa pierwsze tomy ukazały się pt. „Buchara"; za utwór ten Ajni otrzymał Nagrodę Stalinowską. Poeta tadżycki M. Tursunzade napisał w ubiegłym roku drugą część znanej „Ballady o Indiach" pt. „Przewodnik po Indiach". Mirzo Tursun-zade jest poetą bardzo popularnym wśród azjatyckich ludów walczących o wolność: był on delegatem radzieckim na paryskim Kongresie Obrońców Pokoju. O powojennym rozkwicie literatury mołdawskiej mówił T. Ipatienko: własnością całego narodu radzieckiego stał się wydany ostatnio poemat mołdawski E. Bukowa „Mój kraj" oraz opowieść J. Kutkowieckiego „Ogień".

Po referacie K. Simonowa „ O obecnym stanie i niektórych zagadnieniach rozwojowych literatury dla dzieci" wygłosił koreferat „O ukraińskiej literaturze dla dzieci" — A. Kornijczuk. W dyskusji nad oboma referatami zabierali również głos przedstawiciele literatur narodów ZSRR.

Zagadnienie rozwoju krytyki literackiej w literaturach narodów ZSRR zajęło wiele miejsca w referacie A. Fadiejewa: Fadiejew stwierdził, że w pogłębieniu trudnych zagadnień literatur środkowo-azjatyckich i azerbejdżańskiej, przedzierających się ku realizmowi socjalistycznemu poprzez gąszcz kosmopolitycznych, formalistycznych teorii „jednego nurtu", paniranizmu, panislamizmu itd.—wiele pomogła praca znanego badacza literatur wschodnich L. Klimowicza pt. „O marksistowsko-leninowskie naświetlenie historii literatury i sztuki narodów Azji środkowej i Azerbejdżanu", oraz cykl artykułów tęgo samego autora na ten temat, zamieszczony w „Litieraturnoj Gazietie" w styczniu ub. r. Sprawie tej poświęcone są również: praca M. Auezowa „Tradycje realizmu rosyjskiego a literatura kazachska", artykuł M. Huseina „Uwagi o azerbejdżańskiej literaturze radzieckiej", praca O. Mamikomiana „Radziecka dramaturgia ormiańska i teatr — po historycznej uchwale CK WKP(b)". Szczegółowo omówił Fadiejew znakomitą pracę estońskiego krytyka i teoretyka literatury R. Loosona pt. „O niektórych zagadnieniach literaturoznawstwa i krytyki literackiej w Estonii". Prace Loosona, twórczość artystyczna plejady przodujących poetów i prozaików (np. H. Leberechta „Światło w Koordii", dramaty Jakobsona) dowodzą, że literatura estońska na równi z literaturami radzieckiej Łotwy i Litwy — weszła na drogę socjalistycznego rozwoju.

W dyskusji nad referatem Fadiejewa poruszano również zagadnienia krytyki i teorii literackiej literatur narodów ZSRR: ukraińskiej, białoruskiej, estońskiej, łotewskiej, gruzińskiej, ormiańskiej, azerbejdżańskiej, dagiestańskiej, kazachskiej, tadżyckiej, turkmeńskiej, kirgiskiej.

Taki jest plon kilkudniowego Plenum Zarz. Zw. Pis. Radz. w dziedzinie omawiania literatury narodów ZSRR.

Nie jest to zjawisko nowe. Już na I Zjeździe pisarzy radzieckich — w roku 1934 — z 600 delegatów połowa przypadała na pisarzy narodowości nierosyjskiej, piszących w przeszło 50 językach narodowych. Jeden z inicjatorów Zjazdu — słusznie zwany „ojcem literatur narodów ZSRR" — A. M. Gorki powiedział wówczas: „Literatura radziecka nie jest literaturą wyłącznie języka rosyjskiego, lecz literaturą wszechzwiązkową".

W kilka lat później w ZSRR wydawano już książki w 110 językach. W r. 1940 około 24% ogólnej ilości książek (tytułów) stanowiły wydawnictwa w językach narodów ZSRR. W tym czasie na 3000 członków Związku Pisarzy Radzieckich przeszło 1300 członków było narodowości nierosyjskiej.

Stalinowska „Deklaracja praw narodów Rosji" oraz konstytucje radzieckie zrównały narody pod względem prawnym. Do prawdziwego jednak równouprawnienia narodów w ZSRR konieczne były gruntowne przemiany gospodarczo-społeczne. W wyniku Stalinowskich pięciolatek dokonał się decydujący zwrot w rozwoju gospodarczym i oświatowo-kulturalnym narodów i narodowości, które w chwili wybuchu Rewolucji Październikowej znajdowały się na bardzo różnych szczeblach rozwoju. Mówił o tym J. Stalin na X Zjeździe RKP(b) (1921): „W Rosji mamy 22 kraje kresowe, przy czym jedne z nich są bardziej ogarnięte rozwojem przemysłowym i — w znaczeniu przemysłowym — mało różnią się od Rosji centralnej: inne nie osiągnęły jeszcze okresu kapitalizmu i gruntownie różnią się od Rosji; jeszcze inne — zupełnie zaniedbane."

W dalszym ciągu swego przemówienia Stalin podzielił narody nie-wielkorosyjskie na kilka grup: wydzielił dużą grupę narodów będących w stadium przedkapitalistycznym — oraz sześciomilionową grupą ludów i plemion koczowniczych, żyjących na stopniu pierwotnego ustroju rodowego.

Klasyfikacja ta rzuca światło nie tylko na drogę rozwoju gospodarczego, społeczno-politycznego i kulturalnego tych narodów, lecz również na linię i etapy rozwojowe literatury w okresie likwidacji nierówności gospodarki narodów ZSRR. Oczywiście proces rozwoju literatur narodowych na etapie przejściowym do komunizmu dokonał się nie bez wstrząsów. Rozwój ten był w rzeczywistości procesem skomplikowanym, odbywającym się poprzez ostrą walkę klasową: polityczną i kulturalną. Na kształtowanie się literatury narodów ZSRR wywierało i wywiera istotny wpływ przede wszystkim ideowe oddziaływanie pracy wychowawczej Partii oraz żywa rzeczywistość radziecka. Inne czynniki to: wpływ wzorów literatury rosyjskiej — klasycznej i radzieckiej, wpływ wzorów rodzimej literatury klasycznej poszczególnych narodów, wpływ tradycji ustnej poezji ludowej — narodowego eposu i pieśni.

Metodą socjalistycznej literatury jest realizm socjalistyczny. Właśnie w rozwoju realizmu socjalistycznego zaznaczają się w każdej literaturze odrębne właściwości, specyficzna — narodowa forma tego rozwoju. Trudno bowiem stosować wobec literatury Ewenków lub Kara-Kałpaków kryteria aktualne w stosunku do literatury ukraińskiej czy gruzińskiej. I na odwrót.

Forma rozwoju realizmu socjalistycznego zależy nie tylko od tradycji literackich (folkloru i piśmienictwa), lecz — przede wszystkim — od stopnia rozwoju ekonomiczno-kulturalnego danej narodowości. Podana wyżej szkicowo

klasyfikacja Józefa Stalina oddaje nam również w tej dziedzinie nieocenione usługi.

W oparciu o tę klasyfikację radziecki literaturoznawca K. Zieliński odróżnia 3 typy narodowych form rozwoju realizmu socjalistycznego: dla pierwszego z nich — najbardziej zbliżonego do rosyjskiej linii rozwojowej — charakterystyczna jest ciągłość narodowych tradycji realistycznych oraz stosunkowo niewielki wpływ folkloru na rozwój literatury w epoce radzieckiej. Oczywiście chodzi tu o literatury narodów, które całkowicie lub częściowo weszły na drogę uprzemysłowienia jeszcze przed Rewolucją. Do tego typu zaliczamy literatury narodów o rozwiniętym piśmiennictwie i ukształtowanym języku literackim (narody słowiańskie, zakaukaskie, nadbałtyckie). Na drugim typie rozwojowym zaważył nie tylko silny wpływ — zwłaszcza w początkowych fazach — rodzimej literatury o feudalno-szlacheckiej tradycji, lecz również bardzo silny wpływ rodzimego folkloru. Do tego typu rozwojowego możemy zaliczyć stare literatury narodów Azji Środkowej, Dagiestanu (Kaukaz), oraz młode literatury narodów północnego Kaukazu. Oczywiście między tymi dwoma typami rozwojowymi trudno przeprowadzić ostrą linię graniczną. W literaturze łotewskiej — i w ogóle w literaturach republik nadbałtyckich — folklor odegrał wielką rolę narodową, jakkolwiek na kształtowanie się literatury nie miał takiego wpływu. W Kirgizji (typ drugi) posługującej się z braku alfabetu własnego dostępnym nielicznym jednostkom piśmiennictwem arabskim — ustna twórczość ludowa miała dominujące znaczenie twórcze. (Kirgizi stworzyli największy w literaturze świata epos ludowy, monumentalny „Manas"). W radzieckiej rzeczywistości te arcydzieła twórczości ludowej weszły do literatury i stały się własnością całego społeczeństwa radzieckiego Twórczość pieśniarzy ludowych wnosi do literatury narodów ZSRR swoiste piękno i urok. Kazachski akyn — przeszło 71-letni Dżambuł Dżabajew — pod wpływem Rewolucji począł na nowo tworzyć, układał poematy i pieśni jeszcze w wieku lat 99 (umarł w r. 1945). Późno, bo również po Rewolucji, rozkwitła bujnie twórczość dagiestańskiego aszuga, Sulejmana Stalskiego, nazwanego przez Gorkiego — Homerem XX wieku.

Jeszcze większe znaczenie ma folklor w kształtowaniu się literatur trzeciego typu rozwojowego, do którego należy zaliczyć przeszło 40 — powstałych już po Rewolucji — literatur narodowości i plemion koczowniczych Dalekiej Północy i Dalekiego Wschodu, oraz niektórych plemion na Kaukazie i Syberii. Narody te dokonały gigantycznego skoku od pierwotnego ustroju rodowego do socjalizmu. Ich twórczość literacka odznacza się dużą świeżością i czystością. W ciągu 20 lat od wyjścia z druku (1929) pierwszej książki w języku szorskim (południowo-wschodnia Syberia) — wyszło 200 tys. egz. książek szorskich. Jeszcze szybszy rozwój literatury dokonał się u Ewenków, znanych dawniej pod nazwą Tunguzów (Daleka Północ): od r. 1931 do 1946, nakład książek w języku Ewenków osiągnął 489 tys. egz. Pisarz udegiejski Dż. Kimonko („Zorza nad lasami") cieszy się dużą poczytnością w ZSRR (Udege — plemię na półn. wsch. krańcach Syberii w czasach carskich było na wymarciu.) „Droga do szczęścia" — to tytuł powieści adygiejskiej pióra T. Kieraszewa, wyróżnionej Nagrodą Stalinowską. Droga do szczęścia małego narodu Adygiejczyków (Kaukaz) stanowiącego 0,05% ogółu ludności ZSRR. Ogółem w okresie od r. 1928 — 1947 wydano 8 miliar-

dów egzemplarzy książek rosyjskich i 1 miliard 900 milionów egzemplarzy książek w 118 językach innych narodów ZSRR.

Reasumuję: Rozkwit socjalistycznych literatur narodów ZSRR odznacza się: 1) Ogromnym rozmachem w rozwoju literatur wszystkich narodów, narodowości i grup narodowych, ich ideową przebudową i doskonaleniem się. 2) Wielorakością form i dróg narodowych oddziaływania historycznych tradycji poszczególnych narodów na tworzenie się realizmu socjalistycznego. 3) Silnym oddziaływaniem tradycji rosyjskich pisarzy rewolucyjno - demokratycznych (Hercen, Czernyszewski, Dobrolubow) i rosyjskich klasyków, od Puszkina — do Gorkiego, na kształtowanie się literatur narodowych. W rezultacie tego procesu powstała literatura radziecka jako pojęcie ogólne, wszechzwiązkowe, rozkwitła literatura rodziny narodów ZSRR, mówiących co prawda różnymi językami, lecz stanowiących monolit polityczno-moralny.

Józef Spinc

Pisarze niemieccy w walce o pokój

Od kilku miesięcy przeżywa Niemiecka Republika Demokratyczna okres wzmożonej aktywności politycznej. Wzrost przygotowań wojennych ze strony obozu imperialistycznego, jawna agresja amerykańskich monopolistów na Korei i wzrost tempa remilitaryzacji Niemiec zachodnich obudziły falę oburzenia, która w zachodniej części kraju przeradza się obecnie w zorganizowany ruch oporu przeciwko imperialistycznym okupantom Trizonii, w Republice zaś wyraża się w jeszcze większym zespoleniu wszystkich demokratycznych sił dla zwycięskiego przeprowadzenia ambitnych planów politycznych i gospodarczych.

Mogłoby się wydawać, że mobilizacja szerokich mas do nowych zadań odbije się ujemnie na twórczości kulturalnej, że zahamuje ją w pewnym sensie, że szczęk broni, który daje się słyszeć w Niemczech na zachód od Elby, uciszy muzy. Stało się jednak inaczej. Wraz z umocnieniem się demokracji w NRD, wraz z rozpalaniem się walki narodowo-wyzwoleńczej (bo o takiej tylko można w tej chwili mówić w odniesieniu do zachodnio - niemieckiej kolonii), wraz z wciągnięciem do aktywnego życia szerokich mas pracujących w NRD, następuje ożywienie twórczości kulturalnej.

Zachodni krytycy na próżno głowią się nad zagadnieniem upadku piśmiennictwa i upadku czytelnictwa w Trizonii. „Dlaczego książki pozostają nie czytane?“ — pyta bezradnie „Die Welt“. „Gdzie są wielcy pisarze niemieccy“ — biada „Frankfurter Allgemeine Zeitung“. Na te pytania odpowiada prasa zachodnia w różny sposób. Nie umie, czy też nie chce jednak znaleźć odpowiedzi najprostszej: Dopełnieniem planu uczynienia z Niemiec zachodnich „ziemi niczyjej“ czy „ziemi spalonej“ w dziedzinie strategicznej jest plan zamiany Trizonii w pustynię kulturalną, w której tu i ówdzie wiłyby się tylko zatrute strumienie imperialistycznej propagandowej szmiry. Potworny zamach na pokój światowy wymaga „zmiękczenia“ szerokich mas ludności, złamania ich wiary w siły pokoju i we własne siły, wymaga zniszczenia kultury. Ten proces odbywa się w przyśpieszonym tempie na obszarze administrowanym przez Cony Adenauera.

Wszystko co twórcze znalazło azyl i schronienie w młodej Niemieckiej Re-

publice Demokratycznej. Życie literackie otoczone jest tutaj troskliwą opieką ze strony państwa i działających w nim organizacji demokratycznych. W interesie umocnienia Republiki, w interesie umocnienia jej pokojowego oblicza leży bowiem rozwój a nie upadek kultury, rozwój a nie zniszczenie twórczości artystycznej. Zachodni krytycy, nie umiejący dostrzec ścisłego związku między życiem materialnym i duchowym na próżno łamią sobie głowę nad „tajemnicą" upadku twórczości artystycznej na zachodzie i „tajemnicą" jej wzrostu we wschodniej części Niemiec. Imperializm nie może po prostu dopuścić do wolnej twórczości kulturalnej; wolna twórczość kulturalna jest natomiast niezbędnym elementem społeczeństwa zmierzającego ku socjalizmowi.

W apelu II Kongresu Literatów, skierowanym do wszystkich pisarzy niemieckich czytamy: „Nie ma dziś pilniejszego zadania dla każdego człowieka dobrej woli niż sprawa pokoju. Dlatego zwracamy się do was, niemieccy pisarze na zachodzie naszej ojczyzny: Trwały pokój to jedyna dla was możliwość życia i tworzenia. Tego pokoju musicie bronić. Walczcie przeciwko importowanej z Ameryki literaturze nihilizmu, pesymistycznego zaprzeczenia ludzkiej godności i wartości, literaturze, która was obezwładnia i ułatwia dzieło podżegaczom do nowej wojny. Wpajajcie ludziom zaufanie do sił pokoju, i uczcie ich zaufania w ich własne siły. Nie tolerujcie między sobą propagatorów nowej rzezi ludów, okażcie swą odpowiedzialność, swą godność ludzką przez aktywny udział w ruchu pokoju.

Zwracamy się do was, pisarze z terenu NRD: Przyczyniajcie się wszystkimi siłami do demokratycznego ukształtowania naszego życia w duchu przyjaźni między narodami. Demaskujcie plany podżegaczy wojennych i ukazujcie twórczą drogę pokoju."

Przebieg kongresu pisarzy pokazał, że literatura niemiecka nie ogranicza się do słownych deklaracji i daje artystyczny wyraz swemu przywiązaniu do sprawy pokoju, czerpiąc równocześnie z tej wielkiej idei opanowującej masy soki żywotne dla dalszego rozwoju.

Największe osiągnięcia niemiecka literatura ma do zanotowania na polu poezji. Nowy hymn niemiecki i liczne pieśni Johannesa R. Bechera i kompozytora Hansa Eislera, wspaniałe poezje Weinerta, wiersze młodego poety Kuby, a szczególnie jego kantata stalinowska, nowe utwory Brechta, Fuernberga i Stephana Hermlina — oto główniejsze z tych osiągnięć.

Utwory Bechera i Eislera dosłownie w ciągu jednej nocy nabrały charakteru pieśni ludowych. Są one dzisiaj bojowymi pieśniami niemieckiej demokracji i śpiewane są w każdym zakątku kraju. Te pieśni, których część skomponowana została specjalnie na Zlot Młodzieży Niemieckiej w Berlinie — to nowa, znakomita broń w walce demokracji niemieckiej o pokój i demokratyczne zjednoczenie kraju.

Ich porywający rytm i melodyka, tchnące umiłowaniem wolności słowa zagrzewają cały naród niemiecki do dalszej pracy nad umocnieniem władzy ludu w NRD. Kto widział radośnie rozśpiewanych i pełnych zapału i entuzjazmu Niemców w czasie wielkiego Zlotu Młodzieży, albo w czasie demonstracji na zachodzie kraju — ten pojmie wychowawczą rolę postępowej poezji.

Wśród nowych utworów Stephana Hermlina na czoło wysuwa się jego Mansfeldzkie Oratorium. Ciekawa jest

historia jego powstania. Zostało ono „zamówione" przez radę zakładową kopalni miedzi w Mansfeld dla uczczenia 500-ej rocznicy istnienia kopalni. Górnicy nie tylko dali impuls do pracy twórczej pisarza i kompozytora (muzykę do Oratorium skomponował znany muzyk Ernest H. Mayer), ale przyczynili się do wykonania gotowego utworu, organizując własne chóry. Oratorium opowiada dzieje kopalni w Mansfeld od najdawniejszych czasów po dzień dzisiejszy.

Nowe wiersze, pieśni i poematy mówią o postępowej treści młodego państwa niemieckiego, o zmaganiach na polu budowy nowego społeczeństwa, o dumie z odniesionych sukcesów, o oddaniu dla sprawy pokoju, o stale wzrastającej przyjaźni do wielkiego Kraju Rad i krajów demokracji ludowej.

Żywy rozwój nowoczesnej poezji niemieckiej — nie powinien przesłonić faktu, że proza cierpi w pewnym stopniu na chorobę „nienadążania" za ogólnym rozwojem.

Mimo to wybitni niemieccy pisarze starszego pokolenia pojęli, jak poważne zadania spoczywają na nich zarówno jako na samodzielnych twórcach, jak i na (w poważnym stopniu) wychowawcach nowego narybku. Wielki prozaik niemiecki Arnold Zweig pracuje obecnie nad nową powieścią (tymczasowy tytuł „Die letzte Häutung"), której akcję zamierza doprowadzić do 1948 r. Zweig nie przestaje aktywnie pracować w Kulturbundzie. Jest ponadto, jak wiadomo, prezesem Akademii Sztuk.

Anna Seghers opublikowała ostatnio trzy krótkie nowele pod wspólnym tytułem „Die Linie". Czytelnik polski będzie miał sposobność przekonać się o wartości tego tomiku, ponieważ przekład jego ukaże się u nas wkrótce. W tej chwili autorka „Siódmego krzyża" publikuje w piśmie „Taegliche Rundschau" krótkie reportaże pod wspólnym tytułem „Der Friede" (Pokój), które również wskazują, że wielka pisarka potrafiła włączyć się w nurt teraźniejszości.

Po zakończeniu swego Oratorium Mansfeldzkiego Hermlin rozpoczął pracę nad powieścią o młodzieży niemieckiej pt. „Die erste Reihe". Znany u nas autor życiorysu Ernesta Thaelmana, Willy Bredel, pisze w tej chwili powieść, której tematem są dzieje odbudowy zniszczonej przez żywiołową katastrofę wsi turyńskiej Bruchstaedt. Jan Petersen (autor „Naszej ulicy", która ukazała się już po polsku) siedzi od dłuższego czasu w Stralsundzie i zbiera materiały do powieści o robotnikach tamtejszych stoczni. Claudius (jego książka „Gruene Oliven und nackte Berge" ukaże się wkrótce po polsku) pisze książkę o młodzieżowych aktywistach. Do wymienionych wyżej nazwisk dodać należy Friedricha Wolfa, któremu ożywiona działalność polityczna nie przeszkadza w kontynuowaniu pracy prozaika i dramaturga, oraz czytanego powszechnie w Niemczech Marchwitzę (jego autobiografia ukazać się ma wkrótce po polsku).

Walter Ulbricht w swym referacie na III Kongresie SED słusznie podkreślił jako fakt niezmiernie pozytywny, że „tacy wielcy pisarze i poeci jak Johannes R. Becher, Stephan Hermlin, Bertholt Brecht, Anna Seghers udzielają rady młodszym pisarzom i autorom i przekazują im doświadczenia pokolenia starszych artystów. Przez ścisłą współpracę młodzi będą się uczyć, a starzy— odmłodnieją".

W literaturze niemieckiej pojawiają się także zupełnie nowe, nieznane do-

tąd szerszej publiczności nazwiska. Dwa konkursy rozpisane przez wydawnictwo „Neues Leben" i dziennik „Taegliche Rundschau" przyniosły kilkaset prac literackich. Po bardzo surowym przesianiu okazało się, że chwytający po raz pierwszy za pióro ludzie: robotnicy, młodzi aktywiści, chłopi — to nowi pełnowartościowi twórcy. Wielkim talentem pisarskim okazał się aktywista Hans Garbe — murarz z obsługi wielkich pieców, 47-letni Theo Harych — szofer z zawodu, i inni.

Zbliżenie literatury do życia, zajęcie się pisarzy sprawami, którymi żyje cały naród niemiecki sprawia, iż według pięknych słów Tomasza Manna „sztuka i ludzkość znów zaczynają być z sobą na ty".

W swym referacie na temat 5-letniego planu, wygłoszonym na II Kongresie SED, Walter Ulbricht poświęcił wiele miejsca zagadnieniom kulturalnym. Oto jak określił on zadania stojące przed narodem niemieckim w tej dziedzinie:

1) Należy przezwyciężyć resztki rasizmu, imperialistycznego sposobu myślenia, próby odżywienia średniowieczczyzny i zjawiska dekadentyzmu w sztuce w ich postaci importowanej przede wszystkim z Ameryki.

2) Należy hodować humanistyczne tradycje i przekazać narodowi dzieła wielkich klasyków literatury, muzyki i sztuki.

3) Poprzez rozwój postępowej literatury, sztuki i muzyki należy pokazać bohaterską walkę przeciwko imperializmowi, przeciwko niewolnictwu i narodowemu uciskowi, należy pokazać wielkie dzieło demokratycznej przebudowy, powstanie nowych ludzi i ich wzajemne stosunki, i w ten sposób wychować masy ludowe i wyzwolić spoczywające w nich niewyczerpane siły.

4) Należy udostępnić narodowi niemieckiemu kulturę Związku Radzieckiego, krajów demokracji ludowej, jak również twórczość antyimperialistycznych pisarzy i twórców innych krajów.

Ten plan stawia przed niemiecką sztuką, przed niemiecką literaturą poważne zadania, ale dotychczasowy jej rozwój pozwala przypuszczać, że wykona je ona z powodzeniem, przywracając niemieckiej kulturze jej świetne niegdyś imię.

Zygmunt Szymański

Książki nadesłane

PROZA LITERACKA

Balzac — Kobieta trzydziestoletnia. Komedia Ludzka. Przekł. Tadeusza Żeleńskiego-Boya. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 371 + 1 nlb.

Jerzy Broszkiewicz — Kształt miłości. Ilustr. Antoni Uniechowski. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 193 + 1 nlb.

Kornel Filipowicz — Księżyc nad Nidą. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 212

Julian Gałaj — W rodzinie Lebiodów. Powieść. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 228.

Harold Herdal — Dzieciństwo. Przekł. z duńsk. Anny Stawińskiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 284.

Harold Herdal — Młode lata. Przekł. z duńsk. Anny Stawińskiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 206.

Harold Herdal — Wspomnienia. Przekł. z duńsk. Anny Stawińskiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str.222.

Teodor Tomasz Jeż — Pamiętniki starającego się. Spódz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 381 + 1 nlb.

Teodor Tomasz Jeż — Ofiary. Powieść. Spódz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Tom I - str. 224, tom II - str.285.

Prichard Katharine S. — Burzliwe lata. Przekł. Klemensa Szaniawskiego. Spódz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 564.

Takidżi Kobajaszi — Poławiacze krabów. Oryg. w jęz. japońskim. Tłum. z przekł. czeskiego A.J. Kamiński. Ilustr. J. S. Miklaszewskiego. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 149 + 8 nlb.

Marianna Kościńska — Niedziela na Wydartej i inne opowiadania. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 325 + 1 nlb.

Mirosław Kowalewski — Kampania znaczy walka. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 395 + 5 nlb.

Mikołaj Leskow — Utwory wybrane. Tom I. Złota Seria Literatury Rosyjskiej. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 368 + 1 nlb.

Walery Łoziński — Dwie noce. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 196 + 1 nlb.

Albert Maltz — Człowiek na drodze i inne opowiadania. Przekł. z ang. Juliusza Kydryńskiego. Klub Odrodzenia. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 202 + 1 nlb.

Eliza Orzeszkowa — W klatce. Pisma zebrane pod red. Juliana Krzyżanowskiego, tom II. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 338 + 1 nlb.

Józef Pogan — Na głodnym zagonie. Spódz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 155 + 5 nlb.

Le Sage — Przypadki Idziego Blasa. Przekł. Juliana Rogozińskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 638.

Sandor Sandi — Pieśń życia. Powieść. Przekł. z węg. Tadeusza Faugrata. Klub Dobrej Książki III 1950. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 285.

André Stil — Wola i gniew. Przekł. Zofii Jaremko-Żytyńskiej. Biblioteka w Prenumeracie. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 168.

Lew Tołstoj — Wojna i pokój. Tom II. Przekł. z ros. Zofii Petersowej. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 470 + 1 nlb.

I. Wasilenko — Plan życia. Przekł. M Zabłudowskiej. Ilustr. Maria Markiewicz. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 350 + 2 nlb.

Fryderyk Wolf — Opowiadania. Przekł. J. A. i O. Ziemilscy. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 217 + 1 nlb.

L. Woronkowa — W spalonej wiosce. Przekł. z ros. I Bajkowskiej. Ilustr. wg. oryg. ros. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 139 + 1 nlb.

Gabriela Zapolska — Sezonowa miłość. Pisma wybrane, tom IV. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 431.

Emil Zola — Podbój miasta Plassans. Przekł. z franc. Hanny Szumańskiej-Grossowej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 369 + 1 nlb.

POEZJA

St. Ziembicki — Drzewo wolności. Ilustr. Marcin Szancer. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 19.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Igor Newerly — Archipelag ludzi odzyskanych. Opowieść historyczna z roku 1948. Biblioteka w Prenumeracie. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 316.

DRAMAT

Stefan Żeromski — Sułkowski. Turoń. Pisma, pod red. Stanisława Pigonia, tom XXI; Dramaty, 2. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 336 + 1 nlb.

Stefan Żeromski — Uciekła mi przepióreczka. Pisma, pod red. Stanisława Pigonia, tom XXIII; Dramaty, 4, zeszyt drugi. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 128 + 1 nlb.

Stefan Żeromski — Grzech. Dramat w 5 aktach. Pisma, pod red. Stanisława Pigonia, tom XXII; Dramaty, 3, zeszyt pierwszy. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 98.

NAUKA O LITERATURZE

Julian Przyboś — Czytając Mickiewicza. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik" Warszawa, 1950. Str. 184 + 1 nlb.

KSIĄŻKI NAUKOWE

Adam Schaff — Narodziny i rozwój filozofii marksistowskiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 403 + 4 nlb.

PUBLICYSTYKA

Stanisław Brodzki — Titowszczyzna — szturmowy oddział imperializmu. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 132 + 2 nlb.

V. J. Jerome — Problemy nowej kultury. Przekł. z ang. Lecha Budreckiego i Janusza Wilhelmi. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warsawa, 1950. Str. 89.

F. J. Szabszina — Korea po drugiej wojnie światowej. Przekł. z ros. A. Burzyńskiej. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 67.

SATYRA

Antoni Gorecki — Diabeł i zboże. Bajki, epigramaty, wiersze. Wstęp Jana Szeląga. Ilustr. Kazimierza Grusa. Biblioteka Szpilek pod red. Antoniego Marianowicza, 6. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 78.

BROSZURY

Roman Juryś — Pamięci bohaterów: Władysława Hibnera, Henryka Rutkowskiego, Władysława Kniewskiego, Naftalego Botwina. Spółdz. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 62 z portretami i fotokopiami + 1 nlb.

O Józefie Stalinie. Z okazji siedemdziesiątej rocznicy urodzin. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 181 + 1 nlb. + 1 portret.

RÓŻNE

Cornforth Maurice — Materializm dialektyczny a nauki ścisłe. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 86 + 1 nlb.

Pierwszy czechosłowacki plan pięcioletni. Przekł. Stefana Wrilskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 254 + 3 nlb.

Stefan Urbański — Państwo Watykańskie. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 62 + 1 nlb.

TREŚĆ NUMERU

Stanisław Ryszard Dobrowolski: Poeta walki i pracy 3
Julian Przyboś: Na wczasach 13
Artur Międzyrzecki: Władysławowi Broniewskiemu 14
Leopold Lewin: Do Władysława Broniewskiego. Kocham kwiaty . . . 15
Tadeusz Różewicz: Odwróćmy od przeszłości... Pejzaż. Powrót z lasu . . 17
Tadeusz Nowak: Wiersz o partii. Witam nowy dzień 19
Andrzej Braun: Jutro jest dzisiaj 21
Roman Hussarski: Krajobraz podwarszawski 25
Zofia Nałkowska: Krzysztof Kolumb 26
Jerzy Pytlakowski: Pierwsze starcie 31
Jan Brzoza: Blok Nr 14 52
Stanisław Ryszard Dobrowolski: Rzućmy dziwne wrażenia 70
Barbara Rafałowska: Twórczość Panowej 78
Jan Kott: Miara postępowości w historii literatury 84
Pantielej Zarew: Realizm Iwana Wazowa 96
William Szekspir: Feniks i gołąb. Threnos. — przeł. **Witold Chwalewik** . 102

PRZEKŁADY Z KLASYKÓW ROSYJSKICH:

Aleksander Radiszczew: Wolność — przeł. **Seweryn Pollak** 103
Gawriił Dierżawin: Polihymnia — przeł. **Seweryn Pollak** 105
Aleksander Puszkin: * * *, Kaukaz — przeł. **Seweryn Pollak** . . 107
„ „ Droga zimowa — przeł. **Adam Ważyk** 108
Michał Lermontow: Borodino — przekł. **Leonard Podhorski-Okołów** . . 108
„ „ Żagiel — przeł. **Jerzy Zagórski** 108
Mikołaj Niekrasow: Pieśn, * * *, * * * — przeł. **Leopold Lewin** 111

WŚRÓD KSIĄŻEK: Anna Kamieńska — Tadeusz Różewicz: „Pięć Poematów"; **Antoni Wroński** — Bogdan Hamera: „Na przykład Plewa"; **Grzegorz Lasota** — Tadeusz Konwicki: „Przy budowie"; **Maciej Koliba** — Julian Gałaj: „W rodzinie Lebiodów" 113

TEATR: Jan Alfred Szczepański 121

NA WIDNOKRĘGU: Jerzy Pański. Józef Spinc. Zygmunt Szymański . 127

KSIĄŻKI NADESŁANE 141

Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik"
Redaktor Naczelny: **Adam Ważyk**
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65 centr. 401-80/90 wewn. 22
Administracja: Wiejska 12
Prenumerata i kolportaż: PPK „Ruch" Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25.
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, ul. Chmielna 25.
Cena zeszytu 120 zł. Prenumerata kwartalna 360 zł, półroczna 720 zł.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

S1411/2176

CENA 120 zł.

CZYTELNIK